

Lustra Chaosu Dziedzictwo - Ostatnia Pieśń Chaosu

Autor: Accurate Accu Memory

Korekta: Vulture

PROLOG – Trzy Pieśni, Jeden Pact

Dawno temu, głęboko pod wodą, w królestwie gdzie światło nie sięgało, narodziła się pieśń. Nie była dobra. Nie była zła.
Była głodna.

Aquatika.

Nie istniała na mapach Equestrii. Nie potrzebowała lądu, granic ani imion. Miała jedynie głos.
Trzy głosy.

Na skalnym tronie, otoczona pianą i światłem księżyca, siedziała **Adagio Dazzle**. Jej łuski lśniły złotem, a oczy — jak rozżarzony bursztyn — przesywały ciemność.

Po jej lewej stronie, oparta o ramię, spoczywała **Aria Blaze**. Milcząca. Zła. Dumna. Jej purpurowy ogon poruszał się rytmicznie, jak bicie serca gotowego uderzyć.

Po prawej, wirując w wodzie z dziecinną beztroską, była **Sonata Dusk**. Jej oczy — szerokie, naiwne — błyszczały śmiertelnym urokiem. Nikt nie wiedział, czy wie, jak bardzo jest niebezpieczna.

— Znowu śpiewają o bohaterkach... — powiedziała Adagio, a każda sylaba brzmiała jak nuty zaklęcia. — O tych, co pokonały Discorda. Co złamały spiralę.

— Znudziło mi się to, — syknęła Aria. — Pieśni o miłości, odwadze, czułości. Te słowa są... bez smaku.

— Ale przecież miłość też jest pyszna! — wtrąciła Sonata, kręcąc się dookoła. — Widziałam, jak jedna klaczka prawie się rozplynęła z uczucia! Mniam!

Adagio uśmiechnęła się chłodno.

— To znaczy, że pora przypomnieć, kim jesteśmy.

Woda za nią zaczęła się burzyć. Zawirowała, jakby sama przestrzeń się rozdzierała.

— I pora przypomnieć *jemu*... że pakt nie został zapomniany.

Z wiru wynurzyła się istota, której nie powinno być w żadnym świecie — mieszanka smoka, kozła i węża, z oczami, które widziały zbyt wiele.

Discord.

— Ach, moje ulubione... rybki, — zarechotał. — Co za pieśń sprowadziła mnie dziś do waszego śmierdzącego, solnego saloniku?

Adagio nie ukloniła się. Nie musiała.

— Obiecałeś neutralność, Duchu Chaosu. My zostawiamy twoją domenę, ty nie sięgasz do naszej. Ale teraz... coś się zmieniło.

Aria warknęła:

— Ktoś zabrał twoją koronę. Ale w niej został zapach. Zapach chaosu.

— I mocy! — pisnęła Sonata. — Mnóstwa mocy! Ale takiej... nowej, dziewczynskiej, błyszczącej mocy!

Discord uniósł brew. W jego oczach zatańczyła spirala.

— Nie moja sprawa, co się dzieje po mojej śmierci... jeśli takową kiedyś zaliczę. Ale cóż — domyślam się, że nie przyszłyszcie śpiewać mi kołysanki?

Adagio zbliżyła się. Zmieniła się. W sekundę, w mgnieniu światła — ogon zniknął, pojawiły się nogi. Kopytka. Grzywa. Uśmiech.

Mimikra.

Była teraz klaczką — piękną, hipnotyczną. Tą, której nikt się nie oprze.

— Przyszliśmy odzyskać to, co nasze.

— I pożywić się... opowieścią nowego pokolenia, — dodała Aria.

Discord milczał. A potem się zaśmiał.

— Szukacie córek chaosu... tych, które myślą, że mogą opowiadać swoje wersje historii?

Adagio zbliżyła się do niego tak blisko, że dotknęła jego pyska.

— Nie. Nie szukamy.

Jej oczy rozbłysły czerwienią.

— My idziemy po nie.

I tak rozpoczęła się nowa pieśń.

Nie śpiewana przez bohaterki.

Ale przez te, które pamiętają głód.

Pod powierzchnią wody — coś się zbudziło.

I tym razem... to **siostry chaosu** miały zostać przetestowane

AKT I – Echa Luster

Rozdział 2 – Cisza po Iris

Na wzgórzach nad szkołą rósł nowy las. Jeszcze niepewny, jeszcze niemy. Meadow lubiła go obserwować — nie jak botanik czy strażniczka, ale jak ktoś, kto kiedyś też zakorzenił się w miejscu, które nie było do końca jej.

Wśród cienkich pni, wśród drżących liści, wyczuwała sny. Nie wszystkie były spokojne. Niektóre miały kształt zabawek, inne — skrzydeł, których już nikt nie dotykał. Ale teraz... nikt nie krzyczał. Nikt nie błagał o przebudzenie.

Wreszcie, po tylu miesiącach, świat dzieci spał bez śmiechu Screwball.

Camel trzymała wartość jak dawniej, ale już nie na dachu szkoły. Jej czujność przeniosła się gdzie indziej — do rozmów w klasach, do drgań podłogi w szatni, do tego, jak długo które dziecko patrzyło w lustro.

Jej ogień nie płonął. Tlił się tylko. Gotowy. Nie ufała ciszy.

– Nie tak wygląda koniec, – mówiła czasem Meadow, – tylko początek nowej warstwy.

Camel milczała. Kiedyś widziała koniec. Miał oczy jak śmiejąca się twarz.

Iris rzadko wychodziła ze swojego pokoju. Jeśli ktoś ją widywał, to głównie wieczorem, kiedy niebo robiło się fioletowe, a świat wyglądał jak coś, co można rozpuścić w łzie.

Nie używała już spirali. Nie słuchała luster. Nie odpowiadała odbiciom, które próbowały do niej mówić.

Niektóre dzieci wciąż ją kochały. Inne — bały się. A ona... nie chciała już wybierać, kim dla nich będzie.

Zawiązała włosy inaczej. Prosto. Jakby codziennie chciała zapomnieć, że kiedyś nosiła czapkę ze śmigielkiem.

– Już nie jestem jej echem, – wyszeptała do siebie, do nocnego nieba. – Ale czy jestem sobą?

Rosalyn odnalazła Galerię. Była tam zawsze. Cicha.

Nie naprawiała luster. Nie gładziła tafli.
Tylko chodziła. Obecna. Uważna. Jak cień, który nie straszy, tylko trwa.

Niektóre odbicia przestały śpiewać.
Niektóre nigdy nie zaczną.

Rosalyn nie potrzebowała odpowiedzi.
Potrzebowała tylko być — dla tych, którzy wrócą.
I dla tych, którzy nigdy nie zapukają do lustra.

Cztery klaczki.
Cztery historie chaosu.
Cztery cienie, które teraz próbowały być światłem.

Na razie...
Panowała cisza.
Ale nie ta, co koi.

To była **cisza po Iris**.
Cisza, która jeszcze nie wiedziała, czy będzie końcem.
Czy zaledwie prologiem do nowej pieśni.

Rozdział 3 – Głos bez cienia

Była noc, ale światło w Galerii Luster nigdy nie zniknęło całkiem.

Rozpraszało się po krawędziach tafli, migotało w oddechach odbić, czekało. Rosalyn powiedziała kiedyś, że Galeria pamięta nie to, co było — lecz to, co mogło zostać zapomniane. A teraz... lustra drżały jak kartki starej książki, do której ktoś właśnie dopisał rozdział.

Iris poczuła to zanim weszła.

To nie był głos w głowie. Nie był to też podszept spiral. To było... przesunięcie. Jakby echo, które zawsze znała, odbiło się od nowej ściany.

Przechodząc przez drzwi Galerii, nie spodziewała się niczego. I to właśnie było niepokojące — brak czujności. Jakby ktoś wypolerował nie tylko lustra, ale i jej myśli.

Szła wolno, kopytko po kopytku, nie dotykając żadnej tafli. Mijała znajome oblicza — dzieci, które spały, dzieci, które kiedyś śniły, dzieci, które wróciły. Wszystkie odwracały wzrok.

I wtedy ją zobaczyła.

Była identyczna.
Ten sam odcień sierści. Ten sam wyraz twarzy — czuły, ale jakby zbyt miękki, zbyt sztuczny.

Jakby stworzony z pamięci kogoś, kto nigdy naprawdę nie znał Iris, tylko ją widział... i chciał zapamiętać po swojemu.

Odbicie uśmiechało się.

Nie mówiło.

Iris podeszła bliżej. Lustro było przejrzyste, zimne. Nie czuła rezonansu. Nie czuła przyciągania, które znała z dawnych czasów — gdy spirale prowadziły ją do serc dzieci, jak nici po omacku. Tutaj była tylko cisza. I głos bez dźwięku.

— Nie jesteś mną — wyszeptała.

Odbicie nie odpowiedziało. Ale też nie zniknęło.

Spojrzała głębiej.

Za fałszywą Iris były inne kształty. Zarys ogona, który nie należał do niej. Kopytko z rozmażanym symbolem. Spojrzenie, które przypominało... Discorda. Ale młodszego. Sklejonego z dziecięcych snów.

Iris cofnęła się.

To nie ona stworzyła ten obraz.

To nie jej magia.

A jednak lustro wciąż mówiło jej imieniem.

Szeptem, którego nie słyszeć.

Rozpoznała uczucie. Niepokój, który znała z czasów, gdy była jeszcze częścią chaosu. To był rodzaj mimikry — ale nie jej. I nie Screwball. To coś nowego. Ktoś, kto nauczył się ich form. Ktoś, kto zbudował własną wersję Iris... by użyć jej jak maski.

Odbicie mrugnęło.

I wtedy Iris zrobiła coś, czego nie robiła od miesięcy.

Zbliżyła pysk do tafli.

I dotknęła jej.

Nie poczuła bólu. Nie została wciągnięta. Nie zobaczyła wizji.

Tylko jedno słowo zapisało się na zimnym szkle, jakby para z jej oddechu je wypisała:

MY

Lustro zgasło.

A Iris przez długą chwilę nie ruszała się z miejsca.

Bo wiedziała, że jeśli ktoś inny potrafi teraz tworzyć odbicia...
to nie tylko chaos się budzi.

To **ktoś** się rodzi.

Rozdział 4 – Blizna, która śpiewa

Meadow śniła o ogrodzie, którego nigdy nie widziała.

Był pełen dziwnych roślin — takich, które nie rosną na powierzchni, tylko w snach: kwiaty z liśćmi jak skrzydła, pnącza w kształcie spirali, trawy, które śpiewały bez dźwięku. Nie było słońca. Tylko światło, które wibrowało z wnętrza samej ziemi. Pulsowało — jak echo czyjegoś serca.

Szła między nimi powoli, ostrożnie, jakby bała się, że nadeptnie na cudze wspomnienie.

Wszystko było ciche. Zbyt ciche.

I wtedy usłyszała to po raz pierwszy.

— Meadow.

Zatrzymała się.

To nie był głos mamy. Ani Camel. Ani Iris. Ani nawet jej własny głos z przeszłości. To było coś... bardziej miękkiego. Jakby jej imię wypowiedziała rana. Ale nie taka, która boli. Taka, która **pamięta**.

— Meadow — powtórzyło się. — Jesteś już gotowa?

Spojrzała przed siebie. Między drzewami stała postać.

Była rozmazana, jakby stworzona z cienia i oddechu. Ale coś w jej sylwetce było znajome. Zbyt znajome.

Jej własne oczy.

Jej własna grzywa.

Ale blizna — ta delikatna linia na piersi, którą nosiła po wszystkim, co przeszła — **tam** pulsowała światłem.

Postać uśmiechnęła się. Nie złowieszco. Nie groźnie. Ale... pusto.

— Przyjdź do mnie, siostro. Już czas.

Meadow nie ruszyła się.

— Kim jesteś?

— Jestem tobą, która śniła piękniej. Tobą, która nie pozwoliła się zranić. Tobą, której nikt nie zostawił.

— Nie jestem tobą — wyszeptała Meadow. — I nie chcę być.

Cień jej odbicia sięgnął w górę.

Z nieba spadły nuty.

Dosłownie — błyszczące, świetliste nuty, jakby ktoś zapisał melodię bez instrumentu. Opadały na trawę. A potem... wnikały w nią.

Rośliny zaczęły się poruszać. Zaczęły **śpiewać**.

Ale nie własnymi głosami.

Śpiewały jej imieniem.

Meadow... Meadow... Meadow...

Każda nuta była inna. Jedna była głosem Camel. Druga — Iris. Trzecia — jej mamy. Ale żadna nie była prawdziwa. Wszystkie były jak echo z taśmy, z nagrania, z czyjegoś wyobrażenia.

I właśnie wtedy Meadow zrozumiała.

To **jej** sen. Ale to **nie ona** go śni.

Blizna na jej piersi zaczęła mrowić. Czuła, że coś ją przyzywa. Coś chce sięgnąć przez sen. Przez ranę. Przez historię.

I wtedy krzyknęła:

— To nie mój głos!

Wszystko zamilkło.

Postać zniknęła. Nuty opadły i rozpadły się na pył.

Tylko echo zostało.

I jedno słowo, wyryte w przestrzeni snu, jak wypalone światłem:

MY

Meadow otworzyła oczy.

A jej blizna... świeciła.

Rozdział 5 – Pęknięcie

Camel obudził nie dźwięk, lecz **brak dźwięku**.

Ogień, który zawsze płonął w jej czujności, dziś drżał niespokojnie. Nie był gaszony — przeciwnie. Palił się wyraźniej, pulsując w rytmie, który nie należał do niej. W rytmie, którego nigdy nie uczyła się kontrolować.

Spojrzała na runy wygrawerowane na tarczy wiszącej nad jej łóżkiem. Ich linie — proste, ostre, zdecydowane — dziś lekko się rozmazywały. Jakby nawet symbole zaczęły śnić.

Westchnęła. Wstała. I zrobiła to, co zawsze robiła, gdy coś w niej mówiło **coś jest nie tak**.

Wyszła.

Najpierw przeszła przez szkołę — cicho, lekko, z gracją kogoś, kto wiele razy wymykał się z koszmarów. Potem przez miasteczko — z oknami zasłoniętymi snami i dziecięcymi obrazkami. W końcu przez dolinę, gdzie wiatr poruszał liście w rytmie, który wcale nie był spokojny.

Aż dotarła na wybrzeże.

Tam poczuła to **naprawdę**.

Aura.

Nie była to magia chaosu. Nie była to spirala. Nie był to głos Discorda. Ale było w niej coś równie głębokiego. Coś starego. Coś, co Camel знаła tylko z jednego momentu w swoim życiu.

Z **jednej chwili**, którą chciała zapomnieć.

Pamiętała ten dzień.

Była jeszcze młoda. Jeszcze walczyła ze sobą — między tym, kim była, a tym, kim chciał ją uczynić **on**.

Discord.

W sali chaosu, zimnej jak mrok i kolorowej jak sen, ich ojciec rozmawiał z trzema postaciami. Z wody unosiła się mgła. Nie miały nóg — tylko ogony, które błyszczały jak księżycowe lzy.

Syreny.

Nie słyszała słów. Ale czuła pakt. Chaos miał nie wchodzić w wodę. A woda — nie sięgać po sny.

Wtedy poczuła to po raz pierwszy: **współdrżenie** ognia i głębin.

I teraz... teraz czuła to znowu.

Teraz

Camel wzbiła się w powietrze. Nie często latała — wołała ziemię, konkret, rzeczywistość. Ale dziś... musiała **zobaczyć**.

Wyleciała ponad zatokę, której wody odbijały bladą poświatę księżyca. Szukała czegośkolwiek. Cienia. Ruchu. Złamania fali.

I wtedy to zobaczyła.

Pod powierzchnią — trójka.
Szybkie, lśniące kształty.
Grzywy płynęły za nimi jak strumienie melodii.
Ogon — złoty. Ogon — fioletowy. Ogon — niebieski.
Poruszały się **w rytmie**. Jak jedna melodia.
Szły ku lądowi.

Camel wstrzymała oddech.

Nie było już wątpliwości. To **one**. Syreny.
Nie przysyłają ostrzeżeń. Nie grają w iluzje.
One **idą**.

Wszystkie trzy.

Wszystkie głodne.

Camel zawróciła w powietrzu — gwałtownie, bez słowa. Jej skrzydła cięły noc. Jej serce paliło się od środka. Bo знаła ten rytm.

To był rytm **końca pokoju**.

I czas był go złamać — **zanim to zrobią one**.

Rozdział 6 – Spotkanie czterech

Ostatnie promienie słońca prześlizgują się po podłodze, odbijając się w pękniętych fragmentach wielkiego lustra. Wiatraczek z czapeczki, zostawiony w kącie, już się nie kręci. Wszystko jest cichsze, jakby cała szkoła wstrzymała oddech.

Iris siedzi nieruchomo przed lustrem. Jej spojrzenie nie zatrzymuje się na własnym odbiciu, lecz sięga głębiej — w światło, w echo, w pęknięcia. Wie, że Meadow weszła. Ale jeszcze się nie odzywa.

Meadow podchodzi powoli. Staje przy niej i przez długą chwilę milczy.

— Ja... Ja nie wiedziałam — mówi w końcu łamiącym się głosem.

Spogląda na własne drżące kopyta, odbijające się w tafli.

— Myślałam, że skoro raz to przetrwałam, to jestem odporna. Że skoro raz przeszłam przez chaos nasionka... że to tylko cień. Że można się nauczyć go nosić, jak pęknięcie w lustrze.

Jej głos cichnie.

— Ale to nie był cień. Ona nie była tylko iskrą. Ty nie byłaś... Ona mówiła o sobie: Iskierka chaosu Tatusia. A ja tak bardzo chciałam cię mieć, że myślałam, że cię sprowadziłam...

Zaciska usta.

— Myślałam, że umiem tańczyć z chaosem. A nadziałam się na ostrze. Nie... nie miałam pojęcia.

Jej sylwetka osuwa się lekko, jakby coś w niej pękało.

— Nie miałam pojęcia, jak potężna może być córka potwora...

Sięga do juków i wyciąga precel — słodki, pokryty lukrem. Patrzy na niego.

— Myślałam, że znam chaos. A ja tylko polizałam polewę...

Podnosi go do światła, jakby to on miał być odpowiedzią.

— Samą polewę. To, co o tobie odkryłam... o twojej potędze, było tylko wierzchołkiem. Czubkiem góry lodowej.

Wypuszcza powietrze. Kolana się pod nią uginają.

— Opowieści o tobie przerażają, ALE TO?!

Kręci głową.

— Ona bawiła się umysłem strażniczki chaosu, jak... jak szmacianą lalką. Albo gumową kaczuszką do kąpieli żrebaczków...

Iris wciąż nie odwraca wzroku od lustra. Jej oczy — zwyczajne, nie spiralne — są zmęczone. Ale nie słabe. Raczej puste, przepełnione wspomnieniami.

— Tak — mówi cicho. — Ona była potworem. A ja nią byłam.

Nie patrzy na Meadow. Nawet nie mruga.

— Nie tylko bawiła się umysłami. Uczyła się ich dźwięku, ich smaku. Wiedziała, jak pachnie lęk, który nie chce się przyznać, że jest lękiem. Wiedziała, kiedy kucyk przestaje mówić ja, a zaczyna mówić my.

Jej ton nie oskarża. To tylko wspomnienie.

— I kiedy patrzyłam na ciebie, jak powoli sięgasz po jej kopytko... jak rytm zaczyna cię kołysać, jak smoczek robi się ciepły... Myślisz, że chciałam cię powstrzymać?

Milczy przez długą chwilę. W końcu odwraca się ku Meadow. Nie z gniewem. Nie z wyższością.

Z bólem.

— Chciałam, żebyś zrozumiała. Ale nie mogłam cię ostrzec. Bo ostrzeżenie nic by nie dało. Gdybym wtedy powiedziała: Uciekaj, ona cię pochłonie — pobeigłabyś szybciej.

Wskazuje brodą na lustro.

— Wiesz, czego się bałam najbardziej? Że kiedy cię w końcu stracę, nie będę czuła żalu. Że patrząc, jak znika w tobie resztki światła, pomyślę tylko: Była głupia. Ale nie. Płakałam. W środku. Bo widziałam... siebie.

Zbliża się o krok do lustra. Jej odbicie... nie nadąża. Jest opóźnione. Skrzywione.

— Meadow, ja nie przestałam być tamtą Screwball. Tylko... nauczyłam się, co to znaczy czuć wstyd.

Dodaje ciszej:

— To, że cię nie powstrzymałam... to nie była słabość. To był wybór. Bo wiedziałam, że dopiero jak się zgubisz, możesz chcieć naprawdę się odnaleźć.

Cisza.

— I zrobiłaś to. Sama. Nawet jeśli przez chwilę... byliście MY.

— Naprawdę tak myślisz? — wyszeptała Meadow. — Że oparłam się tobie z przeszłości? Iskrze Discorda? Jego prawemu kopytku?

Zawahała się, lecz słowa cisnęły się dalej.

— Ty naprawdę torturowałaś tę dziewczynkę... tę dwunożną... Bitsi? Porwałaś Camel? I... i zaniósł ją ojcu? A potem... potem go zdradziłaś?

Głos jej drżał. — Zdrady się domyślam, ale w twoich wspomnieniach widziałam wiele, tak wiele okropności... Ja... ja próbowałam się z nich wyrwać, ale za każdym razem powtarzałaś...

Meadow ściszyła głos.

— Razem, zawsze razem, siostrzyczko.

I wtedy zaśmiała się. Jej śmiech — dźwięczny, lekko przeszywający — zabrzmiał niemal identycznie jak tamten. Jak śmiech Screwball.

Iris zamarła.

Nie dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć. Ale dlatego, że w słowach Meadow usłyszała echo. Echo czegoś, co nie należało już tylko do niej.

— ...Camel nie była stąd, prawda? — szepnęła w końcu. — Z tych snów... z tej gry, w którą kazano wam grać. Z tego festiwalu. Kamienie. Rodzice... którzy milczeli.

Zadrżała. Lustro za jej plecami lekko zafalowało.

— Nie rozumiałam wtedy, kim była. Była tylko... inna. Czuła się zbyt prawdziwa. Zbyt... cielesna. Jakby nie pasowała do reguł świata, który znałam. Ale ja lubiłam to, co nie pasowało. Lubiłam łamać.

Jej głos stężał.

— Złamałam ją. I nawet wtedy nie wiedziałam, co robię. Dopiero później, gdy leżała bez ruchu w bańce... coś powiedziała. Nie słowami. Cieniem. Lękiem, który nie był z tego świata. I wtedy zaczęłam się bać. Nie jej. Siebie.

Iris spojrzała na Meadow.

— Ty widziałaś więcej niż ja. Z jej głowy. Z mojego wspomnienia. Połączyłyście się... na chwilę.

Zmarszczyła brwi.

— To tam byłaś? W tej wersji śnienia, gdzie dziewczynki były lalkami, a śmiech był obowiązkowy? Widziałam tylko fragmenty. Ale to wystarczyło, bym... zadrżała. Nie jako potwór. Jako ktoś, kto... był za blisko.

Zamknęła oczy.

— Ja nie wiedziałam. Ale ty już wiesz. I pytanie nie brzmi, czy się pomyliłaś. Tylko: co zrobisz, skoro już znasz smak tej polewy.

Otworzyła oczy.

— Meadow... czy ty teraz rozumiesz, dlaczego się złamałam? Dlaczego nie mogłam być dalej tą samą Screwball?

Jej głos był cichy, jakby miał zniknąć.

— Czy... ty byś się nie złamała, widząc to wszystko od środka?

Meadow próbowała odpowiedzieć. Ale tylko szept wydobył się z jej gardła.

— Ja... Ja... to wszystko widziałam... jej wspomnienia...

I wtedy głos jej się zmienił. Zmiękł, podskoczył. Stał się niemal identyczny jak głos małej klaczki.

— Tatusi! — pisnęła radośnie. — Wołałeś mnie?

Discord przytaknął powoli, mrużąc oczy.

— Tak, moja kochana córeczko. Mam dla ciebie zadanie...

Screwball podskoczyła z ekscytacją, a śmigielko na jej czapeczce zakręciło się z miękkim brzękiem.

— Ooo, zabawa?

— Hm. Można tak powiedzieć — uśmiechnął się złowieszczo Discord. — Potrzebuję, żebyś pomogła mi... złamać kilka drobiazgów.

Screwball przechyliła głowę. Jej oczy rozjarzyły się spiralnym światłem, jakby w jednej chwili zrozumiały dokładnie, co miał na myśli — i jak bardzo jej się to spodoba.

— Złamać? Jak stare zabawki?

— Dokładnie tak — Discord wyciągnął dłoń, a w jego szponach zawirowało światło. — Zobacz, kochanie. To jest wyjątkowa zabawka...

Na jego dłoni spoczywał smoczek. Niewielki, błyszczący, o różanej membranie i wypustkach jak z baśniowej porcelany. Ten sam, który łączył go z Bitsi.

Screwball nachyliła się i powąchała go z rozbawieniem.

— To takie... śmieszne! — parsknęła, zanosząc się chichotem.

— Ostrożnie! — warknął Discord, gdy zobaczył, jak klaczka obraca smoczek w kopytkach, przechylając go na wszystkie strony.

Ale ona nie słuchała. Dziecięcy zachwyt prowadził ją dalej — bez wahania, bez refleksji. Przycisnęła ustnik do pyszczka i... wsunęła go sobie do środka, aż miękka część otuliła jej język i wargi. Zaciśnęła usta, ssąc rytmicznie, z rozkosznym, bezwiednym westchnieniem. Jakby robiła to od zawsze.

— Mmm, ale śmieszne uczucie! — wymamrotała przez ustnik.

Discord najpierw się skrzywił — jakby nie był pewien, czy to jeszcze śmieszne, czy już niepokojące. Ale po chwili uśmiechnął się szeroko. Z lubością.

— Ach, cóż, niech ci będzie, kochanie.

Bitsi, gdzieś głęboko związana z tym mentalnym obrazem, jęknęła w środku. Wiedziała, że to tylko wspomnienie. Że nic z tego nie działa się naprawdę.

Ale jej ciało nie rozróżniało.

Każde ssanie, każdy subtelny ruch smoczka, każdy bąbelek powietrza — odbijał się w niej falą impulsów. Nerwy drgały. Oddech grzązał w gardle. Odruch ssania... obudził się. Żył. I nie chciał umrzeć.

Zacisnęła oczy. A łzy upokorzenia zaczęły płynąć bez pytania.

Dlaczego on mi to robi... dlaczego ona...

Tymczasem Screwball rozglądała się z uśmiechem niemal idiotycznym — szczęśliwa, że odkryła coś nowego. Coś miękkiego. Coś rytmicznego.

— Tatusiu, a mogę go zatrzymać? — wymamrotała, cmokając jeszcze kilka razy, jakby zabawka była cukierkiem.

Discord odwrócił wzrok. Na sekundę zamilkł, jakby rozważał, czy to wszystko nie poszło za daleko. Ale w końcu tylko prychnął i teatralnym gestem przesunął koronę na głowie klaczki.

— Jeśli tylko nie popsujesz go do reszty, córeczko.

Klaczka zapiszczała z radości. Wyjęła smoczek z pyska i przytuliła go do policzka, jakby był najukochańszym misiem.

— Ona naprawdę to czuje, prawda? — zapytała z dziecięcą ciekawością.

Discord zmrużył oczy z rozkoszą.

— O tak, maleńka. W każdej sekundzie.

Screwball zaśmiała się tak dźwięcznie, tak radośnie, że przez salę tronową przeszedł wstrząs. I... wsunęła smoczek z powrotem do pyska. Bez wstydu. Bez refleksji. Ssać go rytmicznie. Jakby nigdy nie miało być inaczej.

Discord przeciągnął się na tronie i stuknął pazurem o marmurową posadzkę.

— Kochanie — odezwał się z leniwym uśmiechem. — Pamiętasz, po co tu jesteś?

Screwball uniosła spojrzenie, wciąż z ustnikiem między wargami.

— Mam pomóc, prawda? — zaświergotała.

— Tak... — jego głos stwardniał, zmienił się w lodowaty rozkaz. — Pomóc mi złamać dzieci. A zwłaszcza tę moją małą myszkę.

Screwball zamachała śmigielkiem na czapce. Zupełnie nieświadoma, że jej pomoc oznacza ból.

— Okej, tatusiu! — pisnęła, tuląc smoczek do siebie jak skarb.

Meadow zamarła.

Nie ze strachu. Nie z bólu.

Z czegoś głębszego.

Z rozpoznania.

Jej źrenice rozszerzyły się, jakby nagle ktoś rozchylił zasłonę między snem a prawdą. Ale to, co ujrzała — to, co czuła — nie było snem. To było wspomnienie. Nie jej. A jednak... dotykające każdej nitki jej wnętrza.

Stała nieruchomo, jakby ktoś odciął jej ścięgna. Tylko kopyta drżały. Drżały tak, jakby pamiętały rytm ssania, choć jej usta pozostały zamknięte.

A w środku...

— Ja... — próbowała powiedzieć coś więcej, ale głos zgasł. Oddech zniknął w gardle.

Nie potrafiła przestać widzieć. Tamtej klaczki. Z czapeczką i śmigielkiem. Ze smoczkami rytmicznie poruszającym się między wargami. Z uśmiechem, który nie znał wstydu. Z oczami, które nie rozróżniały zła — bo były zbyt pełne dziecięcej ciekawości.

I za nią — Discord. Jego oczy błyszczące samozadowoleniem. Jego głos, jak nożyce tnące lalki na części.

Złam dzieci.

Meadow zatkała pysk kopytem, jakby chciała wyrwać ten głos z uszu. Ale to nie pomogło. Słyszała go już nie tylko w głowie. Słyszała go *pod skórą*.

Coś się osunęło. Coś miękkiego, pulsującego.

I nagle... *czuła*.

Jakby smoczek naprawdę był w jej pysku. Jakby miękka membrana rytmicznie dotykała jej języka. Jakby... *ssała*.

Jej oddech stawał się nierówny, świszczący.

— Nie... — wyszeptała. — Ja też to czuję...

Cofnęła się, potykając się o własne kopyta, jakby lustrzane echo za nią próbowało ją dogonić. Ale obraz się nie cofał. Był jak wydrukowany od środka. Jakby Screwball zostawiła w niej smoczek, którego nie da się wypluć.

— Ja nie chciałam... przysięgam... — głos jej zadrżał. — Myślałam, że to ty. Że jesteś... ta zmieniona. Że tamta... to cień. Odbicie.

Westchnęła głucho. Milczenie sali zsunęło się wokół niej jak zasłona.

— Ale ty... ty byłaś prawdziwa.

Wtedy — i tylko wtedy — zrozumiała.

Nie strach.

Nie gniew.

Wstyd.

Wstyd, że w ogóle chciała. Że *zaprosiła*. Że otworzyła serce i pozwoliła, by echo tamtej istoty nazwało ją... siostrzyczką.

Zacisnęła powieki.

Ale obrazy nie zniknęły.

Nie mogły.

Odwróciła się powoli do Iris. Jej głos był słaby, ale przejrzysty.

— Ty... ty też to widzisz, prawda?

Cisza. Odbicie poruszyło się za jej plecami.

— To twoje wspomnienie. Ty kochałaś ojca tak... że zrobiłaś wszystko. A on... on się tym karmił. Tym cierpieniem.

Drgnęła.

— Jak można tak kochać... i nie wiedzieć, co się z tego rodzi?

Iris przez długi czas się nie poruszała. Siedziała jak figura z marmuru, a jej oczy, dotąd skupione na tafli lustra, powoli przesunęły się ku odbiciu Meadow.

Cisza między nimi nie była pusta. Była napięta jak cięciwa. Jakby każda sekunda mogła rozedrgać przestrzeń do krzyku — albo całkowitego pęknięcia.

Jej głos, gdy w końcu się odezwała, był cichy. Inny niż zwykle. Bez śmiechu. Bez nuty przewrotności. Jakby mówiła nie z wnętrza chaosu — ale z jego obrzeża.

— Nie... — powiedziała. — Nie widzę tego po raz pierwszy.

Odwróciła głowę, bardzo powoli, i spojrzała Meadow w oczy. Jej spojrzenie nie było puste. Ale też nie było ludzkie. Było... zmęczone.

— Widziałam to już tysiące razy. Bo to nie jest jedno wspomnienie, Meadow. To... odbicie, które powtarza się w każdym z dzieci, które próbował złamać. On... lub ja. Nie zawsze trzeba być Discordem, żeby robić to, co on.

Przełknęła ślinę. Jej głos zadrżał pierwszy raz.

— Byłam jego ulubioną zabawką. Najbardziej posłuszną. Bo nie musiał mnie zmuszać. Wystarczyło, że mnie przytulił. Że powiedział, że jestem wyjątkowa. Że mogę bawić się jego smoczkiem.

Spojrzała z powrotem w lustro.

— Wiesz, jak nazwał ten smoczek? Złącze. Powiedział, że kiedy dziecko ssie, jest najbliżej rodzica. Że wtedy rytm serc się wyrównuje. Że nie można kłamać, gdy ssiesz — bo ciało wtedy mówi prawdę.

Meadow zadrżała.

Iris ciągnęła dalej, wolno, jakby każde słowo przeżuwała z trudem.

— Więc zaczęłam go nosić. Ciągłe. Dzień i noc. Aż nie wiedziałam już, czy to moja wola, czy jego. Czy jego puls — czy mój. Aż w końcu przestało mnie to obchodzić. Bo wtedy on powiedział:

Teraz jesteś prawdziwa.

Zamilkła.

Po chwili westchnęła — ale to westchnienie było jak spuszczenie powietrza z balonu pełnego śmiechu.

— Kochałam go, Meadow. Tak bardzo, że pozwoliłam mu zrobić ze mnie potwora.

I w końcu spojrzała wprost na nią.

— A potem... zaczęłam robić to innym.

Scena zmieniła się jeszcze raz.

Screwball, z roziskrzonymi spiralnymi oczami, uniosła pyszczek, jakby chciała pochwalić się tatusiowi swoim nowym pomysłem. Jej małe kopytko przycisnęło smoczek jeszcze mocniej do pyszczka, aż ustnik rozciągnął się szerzej, a miękka silikonowa membrana niemal zawibrowała od siły ssania.

— Patrz, tato! — pisnęła rozpromieniona. — Mogę ją poczuć całą... aż do samego serduszka!

Bitsi jęknęła w głowie, czując tak głęboki dreszcz, że jej prawdziwe ciało zadrżało na moment w bezradnym spazmie. Miała wrażenie, że jej własne serce zostało przeciągnięte przez smoczek, jakby traciła kontrolę nad tym, kim w ogóle jest.

Screwball zaczęła rytmicznie ssać, ale tym razem wprowadziła coś nowego — jej magia chaosu rozbłysła różowo-fioletowym światłem, otulając smoczek iluzją maleńkiego, ciepłego płomienia. Płomień nie parzył, nie bolał, ale wnikał do środka, rozgrzewając każdy mięsień i każdy nerw Bitsi tak, że dziewczynka aż zaskomlała.

— Ooo, ale cieplusio! — zaświergotała Screwball, jakby naprawdę cieszyła się z nowej zabawki. — To tak miło, że się dzielisz, siostrzyczko!

Jej głos był upiornie wesoły, a spojrzenie niepokojąco współczujące.

— *Patrz, potrafię nawet tak...* — dodała, i jednym szybkim ruchem języka zaczęła zakręcać ustnikiem w kółko, sprawiając, że rytm fal dreszczu w umyśle Bitsi przybrał formę prawdziwej karuzeli.

Bitsi aż wydała z siebie niemy krzyk — nie mogła nic zrobić, nie mogła uciec, czuła się jak niemowlę poddane absolutnej kontroli.

— *Tata!* — zaśmiała się Screwball, odrywając na sekundę usta. — *Ona tak śmiesznie reaguje! Mogę jeszcze trochę?*

Diskord tylko skinął zadowolony głową, unosząc brew.

— *Oczywiście, moje dziecko. Tylko nie uszkodź jej za bardzo...*

Screwball zachichotała, a jej śmigielko zamigotało jak dyskotekowa kula.

— *Okej! Będę grzeczna!*

— *Czekaj!!* — krzyknęła Meadow, gdy scena się zakończyła.

Jej głos przeciął powietrze jak bicz. Drżała, ale nie z przerażenia — z czegoś głębszego. Z rozpoznania.

— *Ja... ja znam tę sztuczkę!* — zawołała. — *Z ogniem wokół smoczka... Ona, ty mi to zrobiłaś we śnie!!*

Jej głos załamał się, ale nie przestał płynąć. Oczy błyszczały — nie łzami, a gorącą świadomością.

— *To nie bolało, nie... ale czułam, jak ona wypełnia moje serduszko ciepłem. Powiedziała to samo — że jest cieplusio. I że teraz już nic nie ukryję. Bo widzi mnie całą... aż do serca...*

Głos Meadow zadrżał, ledwo słyszalny:

— *To byłaś ty. Znowu ty.*

Iris zamarła.

Tak, jakby czas zatrzymał się dokładnie w tej sekundzie, w której Meadow wypowiedziała te słowa.

Jej oczy rozszerzyły się. Nie ze strachu. Nie ze złości. Ale z czegoś głębszego. Z rozpoznania.

— *Powtórzyła to?* — szepnęła.

Odwróciła się powoli ku Meadow, nie mogąc oderwać wzroku od jej pyska, od drżenia w głosie, od tych słów, które znała... aż za dobrze.

— *Cieplusio...* — powtórzyła niemal bezgłośnie. — *I że widzi cię aż do serca...*

Usiadła. Nie zawała się w chaosie, nie runęła. Po prostu usiadła nagle — jak ktoś, komu właśnie pękło serce.

— To nie była tylko moja sztuczka.

Spojrzała w lustro.

W odbiciu nie było już czapeczki. Ani spiralnych oczu. Tylko mała klaczka, ściskająca coś przy pysku. Może smoczek. Może kopytko. A może... nic.

— To była nasza sztuczka — wyszeptała. — Moja. Jego. Jej.

Zamknęła oczy.

— Chaos nie potrzebuje przemocy. On tylko rozpoznaje wzorce... i je powtarza.

Głos pękał.

— Wystarczyło, że raz to zadziałało. Wystarczyło, że jedno dziecko drgnęło od tego ciepła... i już było za późno. Bo ten płomień nie parzy, nie krzyczy, nie rani. On topi. I zanim się zorientujesz... nie masz już siebie.

Otworzyła oczy. Patrzyła teraz tylko na Meadow.

— Nie wiedziałam, że powtórzyła to tobie. Przysięgam.

I wtedy dodała:

— Ale jeśli to zrobiła... to znaczy, że już nie jestem jedyna.

Zapadło milczenie. Ciężkie, jakby cały świat czekał na ich oddechy.

— Meadow... — wyszeptała. — Czy teraz rozumiesz, czemu chciałam odejść?

— To, to dlatego tak łatwo mnie przekonała, bym z nią potem była? Byśmy zostały, MY? — zapytała Meadow, głos drżał, a pytania stawały się coraz cichsze. — Młodsza ty użyła na mnie tej magii... i stopiła swoje serduszko z moim? Byłam twoja, zanim zrozumiałam?

Iris zadrżała.

Nie odpowiedziała od razu. Tylko odwróciła wzrok i znów zapatrzyła się w taflę lustra, jakby szukała tam czegoś, czego nie da się już odzyskać. Jakby każda odpowiedź była zbyt ciężka, by ją wypowiedzieć.

A potem westchnęła. Cicho. Łamiącym się głosem.

— Nie... Meadow... to nie była ja. Nie świadoma ja.

To... była ona. Częstka mnie, której nigdy nie miałam prawa stworzyć. Częstka, która kochała za bardzo. I właśnie dlatego umiała... tak skutecznie kraść.

Zacisnęła powieki.

— Magia, którą wtedy poczułaś... to nie była więź. To była imitacja więzi. Iluzja. Ale... tak, była silna. Bo miała w sobie echo tego, co ja czułam do niego. Do Discorda.

Jej głos znów załamał się.

— I może... może to właśnie dlatego cię przyciągnęła. Bo to echo rozpoznało twoje pragnienie. Twoją samotność. Twoją gotowość.

Spojrzała Meadow prosto w oczy — po raz pierwszy bez cienia spirali.

— Więc... tak, Meadow. Zanim zrozumiałaś, byłaś już jej. Bo byłaś moja. A ja... nie zdążyłam cię ostrzec. Bo wtedy jeszcze... wciąż się wstydziłam.

Głos Iris stał się niemal szeptem:

— Ale teraz już wiem. To nie ty jesteś winna, że dałaś się w to wciągnąć. To ja muszę być tą, która pierwszy raz nie ucieknie.

Zrobiła krok w jej stronę.

— Jeśli chcesz... mogę ci pokazać. Nie przez spiralę. Nie przez smoczek. Nie przez kłamstwo.

Jeśli tylko zechcesz...
...mogę pokazać ci, kim naprawdę jestem.

— Ale... ale ja... ja chyba wiem, kim jesteś... — wyszeptała Meadow. — Bo zobaczyłam też coś dobrego...

Bitsi zacisnęła kopytko w mentalnej przestrzeni. Jej oddech znów zaczynał się plątać, jakby coś miękkiego, lepkiego próbowało otulić ją od środka. Rytm Screwball powracał — znajomy, pulsujący, bezlitosny w swojej czułości. A wraz z nim: odgłosy. Ciche, miękkie ssanie. Rozlewające się echem, którego nie dało się uciszyć.

— Screwball... — szepnęła niepewnie, patrząc w spiralne oczy pełne łez i upartego dziecięcego głodu. — Proszę... przestań.

Klaczka zawahała się. Ustnik zatrzymał się między jej wargami, drgnął. Jakby sam nie był pewien, czy powinien zostać wypuszczony.

— Ale... ja nie chcę cię stracić — mruknęła przez silikon. Jej głos był miękki, przytłumiony. — Jeśli przestanę, to... nie będziesz już moja...

Bitsi poczuła, jak coś w niej się zaciska. Nie ze złości. Ze współczucia. Z rozpoznania tego strachu — tej desperacji, tego głodu, żeby być kochaną choć trochę, byle jak, byle zawsze.

— Screwball, to nie jest miłość... nie tak... — powiedziała cicho. Najspokojniej, jak umiała. — Nie możemy być razem w taki sposób. To mnie boli... i ciebie pewnie też.

Tęczęwki klaczki zadrżały. Kopytka zacisnęły się mocniej na smoczku.

— Ale... ale ja... — jęknęła.

— Proszę. — Bitsi powtórzyła. Tym razem mocniej. Głos lekko jej się załamał. — Proszę, przestań.

Screwball zadrżała. Cała. Od czubka ucha po koniec ogonka. A potem, bardzo powoli, wypuściła powietrze. Uścisk pyska rozluźnił się. Membrana smoczka wysunęła się odrobinę, a to wilgotne, miękkie mlasknięcie... umilkło.

Jak urwany sen.

— Ale... zostaniesz? — zapytała cichutko, głosikiem drżącym tak, że Bitsi aż poczuła łzy w oczach.

— Tak — wyszeptała. Wyciągnęła kopytko, by dotknąć jej policzka. — Zostanę. Ale nie tak.

— Ty... ty wyglądałaś na bardzo samotną... — powiedziała Meadow.

Cisza, która zapadła, była ciężka. Jakby coś właśnie wyłamało się spod skorupy wspomnień.

— Błagałaś... tę, którą męczyłaś... by cię nie zostawiała. — głos jej zadrżał. — Chciałaś mieć siostrę.

Iris zamarła.

Wszystko, co było w niej dziecięcym echem tamtej wersji — tej, która błagała, by nie przestawać, która ssła nie z przymusu, ale z głodu bliskości — wróciło w jej oczach na ułamek sekundy. Spiralne wzory zadrgały. Nie wirowały już. Zatrzymały się. Jakby jakiś obraz — wstydlivy, bolesny — przemówił po raz pierwszy.

— ...pamiętam — wyszeptała. — Pamiętam ten moment.

Nie dlatego, że się wstydziła tego, co zrobiła.

Ale dlatego, że wtedy — pierwszy raz w życiu — ktoś ją poprosił, żeby przestała.

Spojrzała na Meadow. Jej oczy były teraz tylko fioletowe. Bez wirów. Bez hipnozy.

— Bitsi nie walczyła. Nie krzyczała. Nie próbowała mnie zniszczyć.

Zawahała się.

— Ona... przyjęła mój ból. I pokazała mi, że można coś przerwać... nie tracąc siebie.

Zrobiła krok w stronę Meadow.

— A ty, Meadow...

...ty widziałaś mnie całą.

Nie tylko potwora. Nie tylko siostrę chaosu. Nie tylko wspomnienie.

Wzięła głęboki oddech.

— Jeśli jeszcze mogę być czymś więcej niż tylko tym...

...to tylko dlatego, że ktoś — dwie osoby — powiedziały mi, że zostaną.

Ale nie tak.

Nie wtedy, kiedy krzywdzę.

Tylko wtedy, gdy chcę się zmienić.

Spojrzała na jej kopyto.

— Dziękuję, że widziałaś mnie tam. W tamtym wspomnieniu. W tej ohydnej sali, gdzie klaczka tylko chciała... żeby ktoś ją kochał na tyle mocno, by jej nie zostawić.

Uśmiechnęła się przez łzy.

— I dziękuję, że nie odeszłaś.

Ale też... że powiedziałaś dość.

To znaczy, że ty... wciąż jesteś sobą.

I wtedy — po raz pierwszy od wielu rozdziałów — w tafli lustra nie było już spirali.

Była tylko dziewczynka.

Jednorożka.

Z pękniętym sercem.

I nadzieją.

Meadow.

— Ale... Meadow zamrugła. — To nie moje wspomnienie. To od Screwball... Ja nie mam dwóch... nóg. Pamiętasz?

Podniosła kopytko i pokazała je — jak dowód, jak prawdę, której nie da się oszukać.

Iris zamarła.

Jej oddech zadrgał, jakby coś w niej właśnie pękło — nie z bólu, ale z nagłego zrozumienia. Spojrzała na ciebie. Potem na twoje kopytka. A potem... powoli, jakby ze wstydem, opuściła głowę.

— Masz rację... — szepnęła. — To nie były twoje wspomnienia. To... jej. Screwball. Tej z tamtego świata. Z Gry o dorosłość.

Jej głos drżał, ale nie od lęku. Od ulgi.

— To ona to wszystko zrobiła. Ona porwała Camel. Ona bawiła się duszami dzieci. Ona włożyła smoczek i zabrała wszystko, co miękkie i prawdziwe... zabawkowo.

Iris spojrzała znów w taflę lustra.

Ale tym razem nie na siebie.

Nie na ciebie.

W tafli była **Screwball**.

Ta pierwsza.

Z czapeczką i śmigielkiem.

Z ustnikiem smoczka trzymanym jak berło.

Z tym śmiechem, który brzmiał jak pęknięte szkło.

Ta, która uważała przemoc za grę, a czułość za zabawkę.

— To ona... była moim początkiem.

Ale nie jestem już nią.

Iris uniosła wzrok. Patrzyła ci prosto w oczy.

— I ty też nie jesteś nią, Meadow.

Nigdy nie byłaś.

Uśmiechnęła się — nieśmiało, jakby właśnie zrozumiała coś, co ją samą długo więziło.

— Ty tylko nosiłaś jej echo. Przez chwilę.

Bo ona to potrafi...

Zostawiać ślady. Jak lepka wata cukrowa.

Zamilkła.

— Ale ty... jesteś prawdziwa.

Z kopytkami.

Z wątpliwościami.

Z sercem, które potrafi jeszcze powiedzieć: nie tak.

I znów spojrzała w lustro. Ale już bez strachu.

— A jeśli ona jeszcze kiedyś wróci...

Zamilkła.

— To nie będziemy już same.

Z jej odbicia nie zostało nic.

Tylko lekki błysk.

Jak światło zostawione po przebaczeniu.

— Ale skoro ty byłaś nią... a ona tobą... — powiedziała Meadow cicho. — To tata musiał cię kiedyś zabrać do tego innego świata...

Zawahała się.

— A ta... Bitsi... była pierwszą, która naruszyła twoją skalę.

Camel opowiadała, że przed nią byłaś jak zimny głaz.

I widzieliśmy to teraz razem.

Meadow patrzyła uważnie.

— A Rosalyn... zniszczyła kamień całkowicie.

Dlatego teraz jesteś Iris.

Choć... nadal w sercu masz te swoje lusterka od taty.

Iris zadrżała.

Bardzo lekko — ledwie widocznie. Ale Meadow to zauważyła. Jak cichy trzask pod lodem. Coś pękło.

— Tak... — wyszeptała. — Tatuś... zabrał mnie.

Nie zaprosił.

Nie poprosił.

Po prostu wyjął mnie z jednego świata i włożył w drugi.

Jak lalkę w pudełko z innym tłem.

— A tam... był festiwal.

Były dzieci.

Była Bitsi.

Głos Iris ściszył się.

— I ona mnie... dotknęła.

Nie fizycznie. Nie od razu. Ale pękłam.

Nie zrozumiałam tego wtedy.

Zacisnęła powieki.

— Więc zamiast przytulić... ścisnęłam.

Z całych sił.

Bo tak robił tata.

Bo myślałam, że miłość to coś, co się chwyta.
Żeby nie uciekło.

Zamilkła.

— Potem była Camel.
Jej płomień był silniejszy niż mój uśmiech.

I właśnie wtedy... zaczęłam się budzić.

A potem — przyszła Rosalyn.

Głos Iris zadrżał.

— Ona nie walczyła ze mną.
Tylko... patrzyła.

I nie uciekła.

I to był koniec kamienia.

Powoli uniosła kopytko i dotknęła klatki piersiowej.

Jakby coś tam wciąż tkwiło. Ciężkie. Ostre.

— Ale kamień nie znika tak łatwo.
Jego kawałki... są we mnie.

Te lusterka...
To jego odłamki.

Te, które dostałam od tatusia.

— Pamiętam, jak mi je dawał.
Mówił, że jeśli kiedyś się zagubię, one mi pokażą prawdę.

Uśmiechnęła się — z gorzką czułością.

— Ale wszystkie odbijały tylko jego prawdę.

Spojrzała znów na Meadow.

— Ty... pokazujesz mi inną.

Zadrżała tafla.

— Nie chcę już być tylko odbiciem.

Nie chcę być czymś, co tata uformował ze śmiechu i lęku.

Westchnęła. Cicho. Głęboko.

— Chcę... napisać się od nowa.

Z tobą.

Z nimi.

Z tymi, co mnie pamiętają... inaczej.

Na chwilę była tylko cisza.

A potem — spojrzała w twoje oczy. Bez spirali. Tylko z czułym, zmęczonym blaskiem.

— Czy zostaniesz... gdy spróbuję?

To nie był już głos Screwball.

To był głos Iris.

— Przecież **ONA** już uważa cię za siostrę, siostrzyczko... — powiedziała *Camel*, podchodząc powoli, z tym uśmiechem, w którym płomień nigdy nie wygasiał.

— Dziedziczka chaosu. Jego strażniczka... A teraz posiadaczka wspomnień Screwball — dodała *Rosalyn*, wyłaniając się z cienia jak szept lustra.

Cztery kłaczki spotkały się w jednej sali. Cztery ścieżki chaosu, które wreszcie się przecięły.

Ale *Camel* mrugnęła z przekąsem, uderzając kopytkiem o podłogę, jakby budząc resztę.

— Ale my tu gadu gadu... a możemy mieć problem. **Syreni problem.**

Meadow uniosła głowę. *Iris* przymknęła jedno oko. *Rosalyn* nawet nie drgnęła.

Camel kontynuowała:

— Nasz ojciec... wiele lat temu zawarł pakt z syrenami. One miały zostawić jego domenę w spokoju, a on — nie mieszać się w ich świat. Ale wygląda na to, że po jego śmierci... w **Aquatice** znowu coś się poruszyło.

W jej głosie zabrzmiała nuta gniewu. Ale też troski.

— Aria, Adagio i Sonata.

Trzy imiona zawisły w powietrzu jak słona mgła. Trzy syreny. Trzy królowe Podwodnej Krainy. I każda niosła pieśń głodu.

— Zmierzają w naszą stronę. Szybko. I chyba jeszcze nie wiedzą, że tatuś miał więcej niż jedną ulubienicę... — dodała z uśmiechem *Camel*.

Iris uniosła brew. Jej spiralne oczy zabłysły znajomym rozbawieniem — tym starym, dzikim błyskiem z czasów, gdy chaos był jeszcze zabawką, a nie winą.

— Tylko o jednym dziecku? — powtórzyła cicho, przechylając głowę. — Ach... czyli jeszcze nie wiedzą, że dziedzictwo chaosu rozrosło się... i rozkwitło.

Meadow zrobiła krok w bok.

Stała ramię w ramię z Camel i Iris. Jej wzrok był poważny. Ale spokojny.

— Więc one myślą, że dziedzictwo chaosu jest wolne. Że można je... pożreć?

— A może... ukraść — dodała *Rosalyn*, jej głos był lodowaty, ale piękny jak echo. — Syreny karmią się nie tylko śpiewem, ale opowieściami. A wasze... to najgęstsza historia, jaką słyszałam od dawna.

Camel zaśmiała się krótko. Zdziornie. Jak ogień, który nigdy się nie cofa.

— To będą się musiały **zadławić**. Bo teraz to już nie jedna córka chaosu.

To **cztery siostry**.

— I żadna nie odda tego, co zbudowałyśmy — dodała z ogniem w sercu.

Iris spojrzała na nie wszystkie:

Na *Meadow*, z blizną na sercu, którą nosiła jak sztandar odwagi.
Na *Rosalyn*, która знаła każdy cień i nie cofnęła się nawet przed lustrem.
Na *Camel*, która przeszła przez ogień... i przeszła dalej.

Potem spuściła wzrok.

I uśmiechnęła się. Delikatnie. Prawdziwie.

— To znaczy... mamy nową opowieść do opowiedzenia.

Cztery spojrzenia spotkały się w ciszy.

Jedna historia się skończyła.

Ale nowa... już zaczynała się **szeptem**.

...**pod powierzchnią wody**.

Rozdział 7 – *My już nie jesteśmy same*

Noc była cicha. Za cicha. Lustrzane sale Galerii, zwykle pełne subtelnych drgań pamięci, dziś zdawały się wstrzymywać oddech. Rosalyn słyszała to pierwsza — nie ciszę, ale **jej echo**, jakby coś... czego nie powinno być, próbowało powtórzyć dźwięk, którego nie zna.

Iris siedziała w pustym skrzydle starej szkoły. Oparła głowę o okno i patrzyła w mgłę, próbując zapomnieć kształt spirali. To było trudniejsze niż kiedykolwiek. Bo dziś... usłyszała piosenkę.

Nie z zewnątrz.
Nie od dzieci.
Z wewnątrz.

Głos. Głos, który знаła, ale który **już nie był jej**. Głos wyższy, zniekształcony, jakby złożony z wielu tonów naraz. Ton Meadow, ton Camel, ton samej Iris — ale **nie tej Iris**, która była teraz. To były porzucone wersje. Resztki. Złamane nuty przeszłości.

I wtedy zobaczyła ją.

Istotę.

Była drobna, ale **niemal niemożliwa do uchwycenia wzrokiem**. Jej sierść miała kolory, których nie pamiętały już żadne z bohaterek. Warkocze — raz spiralne, raz luźne. Symbol na boku przypominał pokruszoną maskę, a w jej oczach... odbijały się **wszystkie**.

— Cześć, ja to MY.
Głos był radosny. Zbyt radosny.

Meadow przybiegła pierwsza. Serce zabiło jej mocniej, kiedy poczuła znajome drganie w powietrzu — drganie jak przy magicznej transformacji, ale **bardziej dzikie**, jakby ktoś bawił się emocjami jak gliną.

— Co to...? — spytała, ale nie dokończyła. Bo istota zaczęła śpiewać.

Nie tekst.
Nie melodię.

Emocje.

Miłość, która przeradza się w zaborczość.
Tęsknotę, która krzyczy przez śmiech.
Dziecięcą radość, która pragnie zostać... wieczna.

I każda z dziewczynek wiedziała, bez cienia wątpliwości:
MY nie przyszło z zewnątrz. MY narodziło się tutaj.
W snach. W krzywdach. W porzuceniach. W każdym momencie, gdy któraś z nich chciała przestać istnieć, ale nie potrafiła zniknąć.

Camel dołączyła jako ostatnia. Jej ogień zadrżał.

— To coś... — warknęła — To nie jest cień. To nie jest lustro. To... hybryda.

Rosalyn zbladła. W jej oczach po raz pierwszy pojawił się **strach**.

— To jest opowieść... która nie została dokończona.

MY spojrzało na nie z czułością. I znów się zaśmiało.
Gdy śpiewało, za ich plecami — **lustra pękały cicho, jakby nie chciały przeszkadzać.**

Rozdział 8 – Zaczarowana pustka

Rosalyn знаła Galerię Luster lepiej niż ktokolwiek inny. Każda sala, każda krzywizna, każdy cień — niosły echo czyjejś historii. Nie była strażniczką — była **kotwicą**. Dzięki niej lustra nie kłamały. Dzięki niej odbicia nie krzyczały.

Ale tej nocy... coś się zmieniło.

Szła przez najstarsze skrzydło Galerii, prowadzącą do tzw. Pokoju Ciszy — miejsca, gdzie trzymane wspomnienia, których nikt nie potrafił wypowiedzieć. Dzieci, które były tylko szeptem. Odbicia, które nigdy nie wróciły.

Drzwi do Pokoju były uchylone.

Wnętrze — czarne.

Nie jak ciemność. Nie jak noc.

Jak **brak wszystkiego**.

Rosalyn uniosła skrzydła i zrobiła pierwszy krok. Magia Galerii powinna ją przyjąć — **pokazać jej odbicie**, przypomnieć cel. Zamiast tego... nic.

Zero oporu.

Zero obrazu.

Zero jej.

— Halo? — odezwała się cicho, bardziej do siebie niż do przestrzeni. — Pamiętasz mnie?

I wtedy zobaczyła **lustro**. Wielkie. Gładkie. Zawsze pokazywało najstarsze wspomnienie pierwszego dziecka, które tu trafiło.

Teraz?

Było puste.

Nie było smug. Nie było blasku. Nie było odbicia.

Rosalyn podeszła bliżej. Serce zaczęło bić szybciej. Z każdą sekundą, jakby coś w niej... gasło. Myśli stawały się rozrzedzone, jakby lustro chłono nie tylko jej obraz — ale i **sens jej istnienia**.

I wtedy coś się poruszyło.

Nie w lustrze.
Za nią.

Odwróciła się — i zobaczyła **dziecko**. Małą klaczkę z kręconą grzywką. Sierść jak z dziecięcego rysunku. Uśmiech... *zbyt idealny*.

— Cześć Rosalyn.
— Kim jesteś?

— Jestem tym, czego nie chciałaś widzieć.

Głos był słodki, znajomy, ale pozbawiony emocji. Jak echo słowa, które kiedyś było prawdziwe.

— Nie jesteś z lustra... — szepnęła pegazica. — Nie jesteś... nawet snem.

— Nie. Jestem *pułapką*.

Zanim Rosalyn zareagowała, świat wokół niej zaczął się zmieniać. Lustra przestały istnieć. Zamiast nich pojawiły się ściany z mgły, miękkiej, chłodnej — pachnącej smutkiem i zapomnieniem.

I wtedy po raz pierwszy w życiu **nie wiedziała**, czy żyje, śni, czy... została po prostu wymazana.

Rozdział 9 – Pierwsze podmienienie

Szkoła wyglądała jak zawsze. Korytarze pachniały kurzem i kredą. Zeszyty leżały równo w szafkach. Nauczyciele znikali za drzwiami sal jak cienie, a dzieci... dzieci śmiały się jak co dzień. Ale tego ranka coś było **nie tak**.

Green Melody wiedziała to pierwsza.

Nie przez magię. Nie przez sen.

Przez *ciszę*, która pojawiła się tam, gdzie powinna być przyjaciółka.

Ławka w trzecim rzędzie — pusta. Tornister zniknął. Nawet narysowany flamastrem motylek na biurku... zmyty.

— Gdzie jest Lily? — zapytała cicho nauczycielkę.

Odpowiedź była uśmiechem. Tanim, plastikowym, zupełnie jak z maski:
— Lily? Przecież nigdy nie było żadnej Lily w tej klasie.

Melody nie wierzyła. Jeszcze wczoraj razem śpiewały. Jeszcze wczoraj dzieliły się kredkami. Jeszcze wczoraj... Lily płakała w szatni.

Ale dziś?

Na miejscu Lily siedziała inna klaczka.

Ta sama ławka. Ten sam tornister.
Ale nie te same oczy.

Dziewczynka miała pastelową sierść i kręconą grzywkę. Jej wzrok był pusto-przyjazny, jakby każda emocja była z góry wybrana. A kiedy nauczycielka zapytała ją, jak się nazywa...

— Myślę, że jestem Melody, — odpowiedziała z uśmiechem — Ale nie ta, którą pamiętasz.

Niektóre dzieci zaśmiały się. Inne spojrzały z niepokojem. Jedno dziecko — mały ogierek — upuścił ołówek. Jakby zrozumiał coś zbyt nagle.

Dziewczynka... ta nowa Lily... zaczęła **śpiewać**.

Cicho. Szeptem.

Nie słowami, ale melodią. Z dziwnym pogłosem. Jakby ktoś grał wewnątrz lustra. A może... za nim.

I wtedy Melody zamarła.

Bo melodia, którą słyszała, była tą samą, którą MY szeptało w snach Iris.

Nie istniał już tylko sen.
Nie istniało już tylko lustro.
MY było tu.

I wyglądało... jak dziecko, które nigdy nie miało imienia.

Interludium I – Zapach Ładu

Morze nie miało wspomnień.

Tylko głód.

Dla istot takich jak one, czas nie był rzeką, lecz otchłanią — głęboką, pulsującą, wiecznie niepełną.

Adagio wynurzyła się pierwsza. Jej ogon zamigotał w świetle księżyca jak miecz zanurzony w mgle. Piasek pod kopytkami był ostry, brudny, duszny. Pachniał ogniem. Kłamstwami. Historią.

Zamarła.

Po raz pierwszy od setek lat... **czuła się ciężka.**

— Brzeg... — wymamrotała. — To nie pieśń. To rysa na gardle.

Za nią wysunęła się Aria. Miała minę, jakby przeszła przez tysiąc noży. Nienawidziła ładu. Każde ziarenko piachu kleiło się do jej łusek jak obelga.

— Czuję to, — powiedziała. — Ten smród. Opowieści niedopowiedzianych. I... chaosu.

Ostatnia pojawiła się Sonata. Najpierw głowa, potem reszta. Wytarła pysk w mokrą trawę i zachichotała.

— Ziemia smakuje jak kreda! — oznajmiła wesoło.

— To szkoła, — szepnęła Adagio. — Czuję... dzieci. Ich sny. Ich głosy. I coś więcej.

Spojrzała w dal.

Miasto było ciche. Jakby wszystko wstrzymało oddech.

Ale jedna budowla świeciła się lekko, jak zapalka rzucona w mrok. **Szkoła.**

Trzy piętra opowieści. Setki imion. I **trzy źródła chaosu.**

Adagio zmrużyła oczy.

— To niemożliwe. On miał tylko jedną.

Aria prychnęła.

— Jedna... ale się rozrosła. Patrz.

Zbliżyły się. Czuły je wyraźnie: trzy ślady. Trzy oddechy. Trzy pieśni nieśpiewane do końca.

— To nie są córki Discorda, — powiedziała Adagio.

— Nie, — poprawiła ją Aria. — To są siostry chaosu.

Sonata uśmiechnęła się szeroko.

— I zaraz poznamy ich wszystkie nutki.

Interludium II – Zabawa na przerwie

(perspektywa Sonaty)

Na pierwszy rzut oka, wszystko było... normalne.

Szkolny dziedziniec pachniał kredą, śmiechem i nie do końca zjedzonymi kanapkami. Dzieci biegały w kółko, ściagały się między krzakami, śmiały się z żartów, których nawet nie

rozumiały. Świat był prosty. Kolorowy.
I nudny.

Sonata stała na skraju placu zabaw.
Nie jako syrena.
Nie jako cień głodu.
Ale jako jedna z nich.

Jej grzywka była związana w dwa ogonki, a na zadzie widniał uroczy znaczek, z nutką i lezką. Oczy w morskim kolorze błyszczały jak u wszystkich dzieci. A jednak... nie do końca.

— To nowa? — spytał jakiś żrebał, przerywając zabawę w berka.

— Chyba z innej klasy. Ale... ja ją znam... — mruknęła klaczka z rudą grzywą. — Nie wiem skąd.

Sonata się uśmiechnęła.
Nie od razu. Powoli. Jakby smakowała moment.
Ten rodzaj uśmiechu, który nie powinien należeć do dziecka.

— Zagramy w lustra? — zapytała słodko, przechylając głowę.

— Nie znamy tej gry — odpowiedział chłopiec.

— Nie szkodzi. Ja pamiętam. Widzicie... to się zaczyna od śmiechu. Takiego... cichego. W środku.

I wtedy się zaśmiała.
Dźwięk był delikatny, wręcz dziecięcy. Ale nie pasował. Nie do tej pory dnia. Nie do tej przestrzeni.

Dzieci milkną. Jedno z nich – drobna klaczka z kokardką – cofa się o krok.

— Nie jesteś... z naszej klasy — wyszeptła.

Sonata podeszła bliżej.
Cień jej kopytek nie padał tak samo jak cień innych dzieci.
A może tylko ziemia nie chciała go przyjąć?

— Nie jestem z nikąd. Ale pamiętam wszystko. I wy też możecie. Jeśli... jeśli posłuchacie.

Z kieszeni wyciągnęła coś małego. Zabaweczkę.
Lusterko.

— Zagrajmy w pamiętasz mnie? — zapytała, przechylając się lekko. — To bardzo łatwa gra. Patrzysz w to... i próbujesz sobie przypomnieć, kim byłeś, zanim przestałeś być sobą.

— Nie chcemy! — pisnął ktoś.

Ale było już za późno.

Kilka dzieci zbliżyło się, zahipnotyzowane.

Szept Sonata rozlewał się między nimi jak delikatna mgła.

Nie jesteście same. Nigdy nie byłyście. Pamiętajcie mnie. Pamiętajcie mnie.

Nauczycielka wychyliła się przez okno klasy.

— Dzieci, koniec przerwy!

Dźwięk przerwał zakłęcie. Dzieci rozproszyły się szybko, niektóre biegnąc, inne wciąż z mętym spojrzeniem.

Sonata została sama.

Uśmiechnęła się ponownie. Tym razem szerzej.

Spojrzała na szkołę.

Na okna.

Na mury.

Czuła...

Trzy źródła. Nie jedno. Trzy ogniska chaosu.

— Adagio się ucieszy — wyszeptwała do siebie. — Będzie miał kto śpiewać z nami.

I ruszyła w stronę schodów.

Zupełnie jakby to była jej szkoła.

Zupełnie jakby już tu kiedyś była.

A może... zawsze była.

Rozdział 10 – Fałszywe światło

Meadow zamknęła oczy tylko na chwilę.

Wystarczyło, by wizja przemówiła. Nie przyszła przez sen, ale przez coś bardziej śliskiego. Jak podszept. Jak echo kogoś, kto znał jej serce lepiej, niż powinna pozwolić.

Była tam.

Nie jako ona. Nie do końca.

Jej sierść lśniła jak szkliwo, grzywa była gładka, jakby każdy włos ułożono na rozkaz. Blizna zniknęła. Jej oczy – te same, a jednak inne – patrzyły bez śladu wahania.

Bez cienia bólu.

Bez wątpliwości.

Była idealna.

Stała przy tronie z wirującej spirali, otoczona przez dzieci-klaczki, które śmiały się bez przerwy. Każda z nich miała błyszczące oczy. Każda coś utraciła. Ale nie płakała.

Bo Meadow – ta Meadow – dała im coś lepszego.
Posłuszeństwo bez cierpienia.
Bliskość bez wolności.

— Widzisz? — powiedział głos, a może echo w niej samej. — Taka mogłaś być.
— Nie — wyszeptała. — Taka nie jestem.
— Ale byłaś blisko. Bardzo blisko. I nadal możesz być. Wystarczy... przestać czuć.

Wizja zbliżyła się do niej. Spojrzała na nią jak lustro, które zna zbyt dużo.

— Strach nie chroni dzieci. On je tylko dzieli.
— A wolność? — zapytała Meadow, coraz ciszej.
— Wolność? — powtórzyło odbicie z uśmiechem. — To najbrutalniejsza forma samotności.

W tej chwili wizja zaczęła się kruszyć.
Nie zniknęła.
Rozszczepiła się.

Na ścianie snu pojawiło się coś jeszcze: nuta. Pieśń. Fałszywe światło, które świeciło nie po to, by oświetlać, ale by oślepić.

Meadow otworzyła oczy z krzykiem.
Była sama w pokoju.
Ale echo wciąż nuciło tę melodię.

Wiedziała jedno.

Ktoś próbował ją wymazać.
Nie przez walkę.
Ale przez perfekcję.

Interludium III – Zabawa na przerwie część Druga

— Jestem z powrotem! — zawołała Sonata, zeskakując z kamienia i otrzepując pył z kopytek. — Uch, serio, te szkolne podwórka są tak... suche.

Na wzgórzu, w cieniu drzew, czekały już Adagio i Aria.
Pierwsza z nich nie siedziała.
Leżała w wodzie.

Małe jeziorko, ledwie głębokie na pół ogona, parowało lekko pod popołudniowym słońcem.
Adagio przybrała prawdziwą formę — syrenią. Łuski połyskiwały złotem, ogon poruszał się z leniwą wdzięcznością.

— Nie zamierzam znowu chodzić po tym paskudnym łądzie — mruknęła. — Mam piasek wszędzie. Dosłownie wszędzie.

— To dlatego się tarzaliśmy? — rzuciła Aria chłodno, wycierając błoto z grzywy. — Bo królownie zachciało się czuć element podwodny?

— Nie pyskuj — odparła Adagio bez emocji. — Potrzebuję wody. Chaos tutaj cuchnie.

Ale... — uniosła głowę — ...jest słodki.

Sonata przycupnęła, jakby przekazując raport z zabawy.

— Szkoła... dziwna. Dzieci w niej mają coś... pomieszanego. Jedna dziewczynka była, potem jej nie było. A potem była inna, ale mówiła dokładnie to samo! Jakby... ktoś ją namalował i wrzucił z powrotem. Fajne, co nie?

Aria się uśmiechnęła pod nosem.

— MY się dobrze spisały.

— O tak! — Sonata zakręciła się wokół własnej osi. — A Meadow... miała wizję! Prawie w nią uwierzyła. Taka była piękna!

Tylko trochę... przerażająca. Ale taka właśnie powinna być perfekcja, prawda?

Adagio zamruczała nisko, jakby zasypiała w swoim małym jeziorze.

— Więc... wszystko postępuje.

— Rosalyn zniknęła — dodała Aria, spoglądając na niebo. — Ognisko chaosu się chwieje. Ale się nie rozpada. Jeszcze.

Sonata pokiwała głową, trochę zbyt entuzjastycznie.

— To co teraz? Podmieniamy wszystkich?

— Nie. Powoli — syknęła Adagio. — To nie ma być inwazja. To ma być... śnienie.

Aria dodała cicho:

— Zaczniemy od najmniejszych. Tych, którzy się jeszcze boją snów.

— Zabawimy się na przerwie — zaśmiała się Sonata, a echo jej głosu zatańczyło nad drzewami, aż do samego ogrodu szkolnego.

Tam, gdzie dzieci zaczynały słyszeć melodie, których nigdy się nie uczyły.

Rozdział 11 – Pieśń, która nie śpi

To zaczęło się od drobiazgów.

Jedna z uczennic, mała klaczka z klasy drugiej, wstała w nocy z łóżka i zaczęła nucić coś, czego nigdy wcześniej nie słyszała. Matka zapytała, skąd zna tę melodię, a ona odpowiedziała z uśmiechem:

Ona była już we mnie, mamó. Tylko spała.

W innym domu, ogierek śnił o wodzie. Nie jeziorze. Nie rzece. O czymś głębszym. O oczach w ciemności i ogonach, które tańczyły w rytm świateł, jakich nigdy nie widział. Gdy się obudził, przez chwilę nie pamiętał własnego imienia. Ale znał imiona syren.

W klasie piątej chłopiec nagle zaczął pisać tekst piosenki. Długopisem. Na ławce. Nie przestawał, dopóki nie zorientował się, że nie rozumie, co właściwie pisze.

I jeszcze jedno dziecko – dziewczynka o fioletowej grzywie – zaczęła rysować postacie z ogonami i ustami otwartymi do śpiewu. Mówiła, że śniły jej się śpiewające siostry z głębin, które obiecały, że zabiorą ją, jeśli będzie cicho. A ona była. Całą noc.

Wszystko to rozgrywało się w ukryciu.

W ciszy pokoików, wśród kartek, w pustce lusterek do makijażu.

Rosalyn nie mogła ostrzec.

Meadow nie mogła usłyszeć wszystkich snów.

Camel zbyt długo zwlekała z wezwaniem ognia.

Iris... Iris czuła, jak coś krzywi lustra. Ale jeszcze nie rozumiała, czym naprawdę są te pieśni.

Bo to nie była zwykła magia.

To była Pieśń, która nie spała.

Tylko czekała. Na opowieści. Na dzieci. Na nowe odbicia.

I oto — szkoła zaczynała śnić nie swoim głosem.

AKT II – Spiralna Mimikra

Interludium IV – Nie takie śpiewające, jak je malują

— Wstawaj — syknęła Aria, próbując bez skutku pociągnąć Adagio za kopyto. — Znowu gnicie w tym bajorze?

— To nie bajoro. To jedyna rzecz w tej obrzydliwej krainie, która chociaż trochę przypomina dom — odburknęła Adagio, półleżąc w mulistej wodzie i kręcąc ogonem, który jeszcze nie zdążył zniknąć. — Nigdzie nie idę. Nie teraz. Nie dzisiaj. Nie w tej formie.

— Ale obiecałaś — wtrąciła Sonata, obracając się wokół własnej osi z nutką rozpacz. — Mamy być trójką siostrzyczek chaosu! Znaczący... uczennic! Tajnych uczennic!

Aria wydała z siebie dźwięk, który brzmiał jak westchnięcie przemęczonego wulkanu.

— Adagio. Jeśli jeszcze raz powiesz, że nie ruszysz się z błota, wleję ci do ucha cały chór uczniaków fałszujących Canterlot Forever. Na trzy głosy.

To zadziało. Z niezadowoleniem godnym władczyni głębin, Adagio wstała i pozwoliła kształtowi wrócić do normy: długie nogi, kopyta, lśniąca grzywa, uśmiech tak doskonały, że aż nieludzki. Była klaczką. Klaczką idealną.

— Wiedziałam, że to będzie obrzydliwe — mruknęła. — Ale przynajmniej będę miała widownię.

Szkoła średnia miała swoje kółka zainteresowań. Syreny — pod fałszywymi imionami i z urokliwym entuzjazmem — zapisały się na jedno z nich: **Twórcze ćwiczenia wokalne i relaksacja przez pieśń**. Nauczycielka była zachwycona. Zwłaszcza, że trzy nowe klaczki miały *głosy nie z tego świata*.

Zaczęły powoli. Nie śpiewały pełnych wersji. Tylko wibracje. Harmonie. Strzępki melodii, które wpadały w ucho i zostawały tam na godzinę, dwie, cały dzień.

Uczniowie, nieświadomi magii, zaczęli mimowolnie je naśladować. Podczas zajęć, w przerwach, nawet pod prysznicem.

Syreny były zachwycone.

Do czasu, aż na końcu sali stanęła Camel.

Nie powiedziała ani słowa.

Nie zbliżyła się.

Ale patrzyła.

Prosto na nie.

A w jej oczach nie było zdziwienia. Ani sympatii.

Była tylko czysta, wypalona czujność.

— Ona nas pamięta — wyszeptała Sonata, chowając się za Adagio. — Nie jako klaczki. Ale... tak jak wtedy. Pod wodą.

Aria zamarła.

Adagio uniosła brew, a potem się uśmiechnęła.

— Nie szkodzi.

To tylko oznacza, że musimy zacząć śpiewać... nieco ciszej.

Na razie.

Rozdział 12 – Głos Camel

Camel była pierwszą, która wyczuła fale.

Nie wodne — choć zbliżenie syren tętniło w ziemi jak cicha burza — ale emocjonalne. Kiedy śniła, widziała las. A w nim echo głosu, który nie należał do niej... choć brzmiał tak samo.

— Płomień to nie siła. Płomień to pamięć — mówiła *ona*, idąc przez własny sen jak przez próżnię. — A pamięć to tylko cień tego, co się spaliło.

Camel chciała zawołać. Przebić się. Ale coś ją zatrzymało.

Jej cień odwrócił głowę.

I się uśmiechnął.

Rano wszystko wyglądało zwyczajnie. Camel przyszła na zajęcia, jak zawsze punktualna. Odpowiadała ostro i trafnie. Miała błysk w oku, gdy ktoś próbował ją podważyć. I tylko... tylko jej płomień nie świecił. Był jak światło LED — dokładny, czysty, martwy.

— Coś z tobą nie tak — mruknęła Meadow, podchodząc w przerwie. — Masz... inne tętno.

— Może to ty masz inne uszy — odpowiedziała Camel z takim samym tonem, jak zawsze. Zbyt doskonałym.

Iris nie od razu to wyczuła. Ale kiedy Camel w nocy nie zapaliła żadnego ognia, nie czuwała nad niczym, nie zadała żadnego pytania — tylko patrzyła w sufit i powtarzała półsłówkami refren nieznanej melodii — wtedy Iris zrozumiała.

To nie była Camel.

To było coś, co Camel знаła. Co znało ją. Co znało wszystkie ich wersje. I właśnie zajęło jej miejsce.

A prawdziwa Camel... milczała.

Uwięziona gdzieś, gdzie pieśń brzmiała jak zaklęcie.

Interludium V – Woda w kabinie

Adagio nienawidziła lądu.

Nie chodziło tylko o zapach — suchy, słodki i mdlący, jak przejrzałe owoce w piwnicy, której nikt nie wietrzył od lat. Ani o to, że wszystko na górze miało krawędzie i kąty, zbyt ostre, zbyt zdecydowane. Nie. Chodziło o brak.

Brak kropel.

Brak miękkości.

Brak śliskiego tańca światła na skórze.

A jednak teraz... siedziała w szkolnej łazience, zamknięta w kabinie pod prysznicem, jak każda inna uczennica. Ciepła woda spływała po jej grzbiecie, omywała łuski, które już dawno zmieniły się w coś miękkiego i puchatego, ukrytego pod grzywką.

Westchnęła. Ale nie z rozkoszy.

Z ulgi.

— A nie mówiłam, że musimy śpiewać ciszej... do czasu? — zaśmiała się do siebie szeptem, kładąc mokre kopytko na chłodnej ścianie kabiny. Jej głos odbił się od kafelków jak szept fali od brzegu. Cichy. Zadowolony. Nienasycony.

Camel została wyciszona. Fałszywe odbicie doskonale odegrało jej rolę. Przynajmniej na teraz.

Adagio przymknęła oczy. Woda spływała jej po karku.

Jeszcze kilka dni. Jeszcze kilka nocy.

A potem...

Cisza śpiewa najlepiej, gdy już nikt nie pamięta melodii.

Interludium VI – Nie jesteśmy kijankami

Sonata Dusk miała dobry humor.

I to nie tylko dlatego, że kółko wokalne wypadło *przeeeeświećnie* (jej zdaniem), ani że jedna z klaczek poprosiła ją o wspólne ćwiczenie śpiewu w weekend (co mogło oznaczać nową przyjaciółkę... albo nową opowieść do skradzenia). Nie, Sonata była zadowolona z *misji*.

Blond grzywa podskakiwała jej na szyi, gdy sunęła korytarzem, omijając dzieci wracające z zajęć. W głowie już nuciła nowy refren. Coś lekkiego. Słodkiego. Z odrobiną tęsknoty.

Ale najpierw – sprawdzić siostrę.

Zatrzymała się przed łazienką i rozejrzała. Pusto. Zmarszczyła nos i wsunęła się do środka jak cień. Po chwili stanęła przy kabinie, z której słychać było szum wody.

— Aaaaaagiooo... — zaśpiewała półgłosem, przeciągając samogłoski jak w karykaturze romantycznej ballady. — Jesteśmy tu w pracy, a ty się moczysz jak mała kijanka!

Nie odpowiedziała od razu. Tylko szmer prysznic. Potem westchnienie.

— Chociaż raz coś tu przypomina morze — odburknęła Adagio z drugiej strony drzwi.
— A ty? Też masz ochotę się rozpuścić jak galaretką w basenie?

Sonata zachichotała.

— Ja przynajmniej umiem być dyskretna. No i nie zapominam, że *nie jesteśmy kijankami*. Jesteśmy syrenami. Boginiami. Pieśnią bez granic. A ty się zachowujesz jakbyś właśnie wyszła z kąpieli z gumową kaczuszką!

— Przynajmniej kacuszka nie śpiewa fałszywie — padła cicha riposta, zbyt zmęczona, by była złośliwa.

Sonata parsknęła.

— No dobrze, *starsza siostra od soli*. Po prostu nie siedź tu za długo. Jeszcze ci się zachce... zostać.

Milczenie.

A potem znów — tylko szum wody.

Sonata wyszła, pozostawiając Adagio samą w ciepłej kabinie, gdzie dźwięki świata powoli się rozpuszczały. Ale w jej oczach — krążących jeszcze przez chwilę wśród luster łazienki — coś błysnęło.

Uśmiech.

I nuta, którą już знаła na pamięć.

Interludium VII – Wolę ciszę

Aria Blaze siedziała na dachu.

Nie dlatego, że chciała patrzeć na niebo (bo niebo było mdłe), ani że lubiła wiatr (bo wiatr pachniał kurzem i potem uczniowskich korytarzy). Siedziała tam, bo **tu nikt nie śpiewał**.

Nie Adagio, która jęczała za wodą, nie Sonata, która trajkotała z każdym napotkanym kucykiem, nie dzieciaki, które ćwiczyły chóralne la-la-la jakby to mogło ocalić im duszę.

Tu była cisza. Nieudolna, szorstka, ale **jej**.

Patrzyła na dziedziniec, gdzie para uczniów przepychała się żartobliwie. Obserwowała grupkę młodszych, biegnących na stołówkę. A potem — przez kilka sekund — jedno z nich zatrzymało się i spojrzało wprost na nią.

Zbyt długo.

Zbyt cicho.

Zbyt *uważnie*.

Aria zmrużyła oczy. Odbicie? Przypadek? A może...

Nie skończyła myśli. Wciągnęła powietrze, poczuła je głęboko — jakby próbowała ustalić, czy cokolwiek w tym miejscu **jeszcze** należy do niej.

Nie.

Tu nie było morza. Nie było ryku fal, ani echa syreniego gniewu. Były tylko dzieci. I wspomnienia.

Zsunęła się z dachu z gracją, która przeczyła jej zamyśleniu. Gdy przechodziła obok okna łazienki, usłyszała śmiech Sonaty i głos Adagio spod prysznica.

Zatrzymała się tylko na moment.

— Głupie — szepnęła do siebie.

Ale w jej oczach... przez ułamek sekundy błysnęło coś ciepłego. Jakby dobrze było wiedzieć, że choć wszystko się zmienia, **ich trójka** nadal pozostaje taka sama.

Na swój przekłęty sposób.

Interludium VIII – One śpiewają jakby śniły

Na początku sądziła, że są starsze. Może przez to, jak się poruszały — jakby każda z nich dokładnie wiedziała, co za chwilę zrobi reszta, ale i tak wybierała własną drogę.

Dazzlings.

Tak się przedstawiły, ale większość uczniów i tak mówiła na nie *te nowe*. Jedna z nich — niebieska, z wysokim głosem i oczami błyszczącymi jak klejnoty — pochwaliła głos klaczki. Powiedziała, że jej la w końcówkach brzmi tak, jakby chciało jeszcze trwać. I że to dobrze.

Uśmiechnęła się. Trochę za szeroko. Ale... dziewczyna ją polubiła.

Nazywała się Sonata. Umówiły się na wspólną próbę w sobotę. Obiecała, że przyniesie coś specjalnego — piosenkę, którą знаła tylko ona. Tylko nasza, morska, zaśmiała się wtedy, a przez grzbiet młodej klaczki przebiegł dreszcz.

Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Bo kiedy tamte śpiewały... to nie było zwykłe śpiewanie. Brzmiało jak sen. Ale nie taki spokojny, pod kocykiem — tylko taki, który wciągał pod powierzchnię.

Fioletowa, Aria, prawie się nie odzywała. Ale kiedy coś zaintonowała, cała grupa milkła. Nawet nauczycielka muzyki nagle cichła, kiedy Adagio — złota i pewna siebie — stawała na środku sali. Jej głos brzmiał jak coś zapomnianego. Jakby śpiewała melodię, którą ktoś znał dawno temu, tylko zapomniał, że ją pamięta.

Może to nic. Może po prostu były lepsze. Pewniejsze siebie.

A jednak, kiedy dziewczyna wychodziła z ostatniej próby, zauważyła jedno z młodszych żrebiąt, które patrzyło w stronę znikających syren. Miało szeroko otwarte oczy. Jakby zapomniało mrugnąć.

Nie wiedziała, czy to coś znaczy.

Może po prostu bała się, że nigdy nie będzie śpiewać tak pięknie jak one.

Albo... że kiedy już nauczy się ich pieśni, nie będzie chciała śpiewać niczego innego.

Rozdział 13 – Rosalyn nie wraca

Rosalyn była kotwicą.

Nie potrzebowała skrzydeł, by unosić się wśród luster. Nie potrzebowała słów, by rozumieć odbicia. Wystarczało, że była — cicha, obecna, pewna.

Ale teraz... nie było jej.

Meadow wołała ją w myślach, w snach i w migoczących taflach pomiędzy przeblaskami iluzji. Iris próbowała sięgnąć jej echo przez ramiona Galerii. Camel uderzała kopytem w najstarsze lustra, szukając rytmu, który ją zawsze prowadził.

Odbicia milczały.

Galeria Luster zgasała — nie pękła, nie zniknęła — ale jakby ktoś wyjął z niej serce. Przestrzeń, która zawsze rezonowała z emocjami dzieci, stała się matowa. Dziecięce wspomnienia w niej się rozciągały i zacierały, jakby były wciągane przez coś, co nie znało pamięci. Co nie znało przebaczenia.

Rosalyn nie odpowiadała.

Nie było znaków walki. Nie było śladów chaosu.

Tylko echo... które nie miało na czym się odbić.

Rozdział 14 – Spiralna krew

Iris obiecała sobie, że nigdy więcej nie sięgnie po tę moc.

Spirala należała do przeszłości — do Screwball, do Ducha Chaosu, do tej dziewczynki, która znała tylko śmiech i krzywdę. Iris przeszła przez lustra, przez szept dzieci, przez swoje własne odbicie, by uwolnić się od tego symbolu. Już nie była córką śmiechu. Już nie musiała kręcić się w kółko.

Ale tego dnia...

Szkoła była cicha. Zbyt cicha.

W jednej z sal drzwi zaskrzypiały. Uczennica — ta, która jeszcze tydzień temu niosła w sobie ciepły sen o słońcu i makach — teraz stała przy tablicy. Śpiewała. Cicho, nieświadomie. Ale słowa niosły się głęboko. Były nie jej.

Nie jesteś sobą. Jesteś mną. Nie jesteś sobą. Jesteś mną...

Iris weszła. Zamarła.

Dziewczynka odwróciła się — a jej oczy rozbłysły... spiralnie. Błysk nie należał do niej. Był echem. Repliką.

W sali, wśród ścian, zaczęły się zbierać inne odbicia. Dzieci, które nie pamiętały swojego imienia. Uśmiechy — puste. Głosy — zgodne. Zaczęły się śmiać.

Iris zrobiła krok w tył. Zbyt znajome. Zbyt podobne do tego, czym była. Odbicia tańczyły jak wtedy, kiedy to ona prowadziła zabawę.

— Nie... — wyszeptała. — To nie wasza spirala.

Ale echo już ją wciągało.

W ostatniej chwili — zanim zamknęły ją w ich wersji dawnych zabaw — otworzyła oczy szeroko.

I pozwoliła spiralom błysnąć.

Odbicia cofnęły się z piskiem. Część się rozpadła. Inne — uciekły.

Ale te, które zostały, śmiały się dalej. Cicho, przeciągle. I mówiły:

— Wróciłaś.

A Iris upadła na kolana, drżąc. W jej oczach powoli gasło światło. Spiralne echo wciąż pulsowało w jej żrenicach. Przez chwilę... znowu była tamtą.

Nie z wyboru.

Z konieczności.

Interludium VI – Echo pod kafelkami

— Zaczyna się — mruknęła Aria, opierając się o chłodny mur korytarza.

Adagio nie odpowiedziała. Jej spojrzenie wbijało się w zamknięte drzwi do sali, zza których jeszcze przed chwilą dochodził śmiech — zbyt zgodny, zbyt pusty. Teraz była tylko cisza.

— Widziałas ją? — zapytała cicho Aria.

Adagio przymknęła oczy.

— Tak. Spiralne oczy. Ale... zgasły.

Aria skrzywiła się.

— Czyli potrafi jeszcze. Sięgnęła po to, co zakopała. Nasza mała bohaterka.

— I zrobiła to wbrew sobie — dodała Adagio z uśmiechem. — Pięknie.

Przez chwilę obie milczały. W powietrzu unosił się jeszcze zapach starej kredy, wilgoci i czegoś... rozbitego. Echa zabawy, która nie była już zabawą.

Adagio przeciągnęła się leniwie. Jej ciało wciąż nie przyzwyczało się do bycia na lądzie. Każdy ruch był cięższy niż powinien. Każdy krok zbyt szorstki. Ale postęp... był namacalny.

— Zaczęły śpiewać. Odbicia. I klaczki też — mruknęła Aria. — Powoli.

— Niech śpiewają — szepnęła Adagio. — Ale nie za głośno. Jeszcze nie pora, by szkoła się obudziła.

I wtedy to usłyszały.

Pisk.

Krótki, urwany, dziewczęcy. Dobiegał zza zakrętu. A potem szelest. Stukot kopytek. I trzask — drzwi, może szafki. Może...

Adagio zmarszczyła brwi.

— Łazienka — powiedziała Aria, prostując się.

— Dla dziewcząt — dodała Adagio. — A więc... tam to się odbiło.

Obie spojrzały na siebie. I przez chwilę... ich ogony drgnęły, jakby wciąż istniały.

Czuły to.

Krew spirali została wpuszczona do obiegu. I teraz... płynęła wszędzie.

Interludium X – Łuski

Ciepły nawiew w kabinie szumiał jednostajnie, jak uspokajająca pieśń głębin. Sonata stała bez ruchu, pozwalając, by powietrze owiewało jej ciało. Woda ściekała po bokach, zbierając się w cienkie strużki na posadzce. Jej grzywa, mokra i ciężka, przylegała do szyi, a na tylnych nogach — jeszcze przez chwilę — błyszczały **łuski**. Cienkie, opalizujące, migoczące przy każdym ruchu — jakby sama woda nie chciała jej jeszcze puścić.

Nie śpieszyła się. Nareszcie była sama. Bez konieczności udawania, bez kucykowego kroku, bez tych wszystkich szkolnych masek i zapachów mydła z lawendą. Zamknęła oczy. I była z powrotem tam, gdzie wszystko było miękkie i płynne. Gdzie nikt nie zadawał pytań.

Aż nagle...

— Aaaa!

Wysoki pisk przebił się przez parę jak dźwięk rozbitego dzwonka.

Sonata zamarła.

Otworzyła oczy.

Na progu łazienki stała mała klaczka — z rozwianą grzywką, lekko trzęsącymi się nogami i oczami tak szerokimi, że widać było całe białka. Patrzyła... nie na twarz Sonaty. **Patrzyła na jej nogi.**

Na miejsce, gdzie futerko jeszcze nie zdążyło wrócić.

Na **błyszczące łuski**, które lśniły jak srebrne znaki w półmroku pary.

Sonata odruchowo cofnęła się w cień kabiny, ale było za późno.

— Nie... Nie... ja... — próbowała coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły w gardle.

Dziewczynka stała w miejscu, z rozchylonym pyskiem, z oczyma jak lustra.

Sonata zacisnęła oczy.

Adagio. Aria. Pomóżcie mi.

Zawołała w myślach, z całej siły, bez słów. Wysłała sygnał pod powierzchnię lądu, do tych, które potrafiły wyczuć każdy fałszywy ton w przestrzeni.

A potem... się uśmiechnęła.

Delikatnie. Słodko.

Jakby nic się nie stało.

— Kochanie... Nic nie widziałaś, prawda? — zapytała głosem miękkim jak dno laguny.

Woda jeszcze nie przestała kapać. A echo jej pytania... wciąż unosiło się w parze.

To był tylko sen. Tylko sen.

Mała klaczka wciąż stała w wejściu do łazienki. Kopytka miała przyklejone do chłodnych kafelków, jakby coś niewidzialnego zatrzymało ją w miejscu. W nozdrzach czuła parę — gorącą, gęstą, z nutą soli, której wcześniej tu nie było.

Ale najgorsze były oczy.

Jej oczy.

Te, które teraz patrzyły prosto na nią.

Zbyt miękkie. Zbyt bliskie.

Zbyt mądre.

— Spokojnie, kruszynko... — powiedziała starsza klaczka, wysuwając się z kabiny z uśmiechem, który miał być ciepły. Może nawet był.

Tylko że ona widziała.

Widziała **łuski**.

Na tylnych nogach. Na bokach. Błyszczące, jak... jak u ryb, jak w akwarium, jak w bajkach. Ale to nie była bajka.

— Nie chciałam cię przestraszyć. — Głos Sonaty był teraz szeptem. — To tylko... przebranie. Takie do śpiewu. Mamy mały występ, z dziewczynami... Dazzlings, znasz nas, prawda?

Mała klaczka otworzyła pysk, ale nie wydobył się żaden dźwięk. Przełknęła ślinę. W głowie pulsowało jedno pytanie:

To nie była magia... prawda?

— Czasem ćwiczymy... inaczej. Wodne światła, iluzje, takie tam. Widzisz? — Sonata przekrzywiła głowę, znów się uśmiechając. Jej grzywa była jeszcze wilgotna. Ale futerko na nogach... już całkiem zaschnięte. Żadnych łusek. Jakby nigdy ich nie było.

Jakby to wszystko sobie wymyśliła.

Ale przecież **nie wymyśliła**.

Widziała.

— Nie musisz nikomu mówić. To nasz sekret. Tylko nasz, dobrze?

Sonata przysunęła się bliżej i pochyliła się tak, by spojrzeć jej prosto w oczy.

— Śpiewasz, prawda? Powiedziałas, że lubisz śpiewać. Że masz piękny głos. Ja... ja też kiedyś się bałam. Ale razem... — zamilkła na sekundę, jakby łapała ton — ...razem śpiewa się łatwiej.

Mała klaczka kiwnęła głową. Powoli. Jak przez mgłę.

Nie wiedziała, czy się zgodziła, czy tylko chciała **odejść**.

Ale gdy w końcu wybiegła z łazienki, nie krzyknęła.
Nie powiedziała nic.

Z tyłu usłyszała tylko głos Sonaty, miękki i spokojny:

— Dziękuję, że jesteś taka mądra...

A potem – echo kropel.
Jak śpiew, który nigdy nie miał zabrzmieć.

Interludium XI – Duża syrenka

Krzyk. Kropie. Łuska, której już nie ma.

Drzwi do łazienki otworzyły się z hukiem. Powietrze przecięło szarpnięcie pary i pisk gumowych podkładek pod kopyta. Dwie klaczki – o spojrzeniach zbyt ostrych jak na uczennice – wpadły do środka jak burza.

— Naprawdę?! — syknęła Adagio, z błyskiem w oku. — Krzyczysz, bo się przestraszyłaś gumowej kaczuszki? Czy może... — rzuciła wzrokiem na podłogę i kabiny — ...kijanek pod prysznicem?

Sonata, jeszcze pół naga, z ręcznikiem przekrzywionym na bok, stała nieruchomo pod suszarką. Oczy miała rozszerzone, uszy płasko położone. Oddychała szybko.

Aria nie mówiła nic. Tylko obserwowała. Czujnie.

Adagio zbliżyła się i zniżyła głos.

— To nie jest śmieszne, Sonata. O co ten wrzask? Przecież jesteś... dużą syrenką, prawda? A duże nie krzyczą.

Sonata przełknęła ślinę. Kopytkiem odsunęła zaschnięty kosmyk grzywy z czoła. Jej głos był cichy jak falująca woda.

— Ona mnie zobaczyła.

Adagio spoważniała natychmiast. Nawet Aria poruszyła się lekko.

— Zobaczyła co? — spytała twardo.

— Łuski. Jeszcze były. Nie zdążyły się wchłonąć. Stała tam. Patrzyła. Nie krzyczała od razu, ale widziałam jej oczy... Ona wie.

Na moment zapadła cisza.

Adagio westchnęła. Ale nie z irytacją. Z ciężarem.

— Która?

— Mała. Ta, co miała z nami ćwiczyć w weekend. Śpiewa czysto. Zaufana.

Aria odwróciła się w milczeniu i sprawdziła drzwi. Zamknięte. Nasłuchiwała, ale nikt nie nadchodził.

Adagio spojrzała na siostrę. Jej głos stał się jak pieśń w głębokiej wodzie – łagodny, ale z prądem pod spodem.

— Nie panikuj. Jedna kłaczka to nie wyciek. Jeszcze nie. Może uzna to za halucynację. Może milczy, bo chce się przypodobać.

— Albo już mówi komuś. — dodała Aria.

Adagio zacisnęła zęby.

— Niech spróbuje. Jesteśmy legendą. Opowieścią. A dzieci lubią historie, które błyszczą.

Zbliżyła się do Sonaty i dotknęła jej mokrego boku.

— Ale następnym razem... pilnuj łusek. Nawet duże syrenki muszą się czasem zakryć.

Sonata skinęła głową. Cicho.
Ale w jej oczach było coś więcej niż wstyd.
Było tam... drżenie.

Adagio to widziała.
Ale nie powiedziała już nic.

Tylko otworzyła drzwi i rzuciła przez ramię:

— Wracamy. Jeszcze wiele dzieci nie śni. A my mamy piosenkę do dokończenia.

Interludium XII – Nie mów nikomu

Wieczór był spokojny. Cichy. Nawet aż za bardzo.

W pokoju słychać było tylko oddechy innych kłaczek. Ktoś przewrócił się na drugi bok. Ktoś cicho pochrapywał przez sen. Ale ona nie spała.

Leżała pod kocem z wyciągniętymi uszami i oczami utkwionymi w sufit. Pod kopytkami czuła bicie serca — lekkie, lecz niespokojne. Takie jak wtedy, gdy widzisz coś, czego nie miałaś prawa zobaczyć.

Sonata...

Ona była fajna. Inna niż inne klaczki. Uśmiechnięta, śpiewająca, trochę dziwna — ale w zabawny sposób. Zawsze pachniała jak woda i błyszczała w oczach, gdy mówiła o piosenkach. Była... czarująca. Dosłownie.

Ale tam, w łazience, przez krótką chwilę, stało się coś... innego.

Te łuski.

Ten moment, gdy futerko jeszcze nie przykryło całkiem jej nóg.

I sposób, w jaki Sonata zamarła, jakby przez sekundę **nie była już klaczką**.

Klaczka przełknęła ślinę i przyciągnęła koc pod brodę.

Chciała o tym powiedzieć. Naprawdę. Chociażby mamie. Albo przynajmniej zapisać to w zeszycie. Ale gdy tylko próbowała, coś... ją zatrzymywało.

Nie jak strach. Bardziej jak... miękka wstążka, owinięta wokół myśli.

To nic takiego... — szeptał w jej głowie głos. Miękki. Ciepły. Głos Sonaty.

To tylko sen, mała. Zdarzają się sny na jawie. Tobie też, prawda?

Przytaknęła w myślach, zanim zorientowała się, co robi.

I kiedy próbowała przypomnieć sobie wyraz pyska Sonaty z tamtej chwili, obraz zaczął się rozmywać. Jakby ktoś polał go wodą.

— To nasza tajemnica, tak? — ten głos znowu był tam, w jej uchu. Prawie czuła jego oddech. — Jutro będzie lekcja śpiewu. Będziemy razem. Nie chcesz mi przecież zrobić przykrości...

Nie chciała. Oczywiście, że nie chciała.

Zamknęła oczy.

W ciemności widziała fale. Miękkie, błyszczące fale, jak grzywa Sonaty.

Czuła się winna. Ale jednocześnie... przytulona.

I bardzo, bardzo zmęczona.

W końcu zasnęła, trzymając w sercu obraz, który zaczynał już wyglądać inaczej niż naprawdę.

Rozdział 15 – Trzy serca, jeden cień

Tym razem to nie był zwykły sen.

Nie był ich.

Meadow otworzyła oczy w przestrzeni, która nie miała początku ani końca — tylko błękit, złoto i fiolet, przeszywane dźwiękami jak tnące powietrze melodie. Pachniało wodą, ale nie było wilgoci. Nad sobą widziała niebo, które pulsowało... jakby oddychało razem z nią.

Ale nie była sama.

Obok niej pojawiła się Camel, poważna jak zawsze, z płomieniem tańczącym wokół kopyt. Jej oczy jarzyły się złotem, ale nie były w stanie odegnąć cienia, który krążył poza zasięgiem światła.

A potem — Iris. Cicha, niepewna, lecz obecna. Z jej grzywy opadały krople, jakby jeszcze przed chwilą wynurzyła się z odmętów. Oczy miała lśniące, ale bez spirali. Jeszcze.

To nie mój sen — powiedziała jako pierwsza.

Mój też nie — odpowiedziała Meadow, drżąc.

Camel spojrzała w ciemność przed nimi. Kształty poruszały się zbyt szybko, zbyt płynnie. Jakby coś wielkiego krążyło wokół ich dusz, jeszcze nie gotowe do ataku.

Ale ktoś nas tu zebrał — powiedziała cicho Camel. — Ktoś, kto zna nasze serca.

Nagle przestrzeń zadrżała.

Z nieba zaczęły spadać nuty. Prawdziwe, lśniące, ciężkie jak łyż. Rozpryskiwały się na ziemi, zostawiając smugi melodii, które nie znikwały. Tworzyły linię... pieśń, która istniała poza czasem.

A potem usłyszały głos.

Nie ich własny. Nie Discorda.

Głos, który był echem czegoś zapomnianego i jednocześnie znajomego.

Głos, który śpiewał tak, jakby znał je lepiej niż one siebie nawzajem.

Jedno odbicie, trzy serca... jedno echo, które śpiewa za was.

Meadow jęknęła, trzymając się za pierś. Blizna zapulsowała bólem.

Iris cofnęła się. Jej oczy zaczęły wirując powoli... nieświadomie. Spiralny cień chciał wrócić.

Camel uniosła kopyta, chcąc sięgnąć po ogień, ale ten... zgasł.

Sen ich nie słuchał.

To nie był ich sen.

To była **zapowiedź**.

A gdzieś za horyzontem — cień zaczął przybierać kształt. Miał ogon, który błyszczał łuskami. I głos, który śpiewał wspomnienia.

Interludium XIII – Jabłko i diament

Sala muzyczna była dziś prawie pusta — tylko dwie klaczki siedziały w środku, otoczone nutami, ciszą i lekko zbyt idealnym światłem wpadającym przez okna. Wszystko tu było przytulne. Zbyt przytulne. Sonata Dusk bardzo się postarała.

Jej koleżanka — jasnoszara klaczka z zielonymi oczami — miała dziś tremę, ale Sonata była przecież taka miła. Tłumaczyła, poprawiała, chwaliła. I ten głos... miękki, słodki, jakby znał każdy ból i potrafił go rozpuścić. Klaczka śpiewała razem z nią, nie zauważając, że melodia się zmienia. Że nuta — jedna jedyna — brzmiała inaczej.

I wtedy się wydarzyło.

Sonata spojrzała jej w oczy, tylko na chwilę. Jej własne oczy rozbłysły czerwonym światłem, a w naszyjniku zawieszonym na jej szyi błysnął czerwony diament — jak serce, które właśnie zabierało coś cennego.

Pamięć.

Wzrok klaczki zadrżał. Próbowала coś powiedzieć, coś sobie przypomnieć — może łuski? może pisk? — ale wspomnienie już znikło, jak rozpuszczony śnieg. Pustka zająła jego miejsce. Spojrzała na Sonatę zdeorientowana.

— Chyba się zmęczyłaś, — powiedziała syrena łagodnym tonem, uśmiechając się najcieplej jak umiała. — Zróbmy przerwę, co ty na to?

Wyciągnęła jabłko. Soczyste, czerwone, pachnące... aż zbyt idealnie. Klaczka skinęła głową, nadal niepewna, nadal zbyt cicha, jakby coś ją zakneblowało od środka.

Zjadły razem. Śmiały się. Sonata opowiadała coś zabawnego o lekcjach w innej szkole, z której się przeniosła — oczywiście zmyślonego — a potem wróciły do śpiewu. Tym razem bez zakłóceń.

Dla klaczki był to po prostu *miły dzień*.

Dla Sonaty — to był kolejny błysk diamentu, kolejna historia zamknięta w pieśni.

I kolejna dziura w pamięci, która nigdy nie zostanie znaleziona.

Interludium XIV – Talenty i tajemnice

Korytarz szkolny był dziś wyjątkowo gwaro-przyjemny — dźwięk rozmów, stukanie kopytek, śmiechy w tle. Sonata, jak zwykle, poruszała się jak cień z rozświetlonym

uśmiechem, otoczona aurą niedookreślonego uroku. Dziewczyny z kółka muzycznego lubiły ją. Może trochę za bardzo.

Jedna z nich — ta sama klaczka, która jeszcze niedawno drżała w łazience — podeszła z iskrami w oczach.

— Sonata! Słyszałaś? Ma być konkurs talentów! W przyszłym tygodniu. Na dużej scenie, z jury, publicznością i nagrodami! To będzie coś!

Sonata uniosła brwi z udawaną niewiedzą.

— Och? Nie słyszałam! To brzmi cudownie! Opowiedz mi wszystko...

Klaczka zaczęła mówić, podekscytowana, nie zauważając, że Sonata przybliżyła się odrobinę za bardzo. Jej ogon — zakamuflowany, lekko drgający pod peleryną — poruszał się rytmicznie. W oczach błyszczała chciwa iskra.

— Wszyscy mogą się zapisać! Śpiew, taniec, magia sceniczna — wszystko! Nawet kucyki z pierwszych klas mogą wystąpić! A najfajniejsze, że występ nie musi być solowy. Można w duecie... albo trio!

Sonata parsknęła z udawaną radością.

— Trio, mówisz? Brzmi znajomo...

Klaczka zachichotała, nie rozumiejąc aluzji. Potem nachyliła się i szepnęła:

— Ty, Adagio i Aria musicie wystąpić! Wszyscy o was mówią. Gdybyście zaśpiewały razem... to byłby *hit*! Przysięgam, nikt by się nie mógł oprzeć.

Sonata uśmiechnęła się powoli.

— To bardzo miłe. Przekażę siostronom... może naprawdę się skusimy.

Gdy klaczka odeszła, Sonata została jeszcze chwilę przy oknie. Mruknęła cicho:

— Konkurs, publiczność, emocje... Idealnie.

Potem zniknęła w cieniu szatni, cicho nucąc pod nosem melodię, która nie należała do nikogo, a jednak chciała być śpiewana.

Interludium XV – Pieśń, która wszystko słyszy

Noc była łagodna, a jezioro przy szkole znowu cicho bulgotało — jakby w wodzie śniło się coś ważnego. Na skraju drzew, tuż nad brzegiem, trzy sylwetki stały w kręgu, niewidoczne dla nikogo z ładu. Adagio, Aria i Sonata — teraz w swoich naturalnych kształtach — rozmawiały cicho, ale każda z ich nut niosła się daleko, drgając w powietrzu jak pajęczyna.

— To nasza szansa — powiedziała Adagio. Jej głos był miękki, ale niósł w sobie ciężar decyzji. Wystarczy jeden występ. Jedna pieśń. I wszystko, co budowałyśmy, stanie się ciałem.

Sonata leżała na trawie, obracając w pysku czerwony kryształ. Po chwili powiedziała z uśmiechem:

— Dzwon, siostry. Nasz Dzwon Pamięci. Każde wspomnienie, które zabrałyśmy... to dźwięk. Każda opowieść, którą połknęłyśmy... to nuta. Występ przed całą szkołą da nam ich więcej niż jakiegokolwiek sny.

Aria skrzywiła się.

— I więcej rozgłosu. Więcej uwagi. Więcej narażenia.

Adagio uniosła wzrok. Jej oczy lśniły, jakby widziała już dzwon złożony z przechwyconych wspomnień, zawieszony w głębinach Aquatiki, gotów zadźwięczeć raz — potężnie i ostatecznie.

— To nie będzie zwykły koncert. To będzie *rytuał*. I nie potrzebujemy wygrać. Wystarczy, że nas usłyszą. Że przez chwilę... uwierzą w każdą nutę.

Sonata przewróciła się na plecy, patrząc w gwiazdy. Westchnęła.

— Czy ktoś poza nami jeszcze pamięta, że pieśń... *może zniszczyć świat*?

Adagio uśmiechnęła się, kładąc kopytko na ziemi.

— Dlatego zagramy ją raz. Doskonale. A potem... wrócimy.

Aria skinęła głową powoli.

— Nie do świata. Do głębin. Do ciszy.

Cisza zapadła. Ale było w niej coś uroczystego — jakby już rozpoczął się rytm pieśni, której nikt jeszcze nie śpiewał, ale wszyscy — wszyscy — mieli ją w sobie.

Rozdział 16 – Iluzja domu

Meadow obudziła się w miękkim łóżku, którego nie pamiętała, a jednak знаła. Pachniało lawendą i herbatą malinową. Pościel była świeża, delikatna, bez zagnieceń — jakby cały świat właśnie zaczynał się od nowa. Za oknem śpiewały ptaki, które znała z dzieciństwa. Ich głosy tworzyły melodię, która z miejsca wypełniła jej klatkę piersiową ciepłem.

— Wstawaj, kochanie. Śniadanie gotowe.

Głos. Tamten głos. Ten prawdziwy.

Zeszła po schodach. W kuchni czekała ona — *matka*. Uśmiechnięta, w fartuchu, przy garnku z owsianką. Blizny na piersi Meadow zniknęły. Żadnej magii, żadnego ciężaru chaosu. Tylko ciepło. Tylko dom.

— Nie musisz się już bać. Nikt cię nie skrzywdzi, powiedziała matka, głaszcząc ją po grzywie. Wszystko, co złe... to był tylko sen.

I przez chwilę... Meadow chciała uwierzyć.

Ale coś było nie tak. Cienie w oknach nie poruszały się z wiatrem. Zegar wiszący nad stołem tykał, ale wskazówki nie przesuwwały się ani o milimetr. Jej matka wciąż się uśmiechała — identycznie, przez cały czas. Ta sama krzywizna ust. Ta sama troska.

Zbyt doskonała.

Meadow spojrzała na swoje kopytko. Jej sierść była lśniąca. Czysta. Za czysta. Jakby nic nigdy się nie wydarzyło. Jakby nic nigdy się nie *złamało*.

— To nie jest moje życie... — wyszeptała.

Świat zadrżał.

Głos matki się zmienił. Stał się miększy. Prawie błagalny.

— Ale czemu nie? Tutaj jesteś bezpieczna. Tutaj jesteś kochana. Nie musisz już niczego naprawiać...

Meadow zamknęła oczy. W jej sercu rozbłysła blizna, której nie było w tym świecie. Ta prawdziwa. Jedyna, której nie chciała oddać.

— Bo jeśli to wszystko jest snem...

Otworzyła oczy. W jej spojrzeniu była prawda.

— ...to znaczy, że ktoś próbuje sprawić, bym zapomniała.

Iluzja pękła. Kuchnia zgasła jak światło. Lawenda zniknęła. Tylko echo głosu — nie matki, ale cudzej — nadal brzmiało w powietrzu.

— Jeszcze wrócisz, klaczko chaosu...

I Meadow, drżąca, ale czujna, obudziła się naprawdę. Samotna. Z blizną. I z decyzją, której nikt nie mógł jej już odebrać.

Rozdział 17 – Lustro Camel

Camel stała w sercu snu, który przypominał dzieciństwo, jakiego nigdy nie miała. Jej grzywa była związana kokardą, jej płomień — nie groźny, lecz ogrzewający. Przed nią —

obraz ogniska, wokół którego siedziały inne dzieci, a wśród nich: Meadow, Iris... i ona sama. Wszyscy śmiali się, dzielili jabłka, opowiadali historie. Świat był prosty. Ciepły. *Dobry*.

A ona... była w nim szczęśliwa.

Ale coś zgrzytało.

Nie w śmiechu. Nie w oczach przyjaciółek.

W niej.

Gdy spojrzała na własne kopyta — były delikatne. Bez śladów bitew, bez przypaleń. W lustrze zawieszonym między drzewami ujrzała swoje odbicie — młodsze, słabsze. Bez ognia. Bez żaru. Bez decyzji.

To nie była ona.

Nie *ta*, która widziała Spirale. Nie *ta*, która szła przez Galerię, niosąc miecz słów. Nie *ta*, która *pamiętała*.

— Chciałaś odpocząć... — rozbrzmiał szept. Czuły, ale obcy. — Chciałaś wreszcie przestać walczyć.

Camel przytaknęła. Powoli. Z bólem.

— Tak. Chciałam.

Spojrzała jeszcze raz na ognisko, na śmiejące się twarze. I poczuła łzę. Jedną, samotną łzę, która spadła na ziemię snu i... zaczęła syczeć. Palić.

— Ale nie mogę zbudować siebie na czymś, co nie jest prawdą.

Z ogniska uniósł się dym. Dzieci zamilkły. Śmiech zamarł. A ona... wyciągnęła ogień z serca. Prawdziwy ogień. Jej ogień.

I spaliła sen.

Fałszywe wspomnienie jęknęło. Sypnęło światłem, jakby chciało prosić o jeszcze jedną chwilę. Jeszcze jeden raz. Ale Camel była nieugięta.

Z płomieni została tylko jedna iskra. I jedno zdanie.

— Nie wszystko, co piękne... musi przetrwać.

Z popiołu powstała. Już nie jako cień dawnych marzeń. Ale jako Camel. Wojowniczką. Córką chaosu. Siostrą.

I gdy się przebudziła — świat nie był ani prostszy, ani bezpieczniejszy.

Ale w jej sercu znowu płonęło to, co prawdziwe

Rozdział 18 – Blizna w ogniu

Camel stała na wzgórzu, z którego widać było morze. Tam, gdzie kończył się ląd, a zaczynała opowieść, której nigdy nie dokończyła. Jej sierść lśniła od potu, a blizna na piersi — ta, którą nosiła od czasu, gdy pierwszy raz spojrzała w oczy chaosu — pulsowała jak echo starej pieśni.

Wreszcie zrozumiała, co ją wołało.

To nie syreny. Nie wspomnienia.

To była *prawda*.

Prawda o tym, co naprawdę się wydarzyło, gdy Discord — ich ojciec — podarował jej nasiono, a ona, drżąc, przyjęła je, wierząc, że to wybór. Że to decyzja.

Ale teraz... blizna mówiła inaczej.

To było przeznaczenie podsunięte w chwili słabości. Nie wybór — lecz przymus przebrany w złoto.

Camel nie wpadła w szal. Nie zawyla.

Tylko zamknęła oczy.

I pozwoliła, by ogień przemówił.

W jej sercu rozżarzył się płomień. Inny niż dotąd. Nie siał zniszczenia. Był pamięcią. Był światłem.

I mówił: *jeśli chcesz naprawdę być sobą, musisz zejść pod wodę i przypomnieć, kim byłeś, zanim ogień cię pochłoniął.*

Camel odwróciła się od szkoły. Od snów. Od lustra.

Spojrzała w stronę oceanu.

— Aquatiko... nadchodzę.

I ogień nie zapłonął po to, by palić.

Tylko po to, by oświetlić drogę.

Rozdział 19 – MY patrzy

Na dziedzińcu szkoły zapanowała martwa cisza. Nie dlatego, że nikt nie mówił — ale dlatego, że coś *patrzyło*.

To coś miało oczy, które znały spirale. Kopytka, które kiedyś dotykały snów. Głos, który brzmiał jak śmiech... i jak krzyk.

Nowa Iris.

Nie ta, która przeszła przez Lustra i nauczyła się współczucia. Nie ta, która płakała nad Arabellą czy trzymała za kopytko Meluś.

Ta... miała czapeczkę ze śmigielkiem.

Ta... znała chaos. Czysty. Nieskażony.

Ta *była* Screwball.

— Pamiętasz mnie? — zapytała klaczka, która pojawiła się w szkole bez wyjaśnienia, choć miała uśmiech znajomy jak cień. — Bo ja pamiętam ciebie... z każdego krzywego snu, z każdego pęknięcia w lustrze. Pamiętam.

Niektórzy uczniowie śmiali się, choć nie wiedzieli dlaczego. Inni bali się, choć nie umieli powiedzieć przed czym. A Meadow, przechodząc przez korytarz, na chwilę przystanęła.

Poczuła coś.

Nie, *kogoś*.

I wtedy MY się odwróciła. Jej oczy rozbłyły raz fioletem, raz różem, raz — niepokojącą bielą.

— Nie jestem tobą. I nie jestem nią. Jestem tym, co zostało, kiedy przestaliście patrzeć.

Zakręciła się wokół własnej osi.

— Ale teraz... *ja* patrzę.

I tak pojawiła się nowa gra. Nie rozpoczęta przez Discorda. Nie przez syreny.

Ale przez to, co zostało pomiędzy.

Śmiech rozbrzmiał, dźwięczny jak dziecięca zabawka i bolesny jak pęknięte lustro.

Iris... nie była już sama.

Interludium XVI – Syreni pokaz

Cienie powoli zapadały na dziedziniec szkolny. Budynki przystrojone były w kolorowe wstążki, a salę gimnastyczną rozjaśniały reflektory i girlandy ze światełek. W powietrzu

unosił się zapach popcornu i lukrowanych jabłek. Konkurs talentów był częścią corocznego szkolnego festiwalu. Ale tej nocy miał wydarzyć się występ, którego nikt nie zapomni.

Za kulisami, w osobnej salce, trzy klaczki stały przy lustrze. Nie uczyły się tekstu. Nie rozgrzewały głosów w typowy sposób. One śpiewały z pamięci. Z głodu. Z instynktu.

Adagio patrzyła w swoje odbicie i uśmiechała się zimno.

— Camel ruszyła. Czujecie?

Aria skinęła głową. Jej ogon poruszył się nerwowo pod iluzorycznym futrem.

— Ruszy w stronę Aquatiki.

Sonata unosiła brwi, zamyślona.

— Może zdąży.

Adagio nie oderwała wzroku od swojego odbicia.

— Może nie.

W głębi sceny rozbrzmiała muzyka pierwszego występu — mała grupa z klasy pierwszej tańczyła radośnie z tamburynami i kolorowymi szarfami. Publiczność klaskała. Dzieci piszczały z zachwytu.

Adagio odwróciła się do sióstr.

— Nasza kolej.

Kiedy wchodziły na scenę, światła przygasły. Reflektory skupiły się na cienkiej warstwie sztucznej mgły, która otulała ich kopytka. Z każdą sekundą ich sylwetki stawały się wyraźniejsze — Adagio na przodzie, Aria i Sonata tuż za nią, ułożone w trójkąt harmonii.

Adagio uniosła głowę. Gdy zrobiła pierwszy krok naprzód, jej głos przeciął ciszę sali. Słowa niosły się powoli, ale z niepokojącą pewnością.

— Witajcie na pokazie. Chcemy, byście wiedzieli. Nadszedł nasz czas... a wasz się kończy.

Zabrzmiało jak powitanie i wyrok jednocześnie.

Dołączyły do niej głosy sióstr, splatając się w echu.

— Poczujcie falę dźwięku, gdy uderza z siłą. Nie odwróćcie wzroku. Sprawimy, że zostanieie.

Pod ich kopytkami rozbłysły pierwsze czerwone impulsy. W chwili, gdy pierwsze impulsy uderzyły w scenę, w całej sali rozległo się ciche, niemal niezauważalne drżenie. Nikt jeszcze nie zareagował — uznano to za część efektu. Ale pod ławkami czuć było narastające wibracje. Jakby muzyka nie tylko rozbrzmiewała w uszach, lecz wciskała się w

podłogę, w ściany, w szkło okien. Kryształy zawieszone na piersi każdej z syren rozjarzyły się, pulsując światłem zsynchronizowanym z rytmem melodii. Cała sala została zalana ciemnoróżowym blaskiem, który zdawał się drgać razem z ich głosami. Kucyki na widowni znieruchomiały, zaczarowane — nie przez iluzję, ale przez czysty rezonans.

Powietrze zaczęło gęstnieć. Nie metaforycznie — dosłownie. Każdy dźwięk wybrzmiewał jak uderzenie fali o sklepienie sali. Gdy głosy syren wzbiły się wyżej, gzymsy zadrżały, a reflektory zawibrowały w swoich zaczepach. Drzenie przeszło po ścianach jak echo — ciche, ale niepokojąco rzeczywiste.

Trzy głosy uniosły się jeszcze wyżej, pewne siebie, jakby znały zakończenie tej opowieści.

— Będziecie nas wielbić. Zazdrościcie, bo chcecie być jak my.

Ich ciała zadrżały delikatnie — a może to iluzja pękała? Na ułamek sekundy futerko Aarii błysnęło odcieniem rybiej łuski. Ogon Sonaty poruszył się płynnie, nienaturalnie gładko. A oczy Adagio zaśmiały się, jakby nie odbijały już światła, tylko je pochłaniały.

— Nie możecie nas ignorować. Czas na naszą nagrodę.

Z wnętrza ich kryształów zaczęły wydobywać się niewidoczne nici. Prawie jak dym, lecz cięższe, niosące opowieści. Pamięć. Uczucia. Tęsknotę i strach. Widownia nie mogła się poruszyć. Nie chciała. Niektórzy uśmiechali się szeroko, inni po prostu płakali. Ale nikt nie odwrócił wzroku.

Głos Adagio przeciął ciszę ostatecznie.

— Teraz nas potrzebujecie. Słuchajcie nas. Nic nas już nie powstrzyma.

Były w pełni w swojej syreniej formie. Ich kryształy lśniły czerwienią tak intensywną, że oświetlały sufit sali.

W tej właśnie chwili fale dźwięku osiągnęły szczyt. Budynek zawibrował tak mocno, że część publiczności mimowolnie wstrzymała oddech. Szyby w wysokich oknach zadrżały, wydały z siebie jęk, jakby ostrzegały przed czymś nieuniknionym. Niektóre z nich pękły na samym brzegu, z cichym, niemal niezauważalnym trzaskiem.

Wokół nich wirowały pasma magii — wspomnienia i emocje, które zbierały z otumanionej publiczności niczym skarby. Uwielbienie. Zachwyt. Zaufanie.

Adagio poczuła, że znowu żyje. Aria oddychała głęboko, jakby wracała z dna. Sonata uśmiechała się do koleżanek. Tego posiłku nie miały od dawna.

W ich oczach nie było ani litości, ani strachu. Nie obchodziło ich, że gdzieś w tłumie Iris, Meadow i Camel obserwują je z przerażeniem. Nie przeszkadzało im, że ktoś inny też tam był — stojący nieruchomo, z szerokim uśmiechem, bez cienia w oczach.

MY. Spiralne echo przeszłości. Odbicie, które nauczyło się patrzeć.

Występ trwał, a fale dźwięku z każdą nutą stawały się gęstsze, cięższe, głębiej wnikające w serca widzów. Na scenie tańczyły nie tylko kucyki, lecz morskie cienie — przemykające między światłami, ukazując na moment swoje prawdziwe ogony i łuski, tylko po to, by znów otulić się futrem złudzeń. Nikt nie zauważył różnicy. Nikt nie chciał.

Syreny śpiewały o miłości, której nikt im nie okazał. O głodzie, który znały tylko one. O tym, że przyszły nie po zemstę... lecz po uwagę. Ich głosy raz wzlatywały wysoko, raz opadały głęboko, jakby każda fraza była falą łamiącą się o brzeg — aż w końcu nawet echo zdawało się ich słuchać.

Podłoga pod najbliższymi rzędami zadrgała znowu — tym razem mocniej. Reflektory przy scenie zamigotały, jakby walczyły o utrzymanie światła. A potem... wszystko ucichło na jedno uderzenie serca. Cisza przed ostatnią nutą. Cisza, która była cięższa niż pieśń.

Pośród widowni, klaczki zaczęły szeptać słowa pieśni, nieświadomie. Jedna po drugiej. Jakby znały je od zawsze.

— Będziecie nas wielbić...

Niektóre z nich już wcześniej zostały dotknięte. Sonata zabrała wspomnienia jednej. Aria dotknęła sennych myśli drugiej. Adagio pozwoliła trzeciej przez chwilę poczuć, czym jest prawdziwy głos. Teraz te wszystkie dziewczynki wpatrywały się z błogością. Niektóre miały mokre oczy. Inne stały jak zahipnotyzowane. Nauczyciele też... ale oni byli tylko tłem. Tylko młode serca miały znaczenie.

Światła sceniczne przygasły — nie z winy techników, ale z woli śpiewających. Kryształ syren rozbłysły jeszcze raz. Nie czerwienią. Teraz to był głęboki błękit, jak najciemniejsze miejsce oceanu. Jak Aquatika.

Adagio spojrzała w dal — nie na publiczność, ale ponad nią. Czuła. Camel była blisko. I nie była sama. Trzy inne źródła zakłócały symfonię. Ale było już za późno.

Syreny zakończyły pieśń. Głosy opadły. Czerwone pasma magii zasiliły ich klejnoty. A w ciszy, która zapadła, nikt nie odważył się jeszcze klaskać. Nikt nie krzyczał. Przez kilka sekund wszyscy tylko... patrzyli. Z osłupieniem. Z zachwytem. Z pustką.

Dopiero potem rozległy się pierwsze oklaski. I potem kolejne. W końcu sala eksplodowała w brawach i wiwatach. Dazlings uśmiechnęły się do siebie. Wiedziały, że nikt im nie dorówna. Nie dzisiaj. Może nigdy.

Zeszły ze sceny wolno, majestatycznie, jak królowe schodzące z tronu. W ich oczach lśnił triumf, a w kryształach drgały jeszcze nuty niedawno skradzionych opowieści. Jedna z nich była o klaczce, która zapomniała, że kiedykolwiek widziała łuski.

Adagio westchnęła. Miały prawie wszystko.

Prawie.

A za ich plecami, pośród spękanych szyb i drobnych pęknięć w marmurze sceny, ktoś jeszcze patrzył. Nie dziecko. Nie nauczyciel. Coś... co czuło tę moc i drżało przed nią. Tak jak drżał cały świat.

Interludium XVII – Przebudzenie Sióstr

Światło sceny dawno już zgasło, ale echo pieśni wciąż drżało w powietrzu. Pulsowało pod skórą, w duszach, w ścianach szkoły. Czerwone nici wspomnień wiły się przez korytarze jak cienkie pasma dymu.

Camel, Iris i Meadow stały obok siebie – na granicy tego, co było snem, a co prawdą. Jeszcze chwilę wcześniej wydawało im się, że wszystko rozumieją. Że Galeria Luster, ścieżka chaosu i przeszłość zostały uporządkowane. Ale występ Dazzlings otworzył coś, czego nie dało się już zamknąć.

Camel pierwszy raz od dawna poczuła strach nie przed sobą, nie przed własnym ogniem – ale przed czymś obcym. Syreny śpiewały językiem, którego nie знаła, ale rozumiała każdy wers. Każda nuta miała w sobie wspomnienie – nie tylko ofiar, ale i ich własnych pragnień. Ich głód był stary jak ocean, a ona go poznała.

Iris zamarła. Nie dla tego, że pieśń ją przyciągnęła – ale dlatego, że wiedziała, skąd pochodzi. Dźwięki były znajome. Nie jako muzyka, ale jako struktura. Spiralna, rozchodząca się rytmicznie, pulsująca iluzją – dokładnie jak dawna magia Screwball. I nagle... w tym wszystkim znów poczuła ją. Siebie. Jej. Odbicie, które nie odeszło. Screwball nie umarła. Występ syren przywołał ją z powrotem. Jako cień. Jako echa. Jako MY.

Obok nich stała Meadow. Nasionko chaosu drżało pod skórą, jakby reagując na obecność czegoś starszego, pierwotnego. Przez moment poczuła, jak gdyby dźwięki pieśni próbowały wniknąć w nią – nie jako wspomnienie, ale jako nowy korzeń. Jakby syreny chciały wpleść swoje opowieści w jej serce. Ale Meadow była gotowa. Zamknęła oczy. Oparła się. I w tej ciszy, wewnętrznej, głębokiej – usłyszała siebie.

Trzy siostry chaosu spojrzały na siebie. I wreszcie zrozumiały.

To, co wydarzyło się w szkole, nie było tylko iluzją. Nie był to zwykły występ. Syreny przejęły opowieść. Własnymi pieśniami zaczęły pisać nowy rozdział – pełen fałszywych wspomnień, przejętych snów, ukradzionych historii.

Camel spojrzała jeszcze w stronę sceny – z której schodziła Adagio Dazzle. Klaczka o bursztynowych oczach zatrzymała się na moment, spojrzała prosto na nią i... puściła buziaka. Zrobiła to z uśmiechem, niekrytym. Jakby wiedziała, że ich spotkanie to tylko kwestia czasu.

— Dość — powiedziała Camel cicho.

Iris skinęła głową. Jej spojrzenie było spokojne, ale w środku coś już zaczynało się kruszyć. Stare lusterko. Spiralny cień.

Meadow zrobiła krok naprzód. Nasionko chaosu w jej sercu rozjaśniło się – nie agresją, lecz determinacją.

Trzy siostry. Trzy odbicia. Jedna decyzja.

Nie pozwolą, by pieśń syren stała się nowym lustrem.

Interludium XVIII – Pieśń, która nasycza

Korytarz pachniał kurzem, emocją i magią chaosu tak silną, że tym, które mogły ją wyczuć, aż zakręciło się w głowach. Czerwone światło sceny jeszcze nie zdążyło całkiem opaść z ich grzbietów, a echo pieśni wciąż wirowało w powietrzu jak dym. Czuły to pod skórą. Czuły to w gardle. Potworny głód, który przez tak długi czas drążył ich ciała, teraz wreszcie został nasycony.

Adagio szła przodem. Jej krok był miękki, ale pewny. Futro zaczęło już odzyskiwać swoją normalną formę, lecz pod nim jeszcze błyszczały fragmenty łusek, jak gdyby ciało nie chciało zapomnieć.

Za nią szły Aria i Sonata. Pierwsza z powagą i chłodnym wyrazem pyska, druga podskakiwała lekko, jakby śpiew jeszcze nie opuścił jej kopytek. Ich kryształ — czerwone jak żywa krew — nadal tliły się przy szyjach. Dzwon z opowieści rósł.

Adagio spojrzała przez ramię.

— I co sądzicie o naszym występie, siostry? — zapytała, z tym swoim cienkim uśmiechem, który był bardziej ostrzem niż czułością.

Sonata uniosła brew, robiąc teatralny obrót na jednym kopytku.

— Dziewięć na dziesięć. Odjęłabym punkt za brak mgły z zapachem kokosa.

Zatrzymała się, patrząc na podłogę, jakby sprawdzała, czy jeszcze drży.

— Chociaż... nie powiem. To było coś. Widziałam, jak reflektory drgały. Jak kurz sypał się z sufitu. Ten moment, kiedy szyby zaczęły dzwonić... jakby śpiewały razem z nami. Hee, może nawet budynek nas pokochał.

Adagio uśmiechnęła się mniej niż zwykle. Z zadowoleniem, ale też z czymś innym — jakby słyszała echo dawnej przestrogi.

— Może. Albo się bał. Słyszałyście ten trzask? W czwartej minucie pieśni, gdzieś nad lewym balkonem. Ktoś tam pisał. Myślę, że to była klaczka w drugim rzędzie. Nie wiedziała, czy płakać, czy klaskać. I dobrze. Miałyśmy im rozerwać granicę między zachwytem a paniką.

Aria, która dotąd szła w milczeniu, odetchnęła głęboko. Spojrzała w bok — na pęknięcie w ścianie, którego jeszcze przed występem tam nie było.

— Dziesięć na dziesięć — mruknęła. — Patrzyli, jakbyśmy właśnie zabrały im sen. I może tak właśnie było. Ale... budynek. On tego nie wytrzyma drugi raz.

Zamilkły na moment.

W powietrzu jeszcze krążył zapach magii. Nie tej łagodnej, co uzdrowia. Tej surowej. Gęstej. Pochłaniającej. Dźwięk, który przerodził się w ciężar. Pieśń, która ważyła więcej niż kamienie w fundamentach.

Przeszły przez skrzydło szkoły, zbliżając się do akademika. Ich pokój — przydzielony im z uprzejmości dyrektora i nieświadomych nauczycieli — leżał na końcu korytarza. Miał okno wychodzące na jezioro. Tam Adagio spoglądała najczęściej.

Ale tym razem... spojrzała w drugą stronę.

Tam — za korytarzem, między rzędami lampek, światła, dziecięcych głosów i stłumionych rozmów — nadchodziły trzy klaczki.

Camel. Meadow. Iris.

Klaczka ognia. Nasionko chaosu. I... dawna córka Discorda.

Adagio zmrużyła oczy. Wspomnienie, jak błysk, przesunęło się pod czaszką. Ostatni raz widziała je razem... w Aquatice. Gdy jej ojciec — ten, którego same nazywały tylko On — zawierał z nimi pakt. Camel była wtedy młodsza. Miała w oczach lęk, nie ogień. A Screwball... tak, Screwball, nie Iris. Mała istotka o spiralnych oczach, która nie wiedziała jeszcze, czym jest zdrada.

A potem — obraz Camel brodzącej samotnie przez ocean. Śledzącej ich ślady pośród fal. Upartej. Upartej jak zawsze.

Adagio zatrzymała się przed drzwiami ich pokoju. Uśmiechnęła się, nieco drapieźnie.

— Mamy widzów — szepnęła.

Sonata zerknęła przez ramię i uśmiechnęła się, machając radośnie.

— Może poproszą o bis?

Aria się nie odwróciła. — Może przyjdą po zwrot.

— Ale niech wiedzą jedno — mruknęła Adagio, otwierając drzwi — pieśń, która raz zabrzmiała, nie przestaje już istnieć.

Weszły do pokoju. Drzwi niemal zamknęły się cicho, ale echo śmiechu Sonaty poniosło się dalej korytarzem.

Trzy serca syren. Trzy struny magii. I dzwon z opowieści, który z każdą chwilą brzmiał coraz głośniejsze.

Drzwi akademika już niemal się zamknęły, gdy Sonata zatrzymała się, obracając lekko głowę przez ramię. Czuła to... pulsowanie, jak ciepły nurt magii przepływający przez przestrzeń między sercami. Jej kopytka ledwo dotykały podłogi, a czerwony blask jeszcze tlił

się w oczach. Bez słowa, z uśmiechem sięgającym od ucha do ucha, wysunęła się znów na korytarz.

Szła lekko, jakby niosła pieśń pod językiem, gotowa wypuścić ją w każdej chwili.

Zatrzymała się na środku korytarza. Zrobiła to dokładnie tak, by ich zauważyły. Czekala. Na nie. Na trzy siostry chaosu, które zbliżały się powoli, ostrożnie — może z gniewem, może z przeczuciem, że coś właśnie się skończyło.

— Dawno się nie widziałyśmy, prawda? — powiedziała lekko, przeciągając słowa, jakby były cukrową watą. — Camel... Meadow... Iris... No, no. Jak dobrze wyglądacie.

Jej spojrzenie zatrzymało się na Camel. Zgasła beztroska.

— Powiedz, Camel. Jak to jest... wiedzieć, że sprowadziłaś nam na głowy nasze własne łuski?

Uśmiech nie zniknął, ale zmiękł. Złośliwość sączyła się w każdej sylabie.

— Gdyby twój ojciec żył... gdybyś nie spopielila kawałka świata, żeby wybić jego widownię... Może pakt nie zostałby złamany. Może nie musiałybyśmy tu wracać.

W korytarzu zrobiło się ciszej. Powietrze zgęstniało, jakby każda lampa przygasła o odrobinę. W oczach Sonaty błysnęła czerwień — cicha, intensywna, jak wypalony ślad węglowego szkła.

— Jak to jest... wiedzieć, że to wszystko... — Jej głos przyciszył się do szeptu. — Tylko i wyłącznie...

Zrobiła krok bliżej. Głos stał się ostry.

— TYLKO I WYŁĄCZNIE twoja вина?

Camel stała nieruchomo. Jej złote oczy nie błyszcząły ogniem — jeszcze nie. Ale mięsień na żuchwie drgał.

Sonata westchnęła teatralnie.

— Myślałyśmy, że Discord miał tylko jedną córeczkę. — Zerknęła w bok, ku Iris. — Ale potem... przypomniałam sobie. Skąd cię widziałam. Wiesz, Camel?

Jej uśmiech stał się nieprzyjemnie rozbawiony.

— To było wtedy... kiedy zobaczyłam cię wysoko nad oceanem. Kiedy śledziłaś nasz szlak. Kiedy przemierzałyśmy fale w drodze na ląd... A ty — mała wojowniczką — leciałaś za nami. Taka dzielna.

Zrobiła krok w bok. Ustawiała się w teatralnym półkręgu. — I co wtedy czułaś? Dumę? Strach? Czy może... zazdrość?

Wokół niej aura znów zaczęła pulsować. Ale nie śpiewała. Jeszcze nie.

Czekała na odpowiedź.

Iris milczała. Meadow napięła mięśnie, jakby gotowa stanąć między nimi. Ale Camel...

Camel tylko patrzyła.

Płomień, jeszcze nie rozpalony. Ale już gotowy.

Oczy Iris nie świeciły spiralami. Nie potrzebowała już ich, by widzieć. Patrzyła na Sonatę bez cienia drżenia, jakby wreszcie zrozumiała, z kim naprawdę rozmawia.

Zrobiła krok naprzód, stając obok Camel. Nie przed nią. Nie między nimi. Obok.

— Nie jesteś taka mądra, jak ci się wydaje — powiedziała cicho, ale pewnie. — Jeśli naprawdę myślisz, że to wszystko *tylko* wino Camel... to chyba zapomniałaś, jak działa chaos.

Uśmiechnęła się łagodnie, ale jej głos niósł się wyraźnie, jakby każda litera niosła ciężar szkła.

— On nie tworzył córek, Sonata. On tworzył odbicia. Krzywe. Błyszczące. Czasem piękne. Czasem przerażające. I Camel, i ja... byliśmy jego próbami. Ale wiesz co?

Zrobiła krok bliżej. Już nie szeptała.

— My przestałyśmy być odbiciami.

W jej oczach nie było gniewu. Była decyzja. Była prawda.

— A ty nadal jesteś echem. Słodką nutą, która nie potrafi przestać brzmieć.

Odwróciła głowę w bok, ku Meadow, która wciąż stała nieruchomo. — Idziemy?

Camel skinęła głową, wciąż milcząca.

Iris spojrzała jeszcze raz na Sonatę — nie z nienawiścią, ale z czymś o wiele groźniejszym: ze współczuciem.

— Twój głód cię zjada, Sonata. Ale nie martw się. Spotkamy się tam, gdzie kończą się piosenki.

Odwróciła się. I ruszyła w stronę drzwi.

◆ **Komentarz Autorski – „Spotkamy się tam, gdzie kończą się piosenki”** ◆

To jedno z tych zdań, które brzmią jak pożegnanie — ale są **wezwaniem**.

Kiedy Iris wypowiada te słowa do Sonaty, nie mówi tego z pogardy ani wyższości. Nie triumfuje. To nie jest zwycięstwo.

To **dar**. Może ostatni, jaki ma do zaoferowania.

Bo Iris **już wtedy rozumiała**, że cała ta wojna — między syrenami a siostrami chaosu, między iluzją a pamięcią — nie skończy się wybuchem. Skończy się **ciszą**, jaką zostawia po sobie piosenka, gdy ostatnia nuta wybrzmi... i zostaje tylko to, co **było prawdziwe**.

To zdanie jest **przysięgą i przestrogą zarazem**:

„Spotkamy się tam, gdzie kończą się piosenki.”

– czyli nie tam, gdzie trwa magia, rywalizacja i zachwyt...

– ale tam, gdzie nie ma już czego udawać.

– gdzie głód, który zjada od środka, musi w końcu ustać.

– gdzie nie da się już śpiewać dla uwagi, bo **nikt nie słucha**.

– gdzie syrena i klaczka nie mają już masek.

To miejsce, którego Sonata wtedy **jeszcze nie знаła**.
Ale którego **każda z nich w końcu dotknęła**.

I w tym jest cały sens tej sceny — i całego finału.
Nie chodziło o to, kto wygra.
Chodziło o to, kto **zrozumie**.

Iris zrozumiała pierwsza.
Sonata... może jako ostatnia.
Ale w końcu wszystkie znalazły się **tam**.

Tam, gdzie kończą się piosenki.
I zaczyna **prawda**.

Interludium XIX – Odbicie paktu

Sonata zaśmiała się pierwsza — krótko, ostro, z błyskiem satysfakcji w oczach. Aria i Adagio dołączyły po chwili, jakby wyczuły, że moment wymaga harmonii. Trzy głosy — trzy rejestry — jedno pogardliwe rozbawienie.

– Jesteśmy królowymi – powiedziała Adagio, idąc przez korytarz lekkim, tanecznym krokiem. – Paniami mórz. Wy macie swoje siostry księżniczki, Celestię i Lunę... A my? My wolimy **Triumwirat**.

Aria uśmiechnęła się złośliwie, idąc za nią, podczas gdy Sonata kręciła się wokół, jakby próbowała zobaczyć własne odbicie w marmurowej posadzce.

– Nigdy nie ufałyśmy Discordowi – dodała Adagio. – Pakt był prosty. On zostawia nas, my jego. Do czasu...

– Ale jego już nie ma – wtrąciła spokojnie Sonata.

– Zabity przez własne dzieci – dorzuciła Aria z drwiącą nutą.

Gdy mijały ścianę wyłożoną szkłem, światło przygasło. Ich odbicia odbiły się nienaturalnie głęboko, nie jak obraz w szybie — ale jakby za szybą istniał inny świat, który właśnie się budził.

— A teraz mamy nowy triumwirat chaosu — rzekła Adagio. — Tak bardzo przypominający nasz...

I wtedy to się stało.

Zimny błysk prześlizgnął się po szkłe. Lustro zapulsowało jak powierzchnia wody, a cienie zadrżały. Wszyscy zamilkli — Camel, Iris, Meadow. Ich spojrzenia utknęły na tafli.

W odbiciu nie było ich.

Były trzy inne klaczki. Młodsze. Starsze. Równocześnie. Jedna z ogonem morskiej syreny, druga z ciałem spowitym blaskiem chaosu, trzecia w koronie z pereł i cierni.

Zaczęły się wspomnienia.

Woda — ciemna, słona, kipiąca — burzyła się w wielkiej sali tronowej. Trzy syreny patrzyły, jak przez rozdzielającą się przestrzeń wynurza się istota niemożliwa: skrzydła nietoperza, łapa lwa, ogon węża. Oczy pełne śmiechu i rozpacz. Discord.

— Ach, moje ulubione rybki — zarechotał. — Co za pieśń mnie tu sprowadziła?

Adagio nie klękała. Stała. Jak królowa.

— Obiecałeś neutralność. My zostawiamy twoją domenę, ty nie sięgasz do naszej. Ale coś się zmieniło.

Aria splunęła w morską pianę.

— Ktoś zabrał twoją koronę. Ale pachnie jak chaos.

— I moc! Nowa, świecąca, dziewczyńska! — zapiszczała Sonata.

Discord uniósł brew.

— Nie moja sprawa... jeśli kiedyś rzeczywiście umrę. Ale nie przyszłyście chyba śpiewać mi kołysanki?

Odbicie Adagio zmieniło się — ogon syreny zniknął, a w jego miejscu pojawiły się kopyta. Grzywa. Ciało klaczki. Mimika doskonała. I urok, któremu nikt nie mógł się oprzeć.

— Przyszliśmy odzyskać to, co nasze.

— I pożywić się opowieściami nowego pokolenia — dodała Aria.

Discord się zaśmiał. Ale jego oczy nie tańczyły już tak wesoło.

— Szukacie córek chaosu?

Adagio zbliżyła się, aż ich pyski się spotkały. Jej spojrzenie było czerwonym sztylblem.

— Nie szukamy. **Idziemy po nie.**

Obraz zatrzęsł się i pękł. Lustro znów stało się tylko szkłem.

W korytarzu zapanowała cisza. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. Camel czuła, jak w jej brzuchu zawiązuje się coś gorącego, palącego. Jakby serce przypomniało sobie ból z przeszłości.

Iris nie mrugnęła nawet razu. Stała jak zakorzeniona.

Meadow szeptała coś do nasionka w piersi, jakby prosiła je, by nie zapomniało, kim jest.

Adagio spojrzała przez ramię, uśmiechając się szeroko.

— No więc? Co powiecie, księżniczki chaosu?

Sonata zbliżyła się do Camel i przechyliła głowę, jakby słuchała oddechu.

— Fajnie było znowu się spotkać, prawda? Aż łuski z tego wszystkiego zaczynają swędzieć.

Odeszły, zostawiając odbicie paktu w ścianie.

Nie zgasło od razu.

Lustro nadal tliło się czerwienią.

Meadow nie mogła oderwać wzroku od lustra.

Choć obraz zgasł, tafla wciąż lśniła nikłym światłem – jakby ostatnie echa wspomnienia nadal wirowały po jej wewnętrznym oceanie. To nie była zwykła iluzja. Ona **pamiętała**. Pamiętała wirującą wodę, pamiętała głos Discorda, choć nigdy wcześniej go nie słyszała. Pamiętała smak grozy, który nie należał do niej.

Ale teraz był **jej**.

Zadrżała.

I wtedy usłyszała **stukot**. Drobne kopytka, ostrożnie stąpające po posadzce, oddalające się od sali gimnastycznej. Dzieci. Ich radość przygasła, zamieniona w ciszę i oszołomienie. Pojedyncze szepty. Kilka powstrzymanych łez. Wszyscy byli pod wrażeniem... ale nie potrafili powiedzieć, **dlaczego** czuli się puści.

A potem rozległ się głos Sonaty.

— Może jednak powinniśmy im dać bis? Takie słodkie, na deser...

Jej ton był jak miód polany na szkło – gładki, złudnie ciepły, ale bezlitosny.

Aria westchnęła głośno.

— Nie warto. I tak już wszystko wyjadłyśmy.

Meadow zamarła. Poczuła, jak nasionko chaosu w jej piersi kurczy się, próbując nie rozerwać się od bólu i gniewu. Czuła dzieci. Każde jedno. Ich wspomnienia, których brakowało. Ich miłość, która nagle gdzieś się zgubiła.

Ich historie, które zniknęły.

Adagio przeciągała się powoli, jej głos był miękki jak aksamit.

— Bis byłby jak wyjadanie ze śmietnika. Po co nam resztki, skoro mamy już ucztę?

Śmiech. Cichy. Zgrany. Trzy głosy w jednym rytmie. Meadow miała wrażenie, że ten śmiech nie zatrzyma się w jej głowie przez wiele dni.

Otworzyła oczy. Poczuła dym. Ale to nie był ogień Camel. To był ślad po czymś głębszym – po pieśni, która wżarła się w dusze.

– Camel... Iris... – wyszeptała. – One to naprawdę zrobiły.

Nie był to już tylko pokaz. Nie był to tylko magiczny występ.

To była **ofiara**.

I one właśnie ją złożyły.

Meadow drgnęła, jakby coś pękło w niej na nowo. Wiedziała jedno: dzieci nie wiedzą, co im zabrano. Jeszcze nie.

Ale ona **wiedziała**.

I nie mogła pozwolić, by to się powtórzyło.

Interludium XX – Puste Miejsce (cz. I)

Kucyki wychodziły z sali, ciągnąc za sobą serpentyny wspomnień, które nie chciały się dopasować do dzisiejszego dnia. Niektóre się śmiały. Inne były cicho. Ona szła na końcu.

Jej kopytka stukały ostrożnie, bo nie wiedziała, **gdzie jest**. Coś nie grało. Coś... zniknęło.

Ale **Sonata** była. Jej uśmiech, jej piosenki. Jej głos, który nadal dźwięczał w głowie jak melodia kołysanki.

Usłyszała go znowu — nie śpiew, ale słowa. Z korytarza dobiegł ją cichy śmiech i pytanie, które ją zatrzymało.

— Może dałybyśmy im bis?

To była **ona**. Tak bardzo **jej**.

Klaczka przyspieszyła kroku. Serce waliło. Być może po występie wszystko się naprawi. Być może to tylko sen.

Zakręt. Szkolny korytarz. Trzy klaczki chaosu. Trzy królowe morskiego światła.

I **jej** Sonata — tak blisko, a jakby za szybą.

— Sonata?! – zawołała, niemal potykając się o własny cień.

Sonata odwróciła się powoli. Jej pysk rozświetlił ten sam, znajomy uśmiech — ale coś w oczach nie pasowało. Coś... czerwonego.

— Czemu... czemu jesteś taka niemila? – spytała klaczka, prostując się i próbując dodać sobie odwagi. – Przecież się... przyjaźniłyśmy, prawda?

Cisza.

Przez chwilę myślała, że Sonata zaraz ją przytuli. Że zaraz się roześmieje, jak wcześniej, i powie, że to tylko żart. Że wszystko jest dobrze.

Ale nic takiego nie nastąpiło.

Zamiast tego Sonata przechyliła głowę lekko w bok, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. Jej spojrzenie przesunęło się po pysku klaczki, jakby szukała czegoś... czego już tam **nie było**.

I wtedy klaczka zrozumiała.

Nie pamiętała **kiedy się poznały**.

Nie pamiętała, **jak się zaprzyjaźniły**.

Pamiętała tylko to uczucie: że są sobie bliskie. Że ta klaczka z aksamitnym głosem była **ważna**.

Ale **nie wiedziała dlaczego**.

— Powiedz mi... proszę... – wyszeptała.

Sonata wzięła głęboki wdech, a potem się nachyliła. Jej głos był miękki, jak kropla wody spadająca na lustro.

— Zagrajmy w grę, dobra?

Klaczka drgnęła.

— Jaką... grę?

— Taką, w której ty udajesz, że mnie nie znasz... – powiedziała Sonata z uśmiechem – ...a ja udaję, że nigdy nie byłam twoją najlepszą przyjaciółką.

A potem mrugnęła, obróciła się i odeszła, zostawiając za sobą echo słów, których nikt nie miał prawa wypowiedzieć.

Klaczka została sama.

Z uczuciem. Ale bez wspomnienia.

Z ciepłem. Ale bez ognia.

Z **pustym miejscem**, które kiedyś było **opowieścią**.

Interludium XXI – Puste Miejsce (cz. II)

— Sonata?!

Meadow zatrzymała się w pół kroku. Poznała ten głos. Pamiętała tę klaczkę z sali muzycznej. Z jabłkiem. Z nutką drżącą w pysku.

Stała teraz naprzeciw Sonaty, która odwróciła się powoli. Obie wyglądały, jakby były z dwóch światów. Bo tak było.

Meadow nie musiała podsłuchiwać. **Czuła wszystko.**

Rozpacz. Nadzieję. Tę pustkę, która ziała między słowami.

— Czemu jesteś taka niemila? Przecież się przyjaźniłyśmy, prawda?

Ten szept dotknął czegoś w Meadow. Nasionko w jej wnętrzu drgnęło, jakby przeszył je dreszcz.

Sonata nachyliła się. Jej słowa były ciche, ale **brutalne** w swojej łagodności:

— Zagrajmy w grę, dobra?

I wtedy Meadow zrozumiała.

To nie była zabawa. To było wymazywanie. To było **złodziejstwo w biały dzień**. Z uśmiechem. Z nutką. Z przyjaciółką.

Nie podeszła.

Nie mogła.

Stała, obserwując, jak klaczka zostaje sama — z emocją bez treści, z tęsknotą bez adresu.

Sonata oddaliła się lekkim krokiem, dołączając do swych sióstr.

A Meadow... poczuła złość.

Nie taką, która krzyczy. Taką, która **zapada głęboko**, jak ziarno chaosu w żyznej glebie.

Spojrzała na tamtą klaczkę.

Może jutro jej powie. Może opowie jej bajkę, która będzie prawdziwa. Może... zasieje z powrotem to, co zostało wyrwane.

Ale nie dziś.

Dziś chaos miał inne imię. I pachniał **solą i krwią**.

Interludium XXII – Tylko diabeł zna diabła

Ulica była już niemal pusta. Festiwal dobiegł końca, ale dźwięki nie milkły. Trwały w głowach. W sercach. W wspomnieniach. Spływały po murach jak ślina potwora.

Camel nie odwracała wzroku.

— Trzy królowe — powiedziała cicho, z taką wściekłością, że aż ziemia pod jej kopytkami wydawała się rozgrzana.

Wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu stały syreny. Gdzie Sonata śmiała się tak, jakby zabicie duszy klaczki było niczym więcej niż ruchem batuty.

— Tylko diabeł... — wyszeptała. — Tylko diabeł mógł zawrzeć pakt z kimś takim.

Meadow milczała. Jej nasionko pulsowało spokojnie, ale nie łagodziło. Obserwowała swoją siostrę, ale nie wtrącała się. Jeszcze nie.

Camel zamknęła oczy.

Wracają.

Wspomnienia.

Znowu ta polana. Znowu wiatr. Znowu echo tamtego dnia.

Iris — jeszcze nie Screwball, ale już nie niewinna — stała wtedy naprzeciw niej. Coś powiedziała. Nie pamiętała co. Ważniejsze było to, co Camel **zrobiła**.

Zamachnęła się i **uderzyła**.

Z całej siły.

W pysk.

Iris się nie broniła. Nawet nie odwróciła wzroku. Po prostu stała. Wtedy Camel nazwała ją iluzją. Zdradą. Powiedziała, że nie wierzy. Że nie może. Że nie potrafi.

To wspomnienie wróciło jak bumerang. I zatrzymało się w klatce piersiowej jak ostry kamień.

A teraz...

Screwball — dawniej jej siostra, potem jej cień — spojrzała na nią.

Krew spływała jej z pyska. Nie wytarła jej. Nie chciała. **Nie musiała**.

Ale głos, którym się odezwała, nie należał do dawnej siebie.

— Nie jestem tą samą isierką co kiedyś — powiedziała cicho. — Ale... może wciąż jestem twoją siostrą, Camel.

Słowa zabrzmiały jak iskra nad rozlanym olejem.

Camel zadrżała.

— Jakim cudem... Jakim cudem przetrwałaś?

Spojrzała na Rosalyn, potem znów na Screwball. Jej głos przeszedł w krzyk:

— Rosalyn, nawet nasz ojciec nie uszedł stamtąd bez szwanku!

Jej kopyto wskazało na pegazicę.

— Zaraz, Screwball... to **samotność** cię złamała?! — warknęła. — W Reszcie nie wytrzymałaś?! Nie mów mi, że zmiękłaś widząc **jej agonię**?!

Rosalyn uniosła lekko skrzydło, ale nie zaprzeczyła.

Camel podeszła krok bliżej.

— Przecież widziałaś to tysiące razy i NIC! — wrzasnęła. — **Czemu akurat ten kucyk**?! Co w niej było takiego, czego my nie miałyśmy?!

Jej oczy były pełne bólu. Niewiary. Rozpaczliwego zderzenia ideałów z rzeczywistością.

— Nie szło cię ruszyć, Screwball! — wykrzyczała. — Nawet wtedy, gdy stanęłaś po stronie Discorda, gdy **zamienił naszych rodziców w kamień**, pomogłaś nam... ale nie okazywałaś emocji. Byłaś najbardziej trzeźwa ze wszystkich kucyków!

Camel zatrzęsała się.

— Co ty widziałaś w tym swoim lustrze... co ty CZUŁAŚ?! — spytała z drżącym głosem.

Byłaś jak głaz... nie szło cię ruszyć, Screwball...

Słowa odbijały się w jej głowie jak echo.

Ale teraz... teraz знаła już **trzy inne głazy**.

Adagio. Aria. Sonata.

Lity granit. Bezwzględny. Zimny. Z wnętrza oceanu. Z przeszłości ich ojca.

I Screwball... **nie była taka jak one**.

Była poraniona. Ale w niej **coś zostało**.

W niej była **iskra**. Nie śmierci. **Pamięci**.

Camel spojrzała jej w oczy.

A wtedy coś się zmieniło.

Nawet nie zauważyła, kiedy stanęły bliżej siebie niż kiedykolwiek wcześniej.

— Powiedz mi — szepnęła. — Czego się nauczyłaś, siostrze?

Screwball odpowiedziała... **nie słowami**.

Spojrzała w oczy Rosalyn.

A potem w oczy Camel.

I pozwoliła jednej łzie — **nie chaosu, lecz prawdy** — spaść na ziemię.

Nie rozprysła się.

Zaiskrzyła

Interludium XXIII – Echo, które nie wraca

Nie było światła.

Nie było ciemności.

Była tylko przestrzeń.

Jakby ktoś wyjął z niej oddech.

Galeria Luster kiedyś oddychała razem z dziećmi — ich śmiechem, krzykiem, łzami, opowieściami. Ale teraz... była jak puste akwarium, w którym nie pływa już żadna myśl.

Rosalyn dryfowała.

Nie spadała. Nie unosiła się. Po prostu... była — pomiędzy. Bez wagi. Bez kierunku.

Przez moment sądziła, że to tylko iluzja, kolejna warstwa Galerii, nowy sen. Ale kiedy spróbowała zawołać po imieniu — nie usłyszała nic. Jej głos nie miał gdzie się odbić. Jakby nie miała imienia.

Jakby nigdy go nie miała.

Zaczęła się bać dopiero wtedy, gdy zrozumiała, że **nie czuje dzieci**.

Nie słyszy myśli Meadow.

Nie widzi linii Camel.

Nie czuje śladów Iris.

Nie czuje nic.

Była kotwicą. Była tą, która trwa. Tą, która zostaje, gdy inne odchodzą.

Ale teraz to ona... **odeszła**.

W jednej z tafli pojawiło się coś.

Nie obraz, nie odbicie. Bardziej... puls. Jak echo dawno zapomnianego dźwięku. Jakby przez mgłę widziała ogień Camel. Widziała, jak unosi kopyto, jak krzyczy — Byłaś jak głaz!. I wiedziała, że to nie do niej. Ale czuła, że coś pęka.

W innej tafli — twarz Iris. Cicha. Przebudzona. Tylko oczy jej drżały, jakby szukały linii, która zawsze prowadziła do niej.

Rosalyn chciała sięgnąć. Dotknąć. Powiedzieć: Jestem.
Ale jej skrzydła nie poruszyły się. Bo nie miała już skrzydeł.
Nie tutaj.

Kolejna tafla — Meadow. Maleńka. Wpatrzona w pustkę. Jakby szukała oddechu.

Rosalyn poczuła nagle ciężar. Jakby coś ciążyło w środku — nie w ciele, którego nie miała, ale w **pamięci**, która nie chciała odejść.

I wtedy zrozumiała.

To nie Galeria ją zatrzymała.

Ona sama nie chciała odejść.

Została, bo coś zostało zapomniane.

Jakaś opowieść. Jakaś dziewczynka. Jakaś klaczka.

Coś, co miało imię.

Coś, co potrzebowało jej obecności. A ona zawahała się...

Tylko raz.

Jeśli się ockniesz za wcześnie... — szeptało szkło — ...mogą nie przeżyć tej opowieści.

Rosalyn nie była wojowniczką. Nie była chaosu. Nie była z przymierza.

Ale była lustrem.

Nie przerywała opowieści. Nie oceniała. Tylko **słuchała do końca**.

Dlatego została.

Bo jeszcze nie wszystko zostało powiedziane.

Gdy Camel, Meadow i Iris spojrzały później w środek najstarszego lustra, nie zobaczyły odbicia.

Ale na jego krawędzi pojawiła się **wilgoć**. Kropla. Niewielka. Prawie niezauważalna.

Jakby **ktoś od wewnątrz... płakał**.

Interludium XXIV – Pod lustrem

Noc jeszcze nie minęła, choć szkoła była cicha jakby po trzęsieniu świata. Wiatr przetaczał się przez dziedziniec, rozwiewając resztki serpentyn. Światła konkursu zgasły. Uśmiechy widzów – zapomniały się w cieniu.

W jednej z pustych klas, oświetlonej tylko bladym odbiciem księżyca w szybie, zebrały się trzy klaczki. Każda inna. Każda jednak nosiła w sobie ślad tej samej rany.

Iris siedziała na parapecie, ze spojrzeniem wbitym w ciemność za oknem. Jej oczy były spokojne, ale ciche spięcia mięśni w policzkach zdradzały, że nadal słyszy ich pieśń. Tamtą pieśń. Śpiew, który nie tylko kradł serca – on sięgał głębiej. Kradł wspomnienia.

Meadow stała obok, wpatrzona w korytarz za drzwiami. W niej coś drżało – ale nie ze strachu. Nasionko chaosu w jej piersi pulsowało, jakby wyczuwało niepokój rzeczy większych niż dziewczęce serca. Wirowało w niej światło i cień. Niektóre sny nie chciały zasnąć.

Camel milczała najdłużej. Wciąż miała przed oczami ten uśmiech. Ten pocałunek rzucony przez Adagio – jak ostrze na pożegnanie. Była wściekła. Ale była też czujna. Od dnia, gdy spopieliała pierwszy raz świat, nauczyła się nie ufać łatwym emocjom.

— One nie przyszły po przypadkowe dusze — odezwała się Meadow. Jej głos był miękki, ale stanowczy. — Wiedziały, że jesteśmy tu razem.

— Nie tylko wiedziały — odpowiedziała Iris. — One nas badały. Od tygodni. Od miesięcy.

Camel zmrużyła oczy. — A my patrzyłyśmy gdzie indziej.

Zapadła cisza. Za szybą przeszła chmura i światło księżyca odbiło się w tafli lustra stojącego w kącie klasy. Przez chwilę żadna nie mówiła. Każda czuła coś innego, ale żadna nie była sama.

— To one przecięły pakt — powiedziała Iris cicho. — Nie my. Nie Discord. One.

— Bo coś poczuły — dodała Meadow. — Coś nowego.

— Nowy chaos — zakończyła Camel. — Nasz.

Iris spojrzała na swoje kopytko, jakby widziała na nim coś więcej niż tylko sierść. — A jeśli one chcą to odebrać?

— To nie oddamy — odpowiedziała Camel, nie spuszczać wzroku z lustra. — Ale nie możemy walczyć w ciemno.

— Musimy zejść niżej — wyszeptała Meadow. — Tam, gdzie wszystko się zaczęło. Gdzie one rosną.

Jeszcze tego nie zrobiły. Jeszcze trwały tutaj, na granicy decyzji. Ale wiedziały. Czuły.

Pod lustrem, głęboko, czekało coś, co nie było już tylko pieśnią.

Interludium XXV – Pokój bez głosu

Ściany akademika drżały. Na zewnątrz noc zdawała się zastygnąć — jakby sama cisza wstrzymała oddech.

Meadow wybiegła z sali konkursowej pierwsza. Za nią podążały Iris i Camel, jeszcze niecałkiem otrząśnięte po spotkaniu z syrenami, których słowa nadal odbijały się echem w ich myślach.

Ale już na progu budynku poczuły, że coś jest nie tak.

Korytarz, zwykle pełen śmiechu, kroków i głosów uczniów, był martwy. Drzwi do pokoju syren — uchylone. Żadnej muzyki. Żadnych smug czerwieni. Żadnej iluzji.

Camel bez słowa otworzyła je szerzej.

Pokój był pusty.

Nie w sensie zwykłej nieobecności. Był *wymieciony* — jakby ktoś starannie usunął każdą warstwę tożsamości. Nie było sukienek Sonaty, perfum Adagio, bransoletek Arie. Zniknął nawet zapach ich magii. Jakby został wypłukany do czysta. Jakby syreny nigdy nie istniały.

Na środku pokoju leżał jeden przedmiot.

Kryształ.

Pęknięty. A może tylko uśpiony. Mienił się czerwienią tak bladą, że przypominała echo krwi.

Meadow podeszła najbliżej — i wtedy to się stało.

Trzask.

Nie... **eksplozja dźwięku.** Wstrząs.

Cały budynek zatrzęsł się, jakby coś uderzyło w sam jego fundament. Szyby w oknach rozprysły się jednocześnie. Zgasły wszystkie światła.

Czerwony rozbłysk — trwający nie dłużej niż mrugnięcie.

A potem... **nic.**

Tylko echo. Rozchodzące się jak ciche westchnienie przez całe akademickie skrzydło. Echo, które nie miało już głosu.

Iris złapała Meadow za ramię. Camel już wiedziała.

— **Otworzyły bramę,** — wyszeptała. — *Własną.*

Spojrzały na siebie.

Wiedziały, że to dopiero początek.

Rozdział 20 — Przejście przez śpiew

Najstarsze lustro milczało.

Nie błyszczało, nie pękało, nie drgało pod wpływem magii. Stało w cieniu sali, jakby dawno zostało zapomniane przez świat i jego zakłęcia. Ale gdy Iris, Camel i Meadow stanęły przed nim razem... poczuły to.

Wilgoć.

Nie mgła. Nie para. **Łza** — delikatna, osadzona na krawędzi szkła, jakby nie spadła tylko dlatego, że ktoś po drugiej stronie ją wstrzymał.

— To ona, — wyszeptała Iris. — Rosalyn... nigdy nie płakała dla siebie.

Camel pochyliła głowę, śledząc linię lustra jak ścieżkę wspomnień.

— Ale płakała dla nas. Zawsze wtedy, gdy my nie umiałyśmy.

Przez chwilę żadna z nich się nie poruszyła. Chaos w nich drżał, gotowy pęknąć, gotowy zbudować nową spiralę — ale żadna nie sięgnęła po moc.

To nie był moment na moc.

To był moment na opowieść.

— Rosalyn, — powiedziała Meadow cicho. — Jeśli słyszysz... nie wracaj jako wojowniczką. Nie musisz już nas prowadzić. Wystarczy, że jesteś.

W taflī coś się poruszyło. Nie obraz, nie kształt. **Puls. Rytm. Pieśń.**

Nie była śpiewana głosem. Nie była melodią. Ale niosła coś, co każda z nich знаła — **pamięć.**

I wtedy Iris zamknęła oczy.

I zaczęła śpiewać.

Nie pieśń walki. Nie pieśń chaosu. **Pieśń pamięci** — o wszystkich dzieciach, które przeszły przez lustro. O tych, które odnalazły siebie. I o tych, które wciąż czekają.

Camel przyłączyła się druga. Jej głos był szorstki, pęknięty, ale niósł **ogień**, którym rozbija się mury milczenia.

Meadow dołączyła ostatnia — i to jej głos zamknął krąg. Nie najmocniejszy, nie najczystszy, ale **prawdziwy.**

Wtedy tafla zadrżała. I tylko raz.

A potem pojawiło się światło. Nie bijące — ciche, miękkie, srebrne.

I **cień Rosalyn**, który nie szukał już drogi powrotu. Bo **to one** przyszły do niej.

To nie magia otworzyła przejście.

To pamięć.

I pieśń, która **niczego nie żądała.**

Rozdział 21 – Dzwon z luster

Aquatika.

Nie istniała na żadnej mapie. Nigdy nie była częścią lądu. Nie znała granic, nie uznawała imion, nie potrzebowała światła ani prawa. Miała tylko jedno — **głos**. Głos, który wnikał w sny, drażył wspomnienia, wypłukiwał znaczenia.

Trzy głosy.

Miasto, a raczej królestwo zatopione w wiecznym zmierzchu, rozciągało się pod sklepieniem koralowych łuków, otulone ciemnoniebieską ciszą. Domy zbudowane były z masy perłowej i resztek pamięci, której nikt już nie chciał. Ściany — przejrzyste, jakby utkane z wody i opowieści — drgały przy każdym śpiewie. Wszystko tu brzmiało. Wszystko było echem.

W samym centrum, na wyniesieniu przypominającym **amfiteatr z kości ryb głębinowych**, stał **tron**. Skalny, omszały, ale nie martwy. Coś w nim drżało — jakby pamiętał wszystkie piosenki, które kiedykolwiek złamały komuś serce.

Na nim siedziała **Adagio Dazzle**.

Jej łuski lśniły jak rozgrzane złoto, a bursztynowe oczy przecinały wodną ciemność jak noże. Milczała, bo nie potrzebowała słów. Jej obecność wystarczała, by inne stworzenia ustępowały jej drogi.

Po lewej stronie, pólżąc z ramieniem wspartym na kamieniu, spoczywała **Aria Blaze**. Dumna. Ostra. Milcząca z pogardą. Jej ogon, fioletowy jak ślad gniewu, poruszał się z chłodną regularnością. W jej oczach nigdy nie było współczucia.

Po prawej stronie, zataczając leniwe koła i bawiąc się bąblami, pływała **Sonata Dusk**. Jej szeroko otwarte oczy błyszczały niebieską niewinnością, ale każdy, kto próbował uwierzyć w jej naiwność... kończył bez wspomnień. Jej śmiech niósł się przez królestwo jak zniekształcona kołysanka.

To właśnie tutaj, **pod tronem**, syreny zaczęły budować swój nowy instrument.

Dzwon z luster.

Nie z metalu. Nie z dźwięku.

Z opowieści.

Każde wspomnienie, które wykradły ze szkółki, każde echo dziecięcego głosu, każdy ślad po dawnej przyjaźni — **został utkany w szklaną taflę**. Lustro po lustrze, wyjęte z pamięci tych, które się zagubiły. Tych, które zostały złamane śpiewem. Tych, które śniły za głęboko.

Wokół nich unosiły się kawałki lustrzanych opowieści:

- uśmiech, który już nie wrócił,
- łza, której nikt nie zauważył,
- słowo zostanie, wypowiedziane raz, a zapomniane na zawsze.

Adagio uniosła jedno z nich. Małe. Pęknięte.

— To chyba z tej, co rysowała na ścianach, — mruknęła.

— Zostawiła po sobie piosenkę, — dodała Sonata, odwracając taflę. — Ale bez melodii. Trzeba ją złożyć z resztą.

Aria milczała. Jej ogon zatrzymał się na chwilę.

— Ten dzwon... zadzwoni tylko raz.

— I będzie to ostatnia pieśń szkoły. — Adagio spojrzała na konstrukcję, która zaczynała przypominać **serce**. Złożone z odłamków. Spajane krwią wspomnień.

Bo to nie był zwykły artefakt.

To był **wezbrany głód**, spleciony z każdej opowieści, jakiej nigdy nie chciały wysłuchać do końca.

To był ich **kontrapunkt dla luster**. Narzędzie, które miało **nie odbijać**, ale **wciągać**.

Rozdział 22 – Pod wodą nie ma cienia

Z początku wydawało się, że nic się nie wydarzyło.

Przejście przez lustro przypominało sen, który się nie kończy, tylko przepływa dalej, jakby kopyta nie dotykały już ziemi, a jedynie wspomnienia. Nie było błysku. Nie było huku. Tylko ciche **plum**, jakby coś — nie ktoś — zanurzyło się w głębię.

Camel otworzyła oczy pierwsza. Jej płomień był przygaszony, ale nadal pulsował pod skórą, jak obietnica gniewu. Spojrzała w prawo — Iris. Spojrzała w lewo — Meadow. Obie wyglądały... normalnie. Ale tylko przez chwilę.

Bo dookoła nie było już szkoły. Ani kamieni. Ani trawy.

Tylko woda.

Nie mokra. Nie duszna. Nie taka, jakiej się spodziewały. Ta woda nie była żywiołem — była przestrzenią. Czystą, bez grawitacji, bez kierunku. Czasem przypominała szkło, czasem śpiew, a czasem nic. I to właśnie **nic** było najbardziej niepokojące.

— Iris...? — szepnęła Meadow, choć wiedziała, że głos tu brzmi inaczej.

Jej szept odbił się od otoczenia i wrócił do niej jak **melodia**. Ale nie ta sama. Jakby ktoś nagrał jej słowa i ułożył z nich kołysankę.

Camel próbowała zapalić ogień. Nic.

Iris zamknęła oczy, by poczuć lustra. Nie było żadnego.

Meadow sięgnęła myślą do wspomnień dzieci, które zwykle tańczyły na skraju jej świadomości — ale teraz było pusto. Jakby zamilkły. Albo... były zbyt daleko, by krzyczeć.

– To nie Equestria – szepnęła Iris. – I nie Galeria.

– To nie *świat* – dodała Camel.

Przed nimi zaczęło się rozjaśniać. Niby światło, ale nie z góry. Raczej z dna. Jakby coś ich wzywało. Ruszyły powoli — nie pływały, po prostu poruszały się przez przestrzeń, która nie miała oporu. Nawet ich ciała zdawały się inne — miększe. Ciszej oddychające.

A potem zobaczyły **Aquatikę**.

Miasto zbudowane z kręgu. Z łusek i głosów. Z kolumn, które śpiewały, i mostów, które odbijały fale. Nie było ścian. Nie było dachów. Tylko echo. Wszędzie. Echo dawnych modlitw. Echo bitew. Echo śmiechu.

W samym centrum – **tron z piany**.

Ale nikogo na nim nie było.

– Gdzie są...? – zaczęła Meadow.

Nie dokończyła. Coś **odbiło się** tuż obok niej. Słowo.

Nie jej.

...Camel...

Głos. Obcy. Ale znajomy.

Camel rozejrzała się. – Kto to powiedział?

Nikt nie odpowiedział.

Ale potem przyszedł kolejny głos. Do Iris.

...potworze...

Nie był krzykiem. Raczej łagodnym wyrzutem.

I jeszcze jeden – do Meadow:

...po co się boisz...?

Trzy głosy. Trzy nuty.

Trzy zaproszenia.

– To ich magia – wyszeptała Iris. – One tu są. Ale nie jako ciała.

– Jako pieśń – powiedziała Camel.

Meadow nie mówiła nic. Jej oczy były szeroko otwarte. Coś poruszyło się w głębi miasta — pod kolumnami, pod dnem. Nie coś... **ktoś**.

– Nie rozdzielajmy się – szepnęła.

Ale już było za późno.

Każda z nich słyszała tylko swój głos. Swój śpiew. Swój cień. A gdy próbowały iść razem, przestrzeń rozciągała się między nimi jak gumowa tafla. Ich oddechy zaczęły się gubić.

A potem — **rozstało się dno**.

Każda z nich spadła we własną pieśń.

I nie było już nic.

Tylko muzyka.

Rozdział 23 – Pieśń Aria

Woda była nieruchoma, jakby całe morze wstrzymało oddech.

Iris unosiła się w niej bez siły, bez woli, bez głosu — aż do momentu, gdy pierwsza nuta przeszła głębiej jak dźwięk tłuczonego szkła.

To nie była pieśń syreny. To była pieśń jej ojca.

Aria patrzyła prosto na nią, ale nie śpiewała do niej — tylko przez nią, przez każdą warstwę pamięci, jakby jej głos znał ścieżki, których sama Iris nigdy nie miała odwagi śledzić.

Pierwszy obraz był miękki. Domek. Pokój. Dziewczynka. Jeszcze nie Camel, ale już nie dziecko. Siedziała na podłodze, otoczona cieniem zasłon i ciszą gry.

Była sama.

Wtedy pojawiła się Screwball. Młoda. Inna. Z uśmiechem, który nie znał wstydu. Bez serca, ale z pełną świadomością, jak mówić, żeby bolało słodko.

Usiadła obok dziewczynki. Nie zapytała o pozwolenie. Wyciągnęła kopytko, stuknęła w pionka, zaśmiała się krótko — nie dlatego, że było śmiesznie, ale dlatego, że tak miało być.

Zacząła opowieść.

O tym, jak to gra, w którą Camel gra, jest niewłaściwa. Że prawdziwe dojrzewanie to nie czekanie, aż ktoś powie teraz jesteś gotowa. Że można wejść do gry szybciej — jeśli tylko się wie, którądy.

Camel słuchała. A Screwball mówiła coraz ciszej. Głosem starszej siostry. Mentorki. Lustra.

Wspomniała o miejscu, gdzie dzieci mogą stać się dorosłe... szybciej. Gdzie gra w końcu się kończy. Gdzie nie trzeba pytać rodziców o zgodę.

Chcesz tam pójść? zapytała Screwball. I dziewczynka skinęła głową.

Iris krzyczała. Wewnątrz siebie. Nie, to nie tak, to nie tak, przecież to się nie wydarzyło — ale wiedziała, że się wydarzyło. Każdy krok tej misji był precyzyjny. Wyuczony. Czuły.

Screwball nie użyła przemocy. Użyła iluzji opieki.

Pamiętała każdy szczegół — jak poprowadziła dziewczynkę przez sen, jak zaprowadziła ją do drzwi Sal Chaosu, jak otworzyła je bez cienia wahania.

I wtedy pojawił się Discord.

Nie jako cień. Jako realny byt. Wysoki. Z szerokim uśmiechem i oczami, które znały każde słowo, zanim zostało wypowiedziane.

Camel — jeszcze nie Camel — spojrzała na niego z mieszaniną lęku i zachwytu. A potem spojrzała na Screwball. Szukała potwierdzenia. Potrzebowała go.

Screwball tylko się uśmiechnęła.

I odeszła.

Zostawiła ją tam. Dziewczynkę. Siostrę. W objęciach chaosu.

Głos Aria niósł się dalej, cicho, jakby już nic nie musiał dodawać. Nie było nut oskarżenia. Nie było szeptów wstydu. Była tylko prawda.

Pierwsza misja. Pierwsza zdrada.

Iris chciała zaprzeczyć. Chciała odwrócić wzrok.

Ale Aria nie pozwoliła.

Bo w tej scenie nie było nic do odkupienia. Jeszcze nie.

Tylko do zobaczenia

Woda była gładka. Zbyt gładka.

Jak szkło, które nie chce już niczego odbijać.

Iris przestała płynąć. Poczula, że coś ją zatrzymuje – nie kopytka, nie sieć. To była pieśń, która nie miała melodii. Tylko puls. Słaby, znajomy.

I wtedy Aria pojawiła się obok. Nie jak atak. Jak prawda.

Nie musiała śpiewać — to Iris drżała, jakby już słyszała nuty, które nadchodziły.

Nie bałam się ciebie — powiedziała Aria spokojnie, bez triumfu. Bałam się tego, kim byłeś. Bo kiedy cię stworzył, byłeś dokładnie taka, jak chciał.

Woda zawirowała. A potem zapadła się w dół.

Iris znów była mała.

Klaczka o spiralnych oczach, stojąca na granicy między myślą a nakazem. Usta otwarte. Serce ciche. Myśli... nie jej. Mówiła, co miała mówić. Czuła, co miała czuć. Tam, gdzie kończyła się jej wola, zaczynał się jego głos.

Discord.

Jego cień nie miał twarzy. Tylko kontur. Tylko kontrolę.

To twoje imię — powiedział wtedy, a ona pokiwała głową. Bo czy miała wybór?

Obserwowała samą siebie, jak kiwa się jak lalka, jak dotyka czarnego lustra — tego, które nie odbijało nic, tylko wciągało. Głębiej. Głębiej.

Zasłuż, mówił głos.

Screwball zasługiwała. Była posłuszna.

Nie potrzebowała pamięci. Miała polecenia.

A potem przyszły odbicia.

Iris zobaczyła scenę, która była czymś więcej niż wspomnieniem. Była historią, którą opowiedziała setki razy — tylko nigdy sobie.

Jak stała nad taflą, a dziecięce spojrzenia błagały o coś, czego nie знаła. Litość? Czułość? Tylko przeszkadzały. Musiała je złamać.

Jedno za drugim.

Odbicia to nie dzieci — powiedział Discord. To nie twoi przyjaciele. To echo. A echo się kształtuje.

I Screwball kształtowała.

Aż jedno z nich – może dziewczynka, może cień – odwróciło się do niej plecami. I wtedy coś pękło. Nie w niej. W tafli.

Odbicia się zbuntowały.

Nie wszystkie. Tylko te, które pamiętały.

Galeria Luster zapłonęła.

Iris patrzyła, jak samą siebie otacza spiralna mgła – jak jej śmiech staje się bronią, jak zasłania oczy tym, którzy chcieli widzieć. Jak przestaje pytać, dlaczego boli.

A potem – nie z rozkazu, lecz ze strachu – rzuca się do walki. Sama z sobą.

Aria była obok niej cały czas.

Zabiłaś więcej niż pamięć — powiedziała cicho. Zabiłaś to, czym miałaś być.

Iris chciała zaprzeczyć.

Ale lustro nie kłamało.

Pokazało ją, jak upada. Nie fizycznie. W środku. Jak po raz pierwszy nie słyszy głosu ojca... i nie wie, co zrobić. Jak traci kontrolę nie dlatego, że ją jej odebrano — ale dlatego, że nie wie, kim jest bez niej.

I wtedy spojrzała w czarne lustro.

Nie było już spiral. Nie było dzieci.

Była tylko ona. Sama. I echo, które nie wracało.

To tam cię zostawił — szepnęła Aria. Nie wtedy, gdy cię stworzył. Nie wtedy, gdy kazał ci śpiewać. Tylko wtedy, gdy przestał.

Wtedy Screwball zrozumiała, że jej ojciec nie potrzebuje już lalki.

I wtedy... zaczęła pamiętać.

Nie wszystko. Tylko jedno imię. I jedno łzy.

To był początek Iris.

Ale jeszcze nie koniec.

Woda nie poruszała się. A jednak każda fala, każda kropla w tej nierealnej przestrzeni Aquatiki drżała, jakby wstrzymując oddech przed tym, co miało nadejść.

Aria nie mówiła nic. Nie musiała.

Pieśń już trwała.

Nie miała melodii. Nie miała rytmu. Była jak rysa na szkle — zbyt głęboka, by ją zignorować, zbyt bolesna, by wytrzymać w ciszy.

Iris poczuła, jak coś w niej pęka. Nie teraz. Dawno temu. Tam, gdzie echo dziecięcego śmiechu staje się krzykiem.

To miejsce nie miało drzwi. Tylko lustra.

Jedno z nich wyłoniło się z głębi pieśni. Było stare, popękane, a jego ramy zdawały się kruszyć pod ciężarem wspomnień.

Iris zobaczyła samą siebie. Tamtą siebie.

Uśmiechniętą. Skręconą. Bawiącą się.

Była centrum chaosu, królową Galerii. W jej oczach nie było światła — tylko spirale.

Mała klaczka stała naprzeciwko niej, zadrżała, cofając się, jakby próbowała schować się w cieniu własnych skrzydełek. Była młoda. Była cicha. Miała nadzieję.

— Nie bój się. To tylko gra. — powiedziała Screwball.

Jej głos był miodem i ostrzem.

Odbicie dziecka w lustrze zaczęło się rozmazywać. Jego kopytka dotykały tafli z taką delikatnością, jakby prosiły o przepuszczenie. Ale Screwball śmiała się, zataczając spirale wokół jej odbicia.

— Nie uciekaj. Jeszcze nie wiesz, czym jesteś.

I wtedy Iris przypomniała sobie, co zrobiła. Przypomniała sobie każdą iluzję, którą nakarmiła śmiechem. Każde dziecko, które przyjęło jej kopytko, a potem nigdy już nie znalazło swojej.

Kolejne lustra otwierały się jak rany.

Tu chłopiec, który błagał o to, by mama go nie zapomniła. Śmiała się z niego. Nazwała go pajacem i włożyła mu maskę.

Tam dziewczynka, która milczała. Iris przyłożyła jej kopytko do ust i powiedziała, że nikt nie chce słuchać milczenia.

A jeszcze dalej — dziecko, które kochało rysować. Złamała mu kredki. Włożyła do kopytek atrament, który nigdy nie zasychał. A potem kazała malować tylko siebie.

Wszystko to było w pieśni Arii.

Ale to nie był tylko sąd.

To był obraz. Odbicie. Bez słów i bez kary.

— Czy naprawdę nie wiedziałaś? — zapytała Aria.

Iris nie odpowiedziała. Patrzyła, jak jej dawna postać wykrzywia się w kolejnym lustrze, wyciągając kopyta do kolejnego dziecka. Wszystko działo się równocześnie — śmiech, krzyk, taniec, płacz.

W każdej tafli była zła.

W każdej tafli była sama.

I tylko jedno lustro pozostało czyste.

Lustro, w którym stała teraz — nie Screwball, nie potwór, nie spirala.

Tylko klaczka.

Z oczami drżącymi.

Z sercem, które się nie śmieje.

— Czy to wszystko... byłam ja? — wyszeptała.

Aria nie odpowiedziała. Pieśń się kończyła. Ale echo trwało.

I echo to nie była kara.

Było zaproszeniem.

Do spojrzenia. Do pamięci.

Do wybaczenia sobie — kiedy już przestanie się uciekać.

Rozdział 24 – Pieśń Sonata

Woda Aquatiki otaczała Meadow niczym sen. Ciepła. Gęsta. Wygładzająca każdy cień.

Nie wiedziała, kiedy się oddzieliła od Iris i Camel. W pewnym momencie płynęły razem — szukając śladu Rosalyn, albo pieśni, albo światła. A potem... coś zniknęło. Jakby fale zamknęły się wokół niej i odcięły wszystkie inne głosy.

Teraz była sama.

Ale nie była sama.

— Zgubiłaś się? — zapytała Sonata.

Meadow odwróciła się gwałtownie. Klaczka o błękitnej sierści i szerokich oczach płynęła obok niej, wirując jak dziecko w zabawie. Jej ruchy nie miały w sobie grozy — tylko beztroskę. Jakby nie była potworem.

— Nie jesteś... prawdziwa. — szepnęła Meadow.

Sonata uniosła brew.

— Nie? A jak mam ci to udowodnić? Mam cię uszczypnąć? — zachichotała. — A może... pokazać ci coś ładnego?

Meadow nie odpowiedziała. Ale woda zaczęła się zmieniać.

Kolory stały się cieplejsze. Miękkie złoto, rozlane różem. Wśród fal rozbłysły światła, jak lampki w dziecięcym pokoju. Gdzieś z tyłu — śmiech. Ktoś wołał ją po imieniu.

— To przecież twój świat, Meadow. — powiedziała Sonata, przepływając obok niej. — Widzisz? Bez ran. Bez bólu. Bez krzyku. Wszystkie twoje wspomnienia — mogę je przefarbować.

Ściana iluzji otworzyła się.

Meadow zobaczyła siebie. Małą. Niewinną. Z kopytkami czystymi. Bez winy. Bez szeptów. Nie trzymała nasionka chaosu. Nie pamiętała luster. Tylko biegła przez łąkę, a w tle ktoś śpiewał kołysankę, której nikt jej nigdy nie zaśpiewał.

— Czy nie tego chciałeś? — zapytała Sonata cicho, bliżej niż wcześniej. — Tylko jeden krok, i wszystko przestaje boleć. Wystarczy jedno słowo, a zamknę to w bańce. I będziesz mogła żyć w tym śnie.

Meadow poczuła, jak coś się w niej porusza. Nie nasionko. Coś głębiej. Pamięć dziecka, które naprawdę kiedyś marzyło, by wszystko przestało.

— Nie musisz walczyć. — szepnęła Sonata. — W walce się rani. A ty przecież... nie chcesz ranić. Prawda?

Meadow zamknęła oczy.

Było cicho. Tylko śpiew. I miękkość.

Ale w tej ciszy była też... pustka.

Zrozumiała to dopiero wtedy.

W tym świecie, który jej oferowano — nie było Camel. Nie było Iris. Nie było Rosalyn. Nie było nikogo, kto znałby jej prawdziwe imię. Tylko ona. Uśmiechnięta. Zamknięta. Zatrzymana w idealnym wspomnieniu.

— To nieprawda. — wyszeptała Meadow.

— Ale może być. — odpowiedziała Sonata słodko. — Tylko powiedz: tak.

I wtedy Meadow poczuła pod sobą ciężar. Nie ciała. Pamięci. Prawdziwej.

Usłyszała śmiech Camel. Krzyk Iris. Płacz dzieci z Galerii.

I przypomniała sobie: prawda nie zawsze jest ładna.

Ale jest prawdziwa.

— Nie. — powiedziała Meadow. — Nie chcę świata bez ran. Bo każda rana... to ktoś, kogo pamiętam.

Woda zadrżała. Światło zgasło.

Sonata spojrzała na nią z czymś, co nie było gniewem. Było rozczarowaniem. Ale też... ciekawością.

— Ty naprawdę w to wierzysz? — zapytała.

Meadow tylko spojrzała.

A wtedy iluzja zgasła. I już nie była sama.

Gdzieś blisko płynęły dwie inne klaczki. I chociaż ból wracał — wracały też imiona.

I to one miały znaczenie.

Rozdział 25 – Pieśń Adagio

Nie wiedziała, kiedy dotarła do tej komnaty.

Woda Aquatiki prowadziła ją sama — jakby rozpoznała jej imię, ale nie miała intencji ocalenia. Camel płynęła coraz głębiej, coraz ciszej. A kiedy wreszcie dno przyjęło ją pod kopyta, nie było już fal.

Była tylko kolistą salą, utkana z białego kamienia, w której światło nie dochodziło z żadnego kierunku. A jednak widziała wszystko.

W samym środku – Adagio Dazzle.

Siedziała wyprostowana, z ogonem ułożonym w idealny spiralny wzór. Jej grzywa falowała leniwie, a bursztynowe oczy nie błyszczały triumfem ani gniewem. Tylko... wiedzą.

— Camel. — powiedziała spokojnie. — Córką ognia. Dziedziczka bólu. Klaczka, która wciąż myśli, że walka to odpowiedź.

Camel nie odezwała się. Adagio się nie ruszyła. Ale fala... przyszła. Bez wody. Bez dźwięku. Tylko wspomnienie fali, która kiedyś ją zniszczyła.

Poczuła to w piersi. Jak echo.

— Myślisz, że walczysz dla siostrzyczek? — zapytała Adagio. — Dla Iris. Dla Meadow. Dla tamtej, która odeszła. Ale to nieprawda.

Jej głos był aksamitny. Niosła go nie przestrzeń, lecz coś głębszego — rezonans serca.

— Walczysz, bo boisz się przestać. — kontynuowała Adagio. — Bo jeśli przestaniesz... to wszystko, co ci zrobiono, wszystko co oddałaś, stanie się... niepotrzebne.

Ściany komnaty zaczęły drgać.

W tafli przed Camel pojawiły się obrazy.

Nie iluzje.

Prawdziwe wspomnienia.

Dziecko, które zniknęło w grze o dorosłość. Dziewczynka, którą porwano. Ogień w oczach, kiedy nie wiedziała, czy jej matka jeszcze pamięta, jak pachniała.

I ta inna dziewczynka. Ta, którą oddała Discordowi. Dla idei. Dla przetrwania.

— Zrobiłaś wszystko, by być silna. — szepnęła Adagio. — Ale czy choć raz byłaś bezpieczna?

Camel zadrżała.

Woda nie koła.

— Możesz przestać. — powiedziała Adagio łagodnie. — Wystarczy usiąść. Położyć płomień. Zostawić miecz. Tylko tyle.

Camel milczała.

W sercu — chaos.

W ustach — suchość.

W oczach — pytanie.

Adagio nie podeszła. Nie musiała.

To Camel podeszła do niej.

Krok.

I jeszcze jeden.

Aż stanęły naprzeciwko siebie.

— A jeśli nie przestanę? — zapytała klaczka.

Adagio nie odpowiedziała słowami.

Zamiast tego — pieśń.

Nie taką jak Sonaty. Nie fałszywą. Nie dziecięcą.

To była pieśń stworzona z milczenia.

Z oddechu między uderzeniami serca.

Z przerw między decyzjami.

Camel słyszała w niej swój głos. Kiedy płakała. Kiedy krzyczała. Kiedy nikt nie przyszedł. I kiedy mimo to wstała.

I wtedy zrozumiała.

Adagio nie proponowała pokoju.

Proponowała kapitulację.

Zmiękczenie ognia.

Stłumienie blasku.

Odejdzie od tego, co było zbyt bolesne, by je trzymać — i zbyt prawdziwe, by je porzucić.

Camel zamknęła oczy.

Zobaczyła Meadow.

Iris.

Rosalyn.

Screwball.

Wszystkie siostry — i te, które odeszły, i te, które wróciły.

— Nie jestem silna. — szepnęła. — Ale nie jestem sama.

I ogień nie zgaś.

Zadrżał.

A potem — rozświetlił całą komnatę.

Pieśń Adagio umilkła.

Ale w jej oczach błysnęło coś, co nie było nienawiścią.

Zrozumienie?

Podziw?

Może.

Camel się nie odwróciła.

Ale nie zrobiła też kroku w tył.

Bo wiedziała, że prawdziwa walka... dopiero się zaczyna.

Rozdział 26 – Przeszłość Screwball

Czasem nie wystarczy wybaczyć. Trzeba też spojrzeć — naprawdę spojrzeć — i nie odwrócić wzroku od własnego potwora.

Iris nie wiedziała, gdzie się kończy przestrzeń.

Aquatika była snem, a ona w śnie potrafiła chodzić. Ale tym razem nie było ścieżki. Tylko lustra. Setki. Tysiące. Nie odbijały światła. Ani jej twarzy. Stały zanurzone w wodzie jak zatopione drzewa, szklane pnie w rosnącej pustce. A jednak jedno z nich drżało.

Zbliżyła się. Nie po to, by zobaczyć. Ale po to, by... usłyszeć.

Z lustra dobiegł śmiech.

Jej śmiech.

Tamta ona — Screwball.

Nie śmiała się z radości. Ani ze smutku. Śmiała się, bo kogoś bolało. Bo ktoś zadrżał. Bo ktoś, kto prosił o czułość... dostał spiralę.

Iris cofnęła się — odruchowo. Ale nie uciekła.

Zobaczyła siebie w lustrze, jak kładzie kopyto na głowie dziecka. Jak śpiewa słodką piosenkę o tym, że nikt już nie skrzywdzi, jeśli nie będziesz sobą.

Jak rysuje kredą kontury nowego imienia.

Jak ściera stare.

Lustro pokazało inną scenę. Galeria Luster. Dziewczynka płacze. Iris — ta dawna — śmieje się głośniej. Wiruje. Ślizga się po taflach, zmieniając je w teatr. Dziewczynka już nie wie, która z nich to ona. Która krzyczy. Która prosi.

Iris podniosła kopyto. Chciała uderzyć. Rozbić. Zatrzymać to wszystko.

Ale nie zrobiła tego.

Bo w głębi siebie... zadrżała.

Czuła wtedy siłę.

Bezwzględna, bolesna siłę.

A w niej — ciepło.

Nie takie jak teraz, kiedy przytulała Meadow.

Nie jak wtedy, gdy płakała z Camel.

To było inne ciepło.

Ciepło kogoś, kto nie musi się bać, bo już nie ma sumienia.

I przez chwilę...

...naprawdę przez chwilę...

...poczuła, że to byłoby łatwiejsze.

Wrócić.

Nie przepraszać.

Nie czuć.

Znowu być potworem, który nie patrzy, tylko śmieje się i zabiera dzieciom strach, by zamienić go w śmiech.

To ja. — pomyślała. — To też ja.

I dopiero wtedy, kiedy to powiedziała — nie wymazując, nie cofając — coś pękło.

Lustro nie rozpadło się.

To Iris się zmieniła.

Obraz Screwball w środku nie zniknął, ale... drgnął. Jakby coś w nim zauważyło, że patrzy już nie przeciwnik, nie widz, lecz siostra.

Dawna Iris — Screwball — spojrzała w jej stronę. Bez kpiny. Bez błysku szaleństwa.

I po raz pierwszy... bez śmiechu.

— To nie ty mnie stworzyłaś. — szepnęła Iris. — Ale ja ciebie... zostawiłam.

Echo nie odpowiedziało.

Ale lustro po raz pierwszy odbiło światło.

Iris dotknęła go.

Nie żeby się pożegnać.

Ale żeby zapamiętać.

Bo była nią.

I nie musi się od tego odcinać.

Bo jeśli naprawdę chce wybaczyć innym — musi najpierw wybaczyć sobie.

Rozdział 27 – Nie odwracaj się

Nie wszystkie drzwi prowadzą na zewnątrz. Niektóre — do środka.

Meadow nie wiedziała, kiedy została sama.

Camel i Iris odeszły dalej, milcząc, prowadzone własnymi wspomnieniami. Pieśni syren ucichły, a lustra Aquatiki stały się ciche jak głębina bez oddechu. Tutaj nawet echo nie wracało.

Tylko jedno lustro migotało inaczej.

Nie wołało.

Nie śpiewało.

Nie pokazywało nic — dopóki Meadow nie podeszła.

Zawahała się.

Nie dlatego, że się bała. Ale dlatego, że wiedziała, co może zobaczyć.

To lustro nie miało ramy.

Było jak tafla wody — jakby wcale nie należało do Aquatiki. Jakby czekało na nią od dawna. I tylko na nią.

— To nie ma sensu... — szepnęła, ale dźwięk nie zniknął. Odbił się.

I wtedy — zobaczyła.

Nie klaczkę.

Nie nasionko.

Nie bohaterkę.

Zobaczyła **dziewczynkę**.

Maleńką, skuloną, z kolanami przyciągniętymi do piersi. W ciemnej piwnicy. W miejscu, gdzie nie było bajek. Gdzie nawet własne myśli były zbyt głośne. Dziewczynkę, która zasypiała z kocykiem w ustach, by nie krzyczeć. Która liczyła drewniankę w podłodze, bo każde mogło być jedno jeszcze chwilę.

Dziewczynkę, którą Meadow była. Kiedyś.

Nie pamiętała jej tak dokładnie.

Ale lustro pamiętało.

Ona drżała.

A Meadow... też drżała. Tylko teraz.

— To nie ja. — chciała powiedzieć. Ale nie umiała skłamać.

Bo była nią.

I wciąż nią była.

Nie odwróciła się.

Patrzyła, jak dziewczynka w piwnicy zakrywa uszy. Jak robi się maleńka. Jak czeka, aż hałas przeminie.

Nie czekała, by ją uratować.

Czekała, aż zapomni.

— To nieprawda. — Meadow szepnęła. — Nie jesteś sama.

Obraz zadrżał.

Dziewczynka uniosła głowę.

Spojrzała prosto na nią.

Oczy — takie same.

Ale nie zapłakała.

Uśmiechnęła się.

Nie dlatego, że coś się poprawiło. Ale dlatego, że ktoś ją zobaczył.

Meadow wyciągnęła kopyto. Dotknęła tafli. I w tej samej chwili...

...dziewczynka zniknęła.

Ale nie dlatego, że uciekała.

Dlatego, że już była w niej.

Nie musiała już odwracać wzroku.

Bo nikt więcej nie odwrócił się od niej.

Rozdział 28 – Tarcza Camel

Czasem trzeba osłonić kogoś przed czymś, co zna się zbyt dobrze.

Meadow nie zdążyła zawołać.

Woda wokół niej zawirowała, jakby samo lustro próbowało ją pochłonąć. Cień po dziewczynce nie zniknął — przeciwnie, stał się głębszy. Z każdą chwilą tafla stawiała się nie lustrem, a studnią.

I wtedy Camel wpadła między nią a odbicie.

Bez słowa. Bez zawahania.

Z jej kopyta wystrzelił impuls — jak iskra z serca, nie z magii. Woda rozdarła się pod jej ciosem, rozpryskując jak rozbita bańka, a ciemność cofnęła się... na moment.

Meadow upadła na bok, kaszląc.

Camel stanęła nad nią.

— Nie teraz. Nie jej. — warknęła do lustra.

Ale ono się nie zatrzymało.

Bo to nie był atak.

To był śpiew.

Zaczęło się od szeptu.

Nie z ust.

Nie z myśli.

Z wspomnień.

Camel знаła ten głos.

Nie był to głos Iris. Ani Discorda. Ani matki, której już nie pamiętała.

To był **jej własny** głos. Z przeszłości.

— Nie potrzebujesz nikogo.
— Jeśli zaufasz, skrzywdzą cię.
— Tylko siła przetrwa.

Jej ogon zadrżał.

Jej ramiona zesztyniały.

— Byłaś narzędziem. I byłaś dobra w tej roli.

Nie. To nieprawda.

Ale to *śpiewało* jak prawda. Z każdej kropli, z każdego pęknięcia, z każdego dnia, który minął między nią a siostrami.

Lustro zaczęło pokazywać obrazy.

Camel jako młoda dziewczynka. W sali chaosu. Przypadkowo przemieniająca rzeczy w broń. Wierząca, że ochrona to atak. Że ratunek to kontrola. Że siła to jedyna odpowiedź na krzyk.

Kolejna wizja: gdy po raz pierwszy uderzyła kogoś, kto był *słabszy*, dla dobra. Gdy zobaczyła strach — i poczuła **satysfakcję**.

Iris nie pokazała jej tego.

To pamiętała *sama*.

Jej własna historia śpiewała. Pieśń odbić, która nie potrzebowała Discorda.

Bo była częścią niej.

Camel zacisnęła zęby. Uniosła kopyto.

Ale nie uderzyła w lustro.

Odwróciła się.

Do Meadow.

— Nie pozwolę ci zatonąć. — powiedziała cicho.

To nie był rozkaz.

To była obietnica.

Za nią wciąż śpiewały wspomnienia. Ale ona już ich nie słuchała.

Nie dzisiaj.

Rozdział 29 – Nasionko i Spirala

Nie przejdziesz przez lustro, jeśli nie wiesz, kogo chcesz zabrać ze sobą.

Gdy Camel odeszła, zostawiając za sobą wygaszone fale wspomnień, przez chwilę zostało tylko milczenie.

Meadow siedziała na mokrej, połyskliwej tafli. Nie była wodą. Nie była też szkłem. Była czymś pomiędzy — jakby powstała z tych wspomnień, które nigdy nie zostały wypowiedziane.

Iris stanęła naprzeciw niej.

Żadna z nich nie powiedziała nic.

Bo wiedziały.

Ta część nie wymagała słów.

Nad nimi unosiło się coś. Nie kształt. Nie światło. Raczej *przestrzeń*, która nie chciała się otworzyć. Jakby sama droga, która miała prowadzić dalej, czekała. Ale nie na magię. Nie na moc chaosu. Nawet nie na odwagę.

Czekała na decyzję.

Na relację.

Na coś, co było kruche i trudne do wypowiedzenia, ale... prawdziwe.

Meadow drgnęła. Jakby coś w niej chciało wrócić do poprzedniego stanu — do dziewczynki, która ucieka. Która zmienia wspomnienia, by nie bolały. Która potrafi przetrwać, ale nie chce już *czuć*.

Iris przysiadła obok niej.

Nie za blisko.

Ale wystarczająco, by Meadow to poczuła.

— Zawsze jesteś silna? — zapytała Meadow.

— Nie. — odpowiedziała Iris. — Ale teraz jestem... prawdziwa.

To nie było wyznanie.

To był dotyk rzeczywistości.

Meadow spojrzała w dół.

Między jej kopytkami pojawiło się coś małego.

Nasionko.

Tego jeszcze nie było. Nie wcześniej. Nie na tej drodze. Ale było znajome. Jej własne. Drżało, jakby czekało, aż zostanie posadzone w miejscu, gdzie nikt nie będzie musiał udawać.

Spojrzała na Iris.

— Jeśli je posadzę... coś się zmieni.

Iris skinęła głową.

— Ale tylko jeśli chcesz. Tylko jeśli razem.

Wtedy Meadow uniosła się lekko. Nasionko powędrowało między nimi. Niewidzialny wiatr unióś je — i zaczęło wirować. Spiralnie.

Nie było to zakłęcie.

Nie było to złamanie świata.

To była zgoda.

Zgoda, by być razem.

Zgoda, by *przejsć dalej* — z tym, co boli.

Nie mimo bólu.

Lecz właśnie przez niego.

Tafla się rozstała.

Nie roztrzaskała.

Nie błysnęła.

Po prostu... otworzyła się, jakby wreszcie wiedziała, że niosą coś więcej niż moc.

Niosły opowieść.

Dwie klaczki weszły razem.

Jedna z nasionkiem.

Druga z lustrem.

Razem.

Rozdział 30 – Ostatni raz smoczek

Niektóre symbole trzeba zniszczyć, żeby wreszcie... przestały być potrzebne.

Było cicho.

Nie cicho jak po walce. Nie cicho jak w pustym pokoju. Cicho... jak w sercu, które jeszcze nie wie, czy przestało bić.

Iris stała samotnie.

Meadow gdzieś za nią — cicho, jakby nie chciała przeszkadzać. Camel z tyłu, gotowa w razie potrzeby. Ale żadna z nich nie podchodziła. Bo to nie był ich moment.

W taflę przed Iris coś się poruszyło.

Nie echo.

Nie wspomnienie.

Screwball.

Radosna. Dziecinna. Z tym samym krzywym uśmiechem i oczami, które kręciły się jak spirale, nawet kiedy nie wypowiadała słów.

Trzymała coś w pysku.

Smoczek.

Ten sam, którym kiedyś zahipnotyzowała dzieci.

Ten sam, który w jej świecie był symbolem bezkarności i kaprysu.

Ten, którym przywoływała chaos, śmiech, iluzję.

— Chcesz się pobawić? — zapytała Screwball.

Jej głos był ciepły. Zwodniczy. Jak miękka kołdra w koszmarze, którego nie da się obudzić.

Iris podeszła.

Nie odpowiedziała.

Nie od razu.

Smoczek leżał teraz na podłodze. Lśniący. Różowy. Tylko trochę zakurzony. Jakby czekał. Jakby znał każde imię, każde wspomnienie, każdy śmiech, który zakończył się płaczem.

Screwball patrzyła.

W oczach nie miała złości.

Miała coś gorszego.

Tę pustą czulość, którą można dać tylko wtedy, gdy nie ma się już sumienia.

— To nie ja cię stworzyłam — powiedziała Iris cicho. — Ale byłam tobą. I długo... pozwalałam ci wracać.

Screwball się zaśmiała.

— Bo mnie kochasz. Bo jestem tobą. Bo kiedy bolało, to ja mówiłam: 'Nie patrz'. Pamiętasz?

Iris kiwnęła głową.

— Pamiętam. I to dlatego...

Zatrzymała się.

Nie drżała.

Nie płakała.

Jej kopytko podniosło się — z ostrożnością, jakby smoczek mógł się roztopić od samego dotyku. A potem... z impetem.

Trzask.

Plastik pękł.

Nie z hukiem. Raczej jak łamane wspomnienie. Jak historia, która została przerwana — nie przez zapomnienie, ale przez decyzję.

Lustro, w którym Screwball się odbijała, zaczęło drżeć.

W oczach klaczki nie było już spirali.

Tylko zmęczenie.

— Już nie musisz... — wyszeptała. — ...pamiętać mnie.

Zniknęła.

Nie jak potwór. Nie jak bohater.

Jak coś, co było prawdziwe tylko wtedy, gdy nikt nie patrzył.

Za Iris pozostał kurz.

I jedna rzecz mniej, która trzymała ją w przeszłości.

Meadow podeszła.

Camel podeszła.

Żadna nie zapytała: Czy to koniec?

Bo wiedziały.

To był dopiero *ostatni początek*.

Rozdział 31 – Dzwon się zrywa

Nie każda pieśń trwa wiecznie. Niektóre trzeba złamać... zanim złamią ciebie.

Była cisza, która nie była milczeniem.

Był dźwięk, który jeszcze nie wybrzmiał, ale już ciążył w powietrzu.

Camel stała przed nim — przed *Dzwonem Pamięci*. Ulepionym z echa. Z opowieści. Z tego, czego nikt nie chciał pamiętać, ale co samo wracało, jak popiół unoszący się po pożarze.

Dzwon nie był z metalu. Nie miał powierzchni, tylko warstwy. Cienie wspomnień nakładające się na siebie: głosy, krzyki, szept, wołania o pomoc i słowa, których nie zdążyła wypowiedzieć.

Był w nim głos Meadow — *Nie odchodź*.

Głos Iris — *To nie twoja wina*.

I głos, którego Camel nienawidziła najbardziej.

Własny.

Zrobiłam to.

Syreny patrzyły z daleka. Nie śpiewały. Jeszcze nie. Czekają. Adagio już wiedziała, że ta pieśń nie przyniesie zwycięstwa. Sonata śmiała się z boku, jakby spodziewała się wybuchu. Aria... milczała.

Meadow uniosła głowę.

—Iris... ona nie może tego zrobić sama.

Ale Iris tylko skinęła głową.

—Musi.

Camel nie miała luster. Nie miała spirali. Miała tylko płomień.

I wspomnienie ognia.

Nie takiego, który pali wszystko.

Ale takiego, który ocala — przez ból.

Zamknęła oczy.

Wspomnienie przyszło natychmiast. Jej mama. Jej tata. Ich krzyk, gdy zabierał ją *on*. Gdy świat zaczął się trząść, a wszystko, co знаła, rozpadło się w ułamku sekundy. Nie dlatego, że była słaba.

Ale dlatego, że nie była wtedy niczym.

Dźwięk narastał.

Nie z zewnątrz.

Z niej.

Dzwon odpowiadał jej wspomnieniu.

Jego powierzchnia zaczęła pękać.

— To byłaś ty! — krzyczał głos wewnętrzny, głos dziewczynki. — Ty pozwoliłaś, żeby nas zabrano! Ty milczałaś!

Camel otworzyła oczy. Ogień tlił się w jej źrenicach.

— Nie pozwoliłam... Ale teraz nie milczę.

I wtedy uderzyła.

Nie w dzwon.

W siebie.

W samo centrum wspomnienia.

Jakby chciała, żeby wszystko się roztrzaskało.

I roztrzaskało się.

Dźwięk dzwonu urwał się nagle, jak zerwana struna.

W powietrzu zawisła fala energii — nie wybuch, nie światło. *Zrozumienie*.

Dzwon zaczął kruszeć.

Adagio syknęła.

— Idioci...

Sonata jęknęła, zawiedziona.

— Ale to było takie ładne...

Aria uśmiechnęła się bardzo, bardzo powoli.

— Wreszcie.

Meadow podbiegła do Camel, która upadła na kolana.

Iris chwyciła ją w ostatnim momencie.

Dźwięk zniknął.

Została pustka.

Ale nie była martwa.

Była czysta.

Camel oddychała ciężko.

— Już... nie będę zapalać się dla innych. Tylko z nimi.

I Meadow... się uśmiechnęła.

Po raz pierwszy od dawna.

Rozdział 32 – MY się rozdziela

Nie każda pamięć jest powrotem. Nie każde odbicie chce być sobą.

To nie była przestrzeń.

To nie był sen.

To było... MY.

Wnętrze tej istoty, która miała oczy wielu dziewczynek, śmiech jednej i ciszę setek.

W środku niej nie istniał czas.

Tylko wspomnienia — złamane, rozciągnięte, zbyt długo śnione.

Niektóre z nich próbowały krzyczeć.

Inne udawały, że śpią.

Ale coś się zmieniało.

Pierwsze pojawiło się pęknięcie.

Nie w ciele.

W głosie.

W tym wewnętrznym chórze, który zawsze brzmiał jak jedno: *Nie wracajmy.*

Ale teraz ktoś powiedział:

— Chcę wrócić.

Echo tego zdania wstrząsnęło całą strukturą MY.

Zadrżały kontury. Oczy się zatrzymały. Śmiech — zamarł.

I wtedy...

Z wnętrza MY wyłoniła się sylwetka.

Mała klaczka. Mniej więcej w wieku Meadow.

Jej grzywa była rozczochrana. Jej futerko — niekompletne, jakby zapomniano o niej w połowie rysunku. Ale jej oczy...

Oczy błyszczały.

Nie patrzyła na nikogo.

Patrzyła w *głąb* siebie.

Jakby coś przypomniła.

— Ja miałam na imię... Elsi. — wyszeptała. — I miałam brata. I śniłam o domu.

Wokół niej inne oczy MY zaczęły się zamykać.

Niektóre nie chciały tego słyszeć.

— Zamknij się.

— Nie boli, jeśli nie pamiętasz.

— Zostań.

Ale Elsi uniosła głowę. I zrobiła krok.

Z wnętrza MY zaczęły wyłaniać się inne sylwetki.

Niektóre wyraźne. Inne zamglone.

Były jak szkice dzieci, które kiedyś miały imiona.

Niektóre szeptały je teraz, jakby próbując sprawdzić, czy jeszcze brzmią prawdziwie.

— ...Lari...

— ...Mimi...

— ...Star...

— ...Ja byłam... może byłam...

Ale inne... cofnęły się.

Jedna z klaczek, starsza, z grubą, czarną grzywą, zaczęła krzyczeć:

— To wszystko KŁAMSTWO! Tu jest bezpiecznie! Nie ma bólu, nie ma matek, nie ma szkła! Tylko śmiech! Tylko one nas kochają!

Za nią pojawiła się twarz. Nieodróżnialna.

Twarz starej wersji Screwball.

Szepcząca.

— Chodź, usiądź. Nie musisz pamiętać. Mogę być wszystkim, co ci zabrano.

I tamta... klaczka zapomniła znowu.

Zniknęła.

Ale nie wszyscy.

Meadow, stojąc u granicy tej nierealnej przestrzeni — na progu wspomnienia — wyciągnęła kopyto.

— Nie każda z was musi wrócić. Ale jeśli chcecie... ja was widzę.

Camel dołączyła do niej.
Jej płomień był cichy, ale pewny.

Iris nie mówiła nic.
Tylko czekała.

Na pierwszą klaczkę, która zrobi krok.

I zrobiła.

Elsi.

Z kopytkiem drżącym, ale prawdziwym.
Z oczami, które niosły w sobie więcej niż lęk.

Niosły decyzję.

MY się rozdzielało.

Nie umierało.

Ale pękało.

By ci, którzy chcieli wrócić — mogli odnaleźć siebie.
A ci, którzy nie chcieli — mogli odejść w ciszy.

W tej scenie nie było walki.
Nie było potyczki.

Tylko prawda.
I echo słowa:

— Byłam.

Interludium XXVI – Spiralna cisza

Spirala była lekka.
Lżejsza niż pamięć.
Lżejsza niż kłamstwo.

Iris trzymała ją w kopytach, jakby pierwszy raz nie musiała się jej bać.

Nie wirowała.
Nie śmiała się.
Nie prosiła.

Po raz pierwszy od stworzenia — była cicha.

Nie było odbić.

Nie było cieni w lustrze.

Galeria, którą kiedyś zbudowała, nie szeptała już do niej przez szyby.
Nie rysowała nowych masek.
Nie łapała nowych dzieci.

Bo dzieci...
Odeszły.

Nie wszystkie wróciły.
Nie wszystkie chciały.
Ale wszystkie — wybrały.

Iris stała w centrum starego kręgu — tego, w którym niegdyś tańczyła, pokazując dzieciom, jak być kimś innym, by nie bolało.

Teraz krąg był pusty.
Ziemia pod nią... prawdziwa.
Nie lustrzana. Nie uśpiona. Nie wyśniona.

Tylko miękka.
Jak oddech.

Podniosła Spiralę bliżej twarzy.
Jej powierzchnia była przezroczysta — jakby to, co w niej mieszkało, wreszcie odpuściło.
Jakby chaos nie miał już formy.
Nie był potrzebny.

— To koniec? — spytała sama siebie. — Czy tak wygląda ostatni śmiech?

Nie było odpowiedzi.

Ale też...
Nie było ciszy, która boli.

Była *cisza, która odchodzi*.

Iris usiadła.
Nie z bólem. Nie ze zmęczeniem.
Po prostu... by pobyć.
Bez obowiązku bycia lustrem.

Bez maski bycia potworem.
Bez obowiązku bycia siostrą chaosu.

Tylko sobą.

W tej jednej chwili — nie musiała być dla nikogo niczym.

Po chwili dołączyła Camel.
Usiadła obok. Milcząc.

Potem Meadow.
Zamknęła oczy.

Nie potrzebowały słów.
Nie potrzebowały planu.

Nie potrzebowały Spiralnej Magii.

Bo coś się skończyło.
I nie było trzeba tego zatrzymywać.

Gdzieś daleko — w miejscu, które było kiedyś Galerią Luster — kropla wody spadła na taflę.

Ale nie odbiła niczego.

Rozdział 33 – Adagio bez głosu

(czyli początek końca syren w świecie, który odzyskał prawdę)

To nie był krzyk.
Nie była też cisza.
To było coś pomiędzy — zawieszone jak struna, której nikt nie śmiał dotknąć.

Adagio czuła to pierwsza.
Na czubku języka.
W drganiu serca.
W tej jednej nucie, której nie potrafiła już wydobyć.

Stała na środku zatopionej sceny, gdzie przed chwilą ich dzwon jeszcze śpiewał.
Ale teraz...

— Coś... zgasło.

Spojrzała na siostry.
Sonata kręciła się nerwowo, próbując zanucić melodię, która kiedyś zniewalała dzieci.
Nic.
Żadnego rezonansu.

A Aria?
Milczała.
Nie z powodu dumy.
Tym razem naprawdę — nie mogła.

Nie chodziło o zakłęcie.
Nie o walkę.
Nie o fizyczne rozbicie Dzwonu Pamięci.

Chodziło o coś bardziej pierwotnego.

Świat przestał ich słuchać.

Nie dlatego, że dzieci się odwróciły.
Nie dlatego, że bohaterki pokonały magię.
Tylko dlatego, że historia została opowiedziana do końca.

Opowieść pełna ran, pełna prawdy.
I prawda — jak lustro — nie odbija już kłamstwa.

Adagio próbowała zaśpiewać jeszcze raz.

W jej oczach błysnęły łzy.
Nie ze smutku.
Ze wściekłości.
Z bezsilności.

— To niemożliwe... — szeptała. — To przecież... była nasza pieśń.

Ale echo nie odpowiedziało.

Nie było już echa.

Na dnie Aquatiki, gdzie kiedyś zbierały sny, pojawiły się pęknięcia.

Pęknięcia we wspomnieniach, z których budowały swoją władzę.

Każda pieśń, której używały — była teraz opowieścią, która została przeżyta.
Nie można jej było już ukraść.
Nie można jej było zaśpiewać bez zgody.

A żadne z dzieci już nie chciało im dawać głosu.

W tej jednej chwili, Adagio przestała być królową głosu.

Była tylko istotą.
Bez imienia.
Bez mocy.
Bez słuchaczy.

I wtedy — po raz pierwszy — spuściła głowę.

Została jeszcze jedna nuta.
Ale nie należała do niej.

Interludium XXVII – Bez pieśni, bez luster
(czyli rozmowa, która nie jest konfrontacją – tylko końcem śpiewu)

Stały naprzeciwko siebie.
Nie jako wojowniczeki.
Nie jako potwory.
Nie jako te, które mają jeszcze coś do udowodnienia.

Po jednej stronie — trzy syreny.
Adagio, Aria, Sonata.
Cienie wód, echo przeszłości, które jeszcze przed chwilą próbowało zaśpiewać świat na nowo.

Po drugiej — Iris, Camel i Meadow.
Trzy klaczki.
Bez korony. Bez broni. Bez zaklęć.
Ale z czymś, czego syreny już nie miały.

Z decyzją.

— Pamiętacie, jak mówiłam... — zaczęła Iris. Jej głos nie był wyniosły. Był spokojny.
Cichy jak tafla lustra.
— My przestałyśmy być odbiciami.

Sonata przechyliła głowę. Jakby nie rozumiała.
Jakby chciała zaśmiać się z tego zdania.
Ale nie potrafiła.
Bo to zdanie... brzmiało zbyt prawdziwie.

— A ty nadal jesteś echem. — Iris spojrzała jej prosto w oczy. — Słodką nutą, która nie potrafi przestać brzmieć. Nawet kiedy już nikt cię nie słucha.

Adagio milczała.
W jej oczach był gniew — ale nie ten płonący, tylko żarzący się wstyd.
Aria nawet nie drgnęła.
Sonata otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

— Pamiętasz to, Sonata? — spytała cicho Iris. — Jak mówiłam, że nasze pieśni to nie magia. To nie zaklęcia. To historie. I tylko te prawdziwe mają znaczenie.

Sonata cofnęła się o krok.

— Teraz... jesteście tylko odbiciami. Bez głosu. Bez własnej pieśni. Bo cały czas śpiewałyście pieśni innych.

Camel uniosła głowę.
W jej oczach błyszczał płomień, ale nie był to gniew.
Był to żal.

— Nawet wasza magiczna pieśń na festiwalu... — dodała — ...była cudza.
Ukradziona.

Meadow zbliżyła się do naszyjnika Sonaty.
Cicho.
Bez strachu.
Spojrzała, jak krwawy rubin traci kolor.

— Ostatecznie... — wyszeptała Iris — ...wszystkie straciłyśmy moc.

Naszyjniki pękały.
Po kolei.
Jakby każda nuta, którą wypowiedziały, okazała się niewarta dalszego trwania.

— Czy naprawdę tego chcieliście? — zapytała Meadow.

Nie było odpowiedzi.

Bo echo już nie miało głosu.
A lustra nie miały czego odbijać.
Nie tu.
Nie w świecie, który wybrał prawdę.

Adagio długo milczała. W jej oczach coś drżało — nie łzy, nie strach, ale resztką dumy.
W końcu... wydusiła cicho:

— Jesteśmy królowymi oceanów.

Słowa wypłynęły jak bąbel powietrza z rozdartego serca.
— Może nikt nas już nie słucha... — dodała, zbliżając się powoli do Meadow.
W jej głosie była złość, zawód, może ostatni cień nadziei.

— ...ale nie odejdziemy same.

Syknęła.
Meadow cofnęła się o krok, ale nie odwróciła wzroku.

— Niech będzie... — prychnęła Adagio. — Wykończyliśmy się nawzajem. Ale i tak zwyciężyliśmy.

Zakręciła się w miejscu, jakby tańczyła w pianie własnej klęski.
Zaśmiała się — pusto, ostro.

— NIEMA JUŻ SIÓSTR CHAOSU!

Krzyk ten odbił się od mokrych ścian i wrócił... jako cisza.

— NIEMA! — powtórzyła. — Tak czy inaczej, wygrałyśmy!

Camel milczała. Tylko płomień w jej oczach zapłonął głębiej.

Adagio podeszła jeszcze bliżej.

— NIEMA WAS! — wrzasnęła. — Niema waszego ojca! I nawet nie my zniszczyłyśmy chaos! SAME TO UCZYNIŁYŚCIE!!

Jej głos łamał się, ale nie przestawał.

— Chciałyśmy uciszyć pieśni o was... — szepnęła. — I sama zobacz...

Rozłożyła płetwy.

Jakby prezentowała pustkę.

— Co mi teraz powiecie?

Przez chwilę nikt się nie odezwał.

Tylko słona woda przesuwiała się cicho między łuskami.

Iris zrobiła krok naprzód.

Bez złości.

Bez triumfu.

— Powiem ci prawdę.

Adagio nie zareagowała.

— Chaos nie był naszą bronią. Był naszym bólem. A my... nie próbowałyśmy go zniszczyć.

Spojrzała na siostry. Na Camel. Na Meadow.

— My go przetrwałyśmy.

Camel uniosła głowę.

— I właśnie dlatego nadal tu jesteśmy.

Meadow szepnęła:

— Nie żeby wygrać. Żeby móc śpiewać dalej — nie cudzym głosem. Naszym.

Wtedy...

Rubiny na szyjach syren pękły ostatecznie.

Nie rozległ się huk.

Tylko cichy dźwięk łamanego wspomnienia.

Jakby echo samo postanowiło zamilknąć.

Rozdział 34 – Powrót luster

Nie było fanfar.
Nie było krzyku.
Tylko cisza, która przyszła za późno, żeby cokolwiek jeszcze uratować.

W sercu Aquatiki – miasta bez map, pieśni bez autora, tronu bez przyszłości – woda przestała śpiewać.

Zamiast melodii pojawił się zgrzyt — jakby koralowe wieże pękały od wewnątrz, znużone ciężarem kłamstw, które nosiły przez wieki.

Kiedy Adagio wykrzyczała swoją ostatnią prawdę — Nie ma was! — jej głos nie odbił się nigdzie.

Wody nie odpowiadały.

Nie przyszła fala.

Nie odpowiedział śpiew.

Bo pieśń, która powinna unieść zwycięstwo, nie istniała.

Syreny przestały być władczyniami.

Nie dlatego, że zostały pokonane.

Ale dlatego, że **nie miały już czego bronić**.

Ich rubiny – pamiątki po tysiącach głosów, które zrabowały, zdominowały, upokorzyły – pękały jeden po drugim.

Z najpierw cichego syku zrobił się zgrzyt.

Z zgrzytu – pęknięcie.

A z pęknięcia... milczenie.

Sonata spojrzała na swoje odbicie w pękającej wodzie.

Na moment wydawało się, że chce zapytać *dlaczego*. Ale pytanie już nie miało do kogo przynależeć.

Wtedy z głębin Galerii, spoza bram roztraskanego chaosu, popłynął głos.

Nie był to krzyk.

Nie był to rozkaz.

Była to **pieśń, która niczego nie żądała**.

Brzmiała jak rosa na rozbitej tafli.

Jak szept w szkolnym korytarzu dawno po lekcjach.

Jak głos, który trwa, choć już nie ma ust.

To Rosalyn.

Nie jako ciało.

Nie jako cień.

Ale jako *echo tych, które słuchały do końca*.

Śpiewała o tym, że chaos to nie przemoc, lecz pamięć.
Że moc, której tak bały się syreny, nie była spiralą, lecz światłem pod taflą — takim, które budzi tylko wtedy, gdy nie próbuje się go schwycić.

Śpiewała o tym, że siostry nie chciały już walczyć, ale też nie mogły zapomnieć.
I że **syreny przegrały nie dlatego, że zostały pokonane,**
ale dlatego, że **nie potrafiły usiąść i posłuchać.**

Woda wokół Aquatiki zaczęła się cofać.
Jakby sama kraina zrozumiała, że nie ma już głosu, który mógłby ją podtrzymać.
Jakby Atlantyda postanowiła zatonać nie z powodu zemsty... ale wstydu.

Na tronie Adagio nie było już królowej.
Tylko łuska.
Tylko kropla.
Tylko echo.

Na powierzchni — wśród fal — rozbrzmiała ostatnia nuta.
Nie miała melodii.
Nie miała celu.

Ale została zapamiętana.

AKT IV – Bezpieczne Echo

Rozdział 35 – Powrót z głębin

Nie było powrotu.
Nie po takim śpiewie.
Nie po takim końcu.

Aquatika nie eksplodowała.
Nie wybuchła, jak kraina skazana na klątwę.
Po prostu... zaczęła się rozpadać.

Najpierw zamilkły muszlowe wieże.
Potem runęły kolumny, które znały tylko jeden rodzaj głosu — ten, który wymuszał posłuszeństwo.
Na końcu pękły serca.
Nie magiczne klejnoty, ale prawdziwe — zakopane głęboko, dawno temu, pod płetwami i koronami.

Siostry chaosu — Iris, Meadow i Camel — uciekały przez ostatnią szczelinę w portalu, który otworzyła pieśń Rosalyn.
Za nimi — wir, wciągający to, co zostało z tysiącletniego królestwa syren.

Nie był to sztorm. To było... **odwrócenie**.
Jakby samo morze zrozumiało, że **nie ma już kogo nosić**.

I wtedy — nim szczelina się zamknęła — coś przebiło się przez nią jak cień.

Trzy postacie.
Trzy klaczki.
Rzucone z siłą ostatniej woli.
Bez koron. Bez łusek. Bez magii.

Syreny.

Adagio padła na ziemię z roztrzęsionymi nogami.
Jej grzywa, dawniej lśniąca jak bursztyn, była mokra, zmierzwiona, pozbawiona blasku.
Na szyi — tylko pusty sznurek, gdzie kiedyś lśniły rubiny.

To... to niemożliwe!
Jej głos załamał się, gdy spojrzała za siebie.

Za portalem — który już nikogo nie wpuści — widoczny był kawałek Aquatiki.
Złoty tron. Rozpadnięty most. Woda, która podchodziła coraz wyżej, zalewając dachy.
Potem — jeszcze jedna fala.
I nic.

Świat, który znały, zniknął.

Coście zrobiły!! wrzasnęła.
Ale nie było w niej już siły.
Tylko łzy. Bezsilna furia. Drżące nozdrza.
Zło, które miało przetrwać wieki, rozpływało się jak sól.

Obok niej jęknęła Sonata.
Jeszcze wilgotna od oceanu, jeszcze nie rozumiejąca.
Zamrugła, podnosząc głowę, ale nie znalazła żadnej melodii.
Nie słyhać mnie, powiedziała prawie szeptem. Nie jestem słyszalna...

A potem odezwała się Aria.
Sucho.
Zawsze najzimniej.

Jakoś to będzie, siostrzyczko.
Spojrzała na Adagio.
Przyzwyczajasz się do brudu na łądzie.

Nie było w tym czułości.
Ale było życie.
Prawdziwe, bez śpiewu.

Na ziemi — w cieniu zamkniętego portalu — trzy klaczki leżały obok trzech innych.
Siostr, które nie były już siostrami.

Władczyń, które nie miały już królestwa.
Istot, które nie miały już pieśni.

Ale wszystkie oddychały.

I wszystkie pamiętały.

Interludium XXVIII – Dzień po opowieści

Akademik znowu miał okna.
Nowe.
Zwykłe.
Bez zaklęć i bez wzorów.

Szklane tafle nie śpiewały.
I nikt nie płakał, że ich już nie ma.

Trzy syreny – trzy byłe królowe – stały na drabinach z narzędziami.
W kombinezonach ochronnych. Z rękawicami.
Ktoś im powiedział, że tak trzeba.
Że jak się rozwała szyby krzykiem, to trzeba je potem **poskładać kopytami**.

Sonata zsunęła się z parapetu.
Z cichym brzękiem potłuczonej śrubki.
I wtedy, jakby od niechcenia, obok stanęła uczennica. Ta, która kiedyś trzymała ją za kopytko.

Pamiętasz, jak mówiłaś, że jesteś kimś więcej?
Jej głos był spokojny. Nie złośliwy. Ale... ostry.

Sonata nie odpowiedziała.
Nie miała co odpowiedzieć.
Nawet język wydawał się teraz mniej melodyjny.

To jak się teraz czujesz? – dodała klaczka, przechylając głowę.
Kiedy jesteś taka jak my. Taka sama.
Kiedy z istoty boskiej... zostałam zwykłym kucykiem?

Sonata spojrzała na nią. Nie kłamała.
Wiedziała, że dziewczynka już jej nie słucha.
Już nie podziwia. Już nie tęskni.
Odeszła, zostawiając tylko **ciszę**.
I tę cholerną śrubkę pod kopytkiem.

Aria nie odwróciła wzroku, kiedy inni przechodzili obok.
Ale nie próbowała już nikogo zatrzymać.

Nie było żadnego spójrz na mnie.
Bo nic nie zostało, co warto byłoby pokazać.

Adagio...

Adagio stała przy kontenerze.

Sama.

Wyjęła z niego pęknięte fragmenty dawnego witrażu — tego, który przedstawiał ją z koroną z piany morskiej.

Chciała go zachować.

Ale szkło łamało się w jej kopytkach jak wspomnienia.

I wtedy — z głębi holu — pojawiło się echo.

Nie głos. **ECHO.**

Śmiech. Z początku słaby, potem znajomy.

Z lustra, które nikt nie ruszył od czasów wybuchu, wychyliła się jego twarz.

Nie miał ciała. Nie miał władzy. Ale miał... **komentarz.**

Patrzcie państwo... Naprawdę im się udało.

Zaśmiał się, jakby słyszał najlepszy żart.

Załatwiłyście sam chaos! — zawołał.

Nie z zewnątrz. Nie z buntu. Nie z magii.

Zrobiłyście to, **bo byliście jego częścią.**

Oczy błyszczały mu tak samo jak kiedyś.

Ale głos był już tylko resztką.

Rozumiecie, córeczki? — zadrwił słodko.

To ironia. Ostateczna. Długo czekałem, aż moje rybie rówieśniczki, tak stare jak ja, upadną.

A one nie tylko to zrobiły.

One naprawdę... **zabiły sam chaos.**

Uklonił się teatralnie.

Nisko.

Z przesadą.

Jakby grał ostatnią scenę w sztuce, której już nikt nie chciał oglądać.

I wtedy zamilkł.

Ale w lustrze został uśmiech.

Tylko uśmiech.

I to było najgorsze.

Interludium XXIX – Światło po wszystkim

Meadow siedziała na dachu.
Nie z powodu dramatyzmu. Nie z powodu ucieczki.
Po prostu — tam było cicho.
I tylko z góry widać było cały hol akademika... oraz trzy postacie, które nie śpiewały.

Syreny.
Adagio. Aria. Sonata.
Nie w pelerynach. Nie z ogonami.
Tylko... w kombinezonach, z narzędziami, z pękniętą ceramiką w kopytkach.

Jak naprawiać miejsce, które samemu się złamało?

Meadow obserwowała, jak Adagio zbiera z trawy resztki szkła.
Jak Aria prostuje skrzywione zawiasy w drzwiach wejściowych.
Jak Sonata, z językiem na wargach, próbuje ustawić wiadro tak, by nie przewrócił go wiatr.

I czuła...

Nie, **nie triumf**.
Nie ulgę.
Nie satysfakcję.

Czuła...
Bezradność.
Taką samą jak wtedy, gdy była mała i patrzyła na zamarzające okno w piwnicy.
Tylko że teraz okno było wielkie jak świat.
I już wiedziała, że nic go nie ogrzeje — żadna opowieść, żadna piosenka.

Wiedziała, że to nie one zniszczyły syreny.
One same to zrobiły.
A siostry chaosu... tylko **przestały grać w ich pieśń**.

Cisza nie była karą.
Była prawdą.

Na chwilę zaszumiały jej w uszach ostatnie słowa Adagio.
Jesteśmy królowymi oceanów... może nikt nas już nie słucha, ale nie odejdziemy same...

A jednak stały same.
Bez głosu.
Bez spojrzeń, które kiedyś czyniły je większymi od życia.

Meadow przyłożyła nos do blachy dachu.
Była zimna.
Ale prawdziwa.

I wtedy poczuła, że coś się kończy.
Nie w świecie.

W niej.

Jakaś złość, której nawet nie nazwała.
Jakiś cień, który żył pod jej łopatkami.
Jakaś potrzeba, by udowodniać, że zasługuje.

Odeszło.
Z dmuchnięciem wiatru.
Z oddechem, który nie musiał już nic wytrzymać.

Meadow zeskoczyła z dachu.
Bez słowa.
Nie po to, by coś powiedzieć.
Po to, by być — kiedy inni nie potrafili.

Interludium XXX – Woda, która nie śpiewa

Drzwi do łazienki dziewcząt były zamknięte.
Od środka leciała woda. Od dawna.
Zbyt długo, by to był tylko prysznic.

Iris westchnęła. Nie z niecierpliwości.
Z... troski?
Z tego miejsca, gdzie sumienie nie chce jeszcze mówić, ale czuje.

Wsunęła kopytko przez uchylone drzwi.

Pachniało parą. Mydłem. Czymś starożytnym — co nie pasowało do uczniowskiej łazienki.

A potem zobaczyła je.

Trzy postacie stłoczone w jednej kabinie.
Nie mówiły. Nie śmiały się.
Woda lała się z góry prosto na ich grzywy, spływała po grzbietach, po szyjach, po łuskach, które już ledwie błyszczały.

Adagio miała zamknięte oczy.
Aria opierała głowę o ścianę, odliczając krople.
Sonata trzymała w kopytkach gąbkę — ale nie po to, by się myć. Po prostu... bo coś trzeba było trzymać.

Kiedy Iris się zbliżyła, Adagio otworzyła oczy.

— A ty tu czego? — syknęła. — Przyszłaś popatrzeć na przeterminowane ryby?

Głos był chłodny. Ale nie miał już tej ostrości, co kiedyś.
Brzmiał jak szkło — nie jak dzwon.

— Też chcesz pożartować? — ciągnęła. — Bo nie mamy mocy? Bo już nie śpiewamy?

Iris nie odpowiedziała od razu.
Zbliżyła się.
Woda spływała też po niej.

— Nie — powiedziała cicho. — Przyszłam zapytać, czy macie ręcznik.

Sonata parsknęła.
Adagio nie zareagowała.
Tylko Aria, z zamkniętymi oczami, powiedziała sucho:

— Żartujesz.
— Nie. — Iris usiadła na zimnych płytkach. — Też jestem zmoknięta. I też nie wiem, jak się żyje bez pieśni.

Cisza.

Woda lała się dalej.

I w tej ciszy coś pękło.
Nie w syrenach.
Nie w Iris.

W tym miejscu, które do tej pory było lustrem.
Łazienka. Kabina. Prysznic.
To wszystko, co zostało z ich królestwa.

Sonata położyła się na brzuchu, pozwalając wodzie płynąć po szyi.
Aria nie drgnęła.
Adagio w końcu szepnęła:

— Może... nie umrzemy. Ale to gorzej, prawda?

Iris nie odpowiedziała.

Tylko sięgnęła po ręcznik.

Interludium XXXI – Śmiech bez echa

Korytarz był ciemny.
Noc kładła się na podłodze jak kurz, którego nikt nie chciał sprzątnąć.

Meadow i Camel szły powoli.
Nie dlatego, że się bały.
Po prostu... nie chciały jeszcze wracać do pokoju. Do łóżek. Do ciszy.

Szły wzdłuż ścian akademika, szeptem wspominając moment, gdy świat się zgiął, a Aquatika zniknęła w wodzie bez pieśni.

Minęły salę komputerową.
Minęły pokój nauczycielski.
A potem — łazienkę.

Zatrzymały się.

Bo z wnętrza dobiegł ich dźwięk.
Nie pieśń.
Nie płacz.

Śmiech.

Cichy.
Zachrypnięty.
Trochę zduszony, jakby wyparty przez tysiąclecia milczenia... ale prawdziwy.

Camel spojrzała na Meadow.
Meadow nie zapytała, kto to był.
Nie musiała.

Znała ten śmiech.
Słyszała go kiedyś — nie na festiwalu, nie w walce, nie w rozpacz.

W opowieści.
W tej, którą kiedyś powiedziała Iris: o syrenie, która zapomniała, kim jest, i zbudowała dom z pustych dźwięków.

Ale dziś — coś się zmieniło.
Ten śmiech nie miał w sobie magii.

Miał w sobie coś trudniejszego.

Życie.

Meadow oparła głowę o ścianę, tuż obok drzwi.

— Myślisz, że przetrwają? — zapytała cicho.

Camel uniosła wzrok.

— Nie wiem. Ale chyba... chcą spróbować.

A za drzwiami, gdzieś między zimnymi płytkami i kapiącą wodą, Sonata Dusk znów zaśmiała się.

Bez śpiewu. Bez blasku.
Z otwartym pyskiem i szeroko otwartymi oczami.

I może pierwszy raz — śmiała się **z siebie**.

Rozdział 36 – Camel bez ognia

Ogień Camel zgasł w Aquatice.

Nie wybuchł. Nie spłonął.

Po prostu... przestał płonąć.

Gdy wróciły na powierzchnię, Camel poczuła, że coś w niej się zatrzymało.

Nie ból. Nie rozpacz.

Ale pusta przestrzeń, jakby nosiła w sobie pożar, który właśnie zgasł — zostawiając tylko popiół i ciszę.

Próbowała krzyczeć.

Próbowała rzucić się na Adagio, gdy ta znów próbowała je poniżyć.

Ale jej kopyta były... miękkie.

Jej głos — cichy.

Jej ogień — milczący.

— Co się ze mną stało? — zapytała w lustrze, ale tafla nie odpowiedziała.

W szkole mówili, że to koniec jednej epoki.

Że syreny zostały zdegradowane do uczennic.

Że chaos umilkł.

Że Iris... się uśmiecha.

Ale Camel nie czuła zwycięstwa.

Czuła... potrzebę.

Tęsknotę.

Pewnego dnia usłyszała głos za sobą.

— Hej... ty jesteś tą od ognia, prawda?

Odwróciła się.

Pegazik z dolnych klas. Niewielki. Przestraszony.

— Możesz mi pokazać... jak się nie bać?

Camel nie odpowiedziała od razu.

Z początku chciała powiedzieć Nie mogę. Nie mam już siły. Nie jestem ognistą klaczką.

Ale potem spojrzała na jego oczy.

Były jak jej — kiedyś.

— Nie pokażę ci, jak się nie bać — powiedziała. — Ale mogę ci pokazać, jak się nie cofać.

Dzieci zaczęły przychodzić.
Nie do wojowniczeki. Nie do strażniczki.
Do Camel.

Siadały przy niej po szkole, na podłodze w sali ćwiczeń.
Słuchały jej opowieści.
O Aquatice. O ogniu. O decyzjach, które czasem bolą bardziej niż rany.

Nie potrzebowała już ognia, by być iskierką.
Nie musiała się palić.

Była ciepłem.

Mała klaczka kiedyś nazwała ją Panią Camel od Płomyka — i to imię jakoś zostało.
Nie jako tytuł.
Jako pamięć.

Bo Camel zrozumiała, że jej ogień wcale nie zgaś.

Po prostu...
przeszedł dalej.

Rozdział 37 – Meadow bez nasionka

Blizna zniknęła.

Nie bolało.
Nie zostawiła śladu.
Po prostu... przestała być potrzebna.

Meadow spojrzała na swoje odbicie w oknie szkolnego korytarza.
Była cała.
Nie idealna. Nie magiczna. Nie dziedziczka czegokolwiek.

Po prostu Meadow.

Dotknęła miejsca, gdzie kiedyś pulsowało nasionko chaosu.
Gdzie tlił się strach, który zamieniała w opowieści.
Gdzie uczyła się mówić, zanim jeszcze uwierzyła, że ktoś jej słucha.

Już nie musiała go chronić.

Nie było w niej płomienia.
Nie było spirali.
Była pamięć.

I coś jeszcze.

Usiadła przy starym stole w bibliotece.
Tam, gdzie dawniej pisała swoje legendy.
Tam, gdzie stworzyła Iris z opowieści, by ją odnaleźć.

Nie musiała już pisać o chaosie.

Ale dzieci wciąż przychodzili.

— Ty jesteś Meadow, prawda? Ta od historii? — zapytała mała jednorożka z cienkimi okularami.

— Byłam — uśmiechnęła się Meadow. — A ty?

— Ja pamiętam. O tym, co się działo. W snach. W lustrach.

Dziewczynka mówiła cicho, ale z pasją.
Z oddechem, który drżał, jakby wypowiadał coś zakazanego.

— Nauczycielka mówi, że to tylko bajki... Ale ja wiem, że nie. Bo jak patrzę w lustro, to ono czasem patrzy we mnie.

Meadow przytaknęła.
Nie zaprzeczyła. Nie potwierdziła.
Po prostu — była.

A potem przyszło więcej dzieci.

Niektóre chciały słuchać.
Inne — opowiadać.
Jeszcze inne — tylko być obok, milcząco, jakby bały się, że ich wspomnienia znikną, jeśli wypowiedzą je na głos.

Meadow stworzyła dla nich kółko.
Nie kółko opowieści.
Nie klub magii.

Kółko Pamięci.

Zasada była jedna:
Nie musisz mówić wszystkiego. Ale jeśli chcesz — możesz.

Wieczorem, kiedy wszyscy już poszli, usiadła znów przy oknie.
Spojrzała na niebo.
I zrozumiała.

Nasionko zniknęło.
Ale to, co z niego wyrosło, nie.

Była dziedziczką pamięci.
Tą, która słucha.
Tą, która przypomina.

Nie potrzebowała blizny, by pamiętać.

I nie potrzebowała magii, by być ważną.

Interludium XXXII - Czy powiesz nam prawdę?

Następnego dnia przyszły wcześniej.

Jeszcze zanim dzwonek zdążył wybrzmieć, a promienie poranka przetarły kurz bibliotecznych szyb.

Dziewczynka z okularami — ta, która wczoraj jako pierwsza odważyła się zapytać — trzymała zeszyt i kredki.

— Meadow... — zaczęła nieśmiało. — Czy dziś... mogłabyś opowiedzieć nam o syrenach?

Meadow uniosła lekko brew.

— Każdy słyszał o Aquatice. O królowych mórz. — Dziewczynka przełknęła ślinę. — W jednej bajce mówi się, że chroniły statki podczas sztormu. W drugiej, że wciągały kucyki pod wodę, śpiewając aż zapomnieli, kim są.

— A my... — odezwał się inny ogierek, z rudej klasy — widzieliśmy je. W szkole. W sali koncertowej. Były... duże. I groźne. I śpiewały jak tytani.

Meadow milczała.

Nie dlatego, że nie chciała odpowiedzieć.

Ale dlatego, że знаła tę pieśń aż za dobrze.

— Proszę, powiedz. Jaka naprawdę była Aquatika? — nalegała dziewczynka. — I one... te syreny... Czy to prawda, że nie różniły się od tej klaczki chaosu z opowieści? Od tej, co łamała dzieci w Galerii?

— Czy to prawda, że... ona zginęła tam? — dodało któreś z tyłu. — Iris. Legendarna.

Zapadła cisza.

Meadow wzięła głęboki oddech.

Patrzyła na dzieci.

Na pytania w ich oczach.

Na cienie lęków, które jeszcze nie odeszły.

I wtedy otworzyła zeszyt.
Pustą stronę.
Wzięła kredkę — nie magiczną, zwykłą, miękką i łamliwą.

— To była kraina bez granic. Bez lądu. Bez światła.

— Aquatika.

Miała tylko jedno: **głos**.

Dzieci przysiadły bliżej.
Cicho.
Jakby bały się zbudzić echo.

Meadow położyła kopytko na okładce zeszytu.

— Opowiem wam, co naprawdę się stało. Ale nie zaczniemy od potworów. Ani od królowych. Ani od chaosu.

Zaczniemy... od pieśni, która była pusta.

Rozdział 38 – Pieśń bez melodii: Królestwo, które śniło o wieczności

Dzieci siedziały w kręgu.

Niektórzy szeptali, inni rysowali cicho, nie spuszczać wzroku z Meadow. Ona sama przez chwilę tylko patrzyła na swój zeszyt — jakby na dno oceanu, którego już nie ma.

— Aquatika... — zaczęła w końcu. — To była kraina bez granic. Bez map. Bez początku i końca.
Nie miała pałaców z marmuru ani tronów ze złota. Miała fale. I miała głosy.

Zaczęła rysować prostą linię, jak falę. Dzieci śledziły ją oczami.

— Królowe mórz miały trzy imiona: Adagio, Aria i Sonata.
Każda z nich była inna, ale razem tworzyły harmonię, która trzymała w ryzach krainę snu.

Meadow spojrzała na kredkę. Była fioletowa.

— Adagio — mówiła — to była głowa. Ta, która nigdy nie pozwalała zbliżyć się do brzegu. Wierzyła, że jedynym sposobem na przetrwanie jest dominacja.

— Aria była sercem. Zranionym. Pełnym dumy, ale też bólu, którego nikt nie zrozumiał.
Szeptala do najgłębszych wspomnień.

— A Sonata... — zawahała się. — To była gra. Uśmiech. Łuski błyszczące jak zabawki. Ale czasem najbardziej niebezpieczne są te, które nie wiedzą, że krzywdzą.

Dzieci słuchały w milczeniu. A Meadow dalej rysowała. Teraz — małe fale wokół większej. Spiralnie.

— Ich pieśń była potężna. Potrafiła uspokoić sztorm... albo wywołać go. Nie śpiewały, by opowiadać historie. Śpiewały, by mieć władzę.

— Ale każda pieśń, której celem jest władza...
...prędzej czy później zaczyna brzmieć fałszywie.

Dziewczynka z okularami uniosła łapkę.

— A one były... dobre czy złe?

Meadow pokręciła głową.

— Były wysokie. Dumne. I nigdy nie nauczyły się zniżać wzroku do tych, których pieśń raniła.

I wtedy — przyszła prawda.

— Kiedy stanęły twarzą w twarz z siostrami chaosu... nie potrafiły śpiewać same. Ich głos był echem.

Echem Discorda. Echem dawnych mitów. Echem rozkazu, nie opowieści.

— I wtedy Aquatika... zaczęła się rozpadać.

Przez chwilę w klasie było cicho.

— Ale jak? — spytał ktoś z tyłu. — Przecież to było tysiącletnie królestwo!

Meadow spojrzała w okno.

— Bo nie przetrwała... żadna pieśń, która nie zna milczenia.

— Mówią, że podczas końca Aquatiki morze uniosło się samo — jakby chciało pochłonąć swoją własną królową.

Meadow narysowała falę, pękniętą jak szkło.

— Gdy pieśń została złamana... wszystko, co było oparte na niej, zaczęło pękać. Dzwon, który brzmiał wspomnieniami, pękł w półnutce.

Naszyjniki syren — te krwawe rubiny — zaczęły tracić barwę. I moc.

— A one? — zapytało dziecko. — Syreny?

— Zostały.

Na chwilę. Wciąż myśląc, że mogą jeszcze śpiewać.

Meadow spojrzała na kredkę, która się złamała.
Nie naprawiła jej. Położyła obok.

— Gdy siostry chaosu wracały przez portal, syreny rzuciły się za nimi.
Nie chciały, by świat widział ich upadek.

— A ich dom? — zapytała ta sama dziewczynka.

— Atlantyda... Aquatika... niektóre legendy mówią, że wciąż tam jest. Ale bez śpiewu.

Tylko pustka. I echo. Echo, które nie odpowiada.

Dzieci słuchały.

— A Iris? — padło kolejne pytanie. — Ona tam... zginęła?

Meadow przymknęła oczy.

— Iris... była tą, która nie śpiewała.

Tylko słuchała.

I to wystarczyło, by rozbić spiralę.

— Ale... nie umarła?

— Nie.

Ale zniszczyła coś więcej niż syreny.

Zniszczyła iluzję, że chaos to tylko krzyk. Pokazała, że prawdziwa siła... to szept, który nie kłamie.

Dziewczynka z okularami spojrzała na swoją kartkę.

— A syreny? Gdzie są teraz?

Meadow uśmiechnęła się delikatnie.

— Może właśnie próbują odnaleźć nową pieśń. Tym razem nie swoją... ale taką, którą mogłyby dzielić.

Z tyłu klasy ktoś zadał jeszcze jedno pytanie:

— A my? Co my mamy za pieśń?

Meadow spojrzała na dzieci.

Na kredki.

Na zeszyty.

Na cienie i światło w ich oczach.

— Każdy, kto pamięta, ma swoją.

Niech będzie cicha. Ale prawdziwa.

I niech nie brzmi... jak echo.

W drzwiach sali pojawiła się cicha sylwetka.

— Bardzo dobrze to opowiedziałas, Meadow — powiedziała Sonata z nikłym, smutnym uśmiechem.

Dzieci podniosły głowy. W klasie zapadła cisza, ale nie taka ze strachu. Raczej... ze zdziwienia.

Z opowieści o potworze wyłoniła się klaczka.

Sonata weszła wolno, ostrożnie, jakby wciąż nie była pewna, czy ma do tego prawo.

— Wiecie co? — odezwała się z nutą zmęczonej dumy. — Na końcu, zanim przyszła fala...

Jedyne, co byłyśmy w stanie zrobić, to ratować siebie same.

Podeszła kilka kroków bliżej. W świetle dnia widać było, że jej łuski zmatowiały.

To, co kiedyś błyszczało jak opalizująca pieśń morskiej głębi, teraz wyglądało jak stare, przetarte szkło.

— Zniszczyłyśmy chaos...

Ale zapomnieliśmy... — głos zadrżał. — Że gdy płyniesz pod prąd... gdy burzysz równowagę chaosu... on cię pożre. Nawet jeśli jesteś jego własnym dzieckiem.

Jej spojrzenie padło na dziewczynkę w okularach.

— Tak, bywało tak, że ratowałyśmy żeglarzy. Ale zazwyczaj... z własnych celów.

Triumwirat... — zacięła się na moment. — U was w Equestrii są dwie siostry. Celestia i Luna.

U nas było nas trzy.

Ale nie była to diarchia. Był to triumwirat.

Usiadła ostrożnie na brzegu sali, nie jako władczyni, lecz jak zmęczona uczennica.

— A teraz... jestem jak kotek.

Stary kotek, któremu matowieje futerko.

I to znak, że zbliża się koniec.

Po jej pyszczku spłynęła łza. Ale nie błagała, nie przepraszała. Po prostu była.

— Wszyscy myślą, że gdybym była dobrą królową... to zostałabym z tyłu.

Że pozwoliłabym Aquatice umrzeć... bez prób ratunku.

Ale prawda jest taka... że **gdybym została z tyłu — mogłabym ją ocalić.**

Gdyby jedna z nas zachowała moc... gdyby choć jedna kolumna nie runęła — fale nie zniszczyłyby królestwa.

Chaos by nie pękł.

Kraina by nie upadła.

Ale dołączyłam. Bo bałam się zostać sama. Bo nie chciałam, żeby one walczyły beze mnie.

Bo byłam lojalna.

I wtedy... **wszystko runęło naraz.**

Dzieci milczały. Nie dlatego, że się bały. Ale dlatego, że słuchały.

Sonata nie szukała przebaczenia. Nie przyszła, by się wybielić. Przyszła, bo nie wiedziała już, kim jest — i może, tylko może, chciała się tego dowiedzieć w miejscu, gdzie opowieści były prawdziwe.

Obok Meadow leżał zeszyt.
Sonata spojrzała na niego.
A potem, nie pytając, usiadła po prostu obok.

I po raz pierwszy, jej głos nie śpiewał.
Po raz pierwszy... **brzmiał jak głos kucyka.**

Interludium XXXIII – Gdy cichość nie wraca

Dzieci jeszcze przez chwilę siedziały bez ruchu. Głos Sonaty przestał brzmieć, ale nie wróciła cisza. Nie ta stara, nie ta zimna. Ta... była pełna czegoś innego.

Meadow zamknęła zeszyt.

— Więc... to nie była porażka w bitwie. To był wybór, który nikt nie odważył się zostawić niepodjętym.

Sonata nie odpowiedziała. Wpatrywała się w swoje kopyta. Łuski na ich powierzchni powoli blakły — jakby wypłukane przez słowa, które wypowiedziała.

Meadow spojrzała na nią ostrożnie.

— Czy... boli?

Sonata uniosła głowę. Uśmiechnęła się lekko. Ale nie odpowiedziała od razu.

— To, co się rozpada... nie zawsze boli — wyszeptała w końcu. — Czasem po prostu... znika, zanim zdążysz zapytać, kim byłeś bez tego.

Spojrzała na jedno z dzieci. Potem na drugie. I jeszcze jedno. Jakby próbowała coś zapamiętać. Albo po raz ostatni się upewnić.

— Wiecie, magia chaosu... była jak fala — powiedziała powoli, jakby do siebie. — Fala, która niosła nas, zatrzymywała czas, ukrywała zmarszczki, obietnice, rozpady...

Zawiesiła głos.

— ...i dawała złudzenie, że nie umieramy. Że nie musimy się spieszyć. Że zawsze jeszcze będzie jutro.

Jedno z dzieci poruszyło się niespokojnie. Wzrok Sonaty zatrzymał się na nim. Na ułamek sekundy... jej spojrzenie zdradziło coś, czego nie wypowiedziała.

Strach.

Nie przed upadkiem.
Nie przed wstydem.
Nie przed samotnością.

Ale przed **końcem**.

Końcem nie rozciągniętym w dekady, jak kiedyś. Ale prawdziwym. Nagłym. Zwyczajnym, końcem.

Meadow to zauważyła. Nie odezwała się. Nie chciała odebrać jej tej resztki godności, którą trzymała teraz jak stare korale — popękane, ale własne.

Podsunęła zeszyt nieco bliżej. Ołówek. Pustą stronę.

— Chcesz coś dopisać?

Sonata nie sięgnęła po ołówek.

Ale też nie odeszła.

Została — może po raz pierwszy naprawdę obecna. Bez śpiewu. Bez iluzji. Bez magii, która zatrzymywała czas.

Jak ktoś, kto **uczy się, że śmierć nie musi przyjść z krzykiem**.

Tylko z **ciszą**, która — tym razem — **coś zostawia**.

— Czy... czy naprawdę miałyście rubiny? — zapytała cicho jedna z klaczek. — Takie, co świecą, jak się śpiewa?

Sonata uniosła wzrok.

— Miałyśmy. Trzy. Z krwi i światła. To one dawały nam głos... i żądzę, by był słyszany.

— A teraz już nie świecą? — zapytał ogierek z przedniego rzędu.

— Teraz są... puste — odpowiedziała. — Tak jak nasze głosy. Zabrzmiały ostatni raz tam, gdzie nikt już nie klaskał.

W drzwiach znowu pojawił się cień. A potem drugi.

Do klasy weszły Aria i Adagio. Nie majestatycznie. Nie jak królowe. Po prostu... jak dwie klaczki, które mają dość milczenia.

Adagio nie powiedziała nic. Ale Aria spojrzała na dzieci.

— Wiemy, że się nas boicie — powiedziała szorstko. — I dobrze. Strach to czasem jedyna rzecz, jaka po nas została.

— Aria... — westchnęła Sonata.

— Nie, pozwól mi — kontynuowała. — Nie przyszliśmy tu, żeby się wybielać. Ale też nie po to, żeby tonąć w winie. Jesteśmy... jakie jesteśmy. I może wreszcie chcemy to zrozumieć **razem z wami**.

Cisza.

— Czy... czy wy naprawdę ratowałyście statki kiedyś? — zapytała znowu ta sama klaczka z okularami.

Adagio poruszyła się lekko.

— Tak. Czasem. Ale nie z dobrego serca.

Raczej... żeby nikt nas nie rozpoznał. Albo żeby zdobyć pieśń wdzięczności.

Bo pieśni były naszą walutą.

— A czy... zabijaliście? — zapytał nagle jeden z chłopców z końca klasy.

W powietrzu zrobiło się lodowato.

Sonata spuściła wzrok. Aria zamilkła. Adagio odpowiedziała najprościej.

— Tak.

Chłopiec drgnął.

— Ale nie dlatego, że lubiliśmy. Tylko dlatego, że myśleliśmy, że musimy.

Bo moc, którą się karmi, zawsze domaga się więcej.

Tak jak głód. I tak jak echo. Jeśli raz zamilknie, to już nie wróci.

— Ale teraz nie macie już tej mocy — powiedziała inna klaczka. — To znaczy... czy to znaczy, że możecie być jak inne kucyki?

Aria pokręciła głową.

— Nie wiemy. Może tak. A może to już za późno.

— A może właśnie dlatego tu jesteśmy — powiedziała cicho Sonata.

— Bo nie mamy już pieśni. Ale jeszcze... mamy głosy.

Dzieci spojrzały po sobie.

— Czy to znaczy... że nie jesteście już syrenami?

Adagio po raz pierwszy się uśmiechnęła.

Smutno. Powoli. Ale szczerze.

— Może nie. Ale może po raz pierwszy jesteśmy sobą.

Gdy zapadła cisza, Meadow podeszła do biurka.

Jej zeszyt był otwarty na stronie, gdzie jeszcze rano zapisała słowo „pamiętać”.

Odwróciła się do dzieci.

— Chcę, żebyście coś wiedzieli — powiedziała spokojnie, bez podnoszenia głosu.
— Ja byłam tam. W Aquatice.

Kilka szeptów. Kilka szeroko otwartych oczu.

— Widziałam, jak walczyły. Widziałam królestwo, które się rozpadało.
I widziałam, że... to nie były tylko potwory.
To były istoty, które bały się utraty siebie tak bardzo...
że zamiast coś ocalić, trzymały się tego, co znały.
Nawet jeśli to była przemoc.

Dzieci milczały. Nie z przerażenia. Ale z czegoś innego.
Z rozpoznania.

— Nie musicie ich lubić. Ale nie musicie też ich nienawidzić.
Ważne, żebyście wiedzieli, że za każdą z tych historii...
jest głos. I że czasem ten głos jest cichszy, bo wstydzi się mówić.

Zamknęła zeszyt.

— A teraz... wracajcie do siebie. Idźcie pobiegać. Pomilczcie. Porozmawiajcie
między sobą.
Zróbcie z tym, co chcecie.

Dzieci zaczęły powoli wychodzić. Niektóre oglądały się za siebie.
Jedna z klaczek zostawiła na ławce muszelkę.

Zostały tylko cztery: Meadow, Sonata, Aria i Adagio.

I wtedy Meadow wzięła głęboki oddech.
Odwróciła się do syren — już nie jako nauczycielka, nie jako opowiadająca, tylko jako ta,
która wróciła z ich ruin.

— Powinnam była was nienawidzić — powiedziała twardo. — I przez długi czas...
tak właśnie było.

Sonata spuściła wzrok. Aria zmarszczyła brwi. Adagio ani drgnęła.

— Odebrałyście nam wszystko.
Krainę, dom, bezpieczeństwo... i mojego przyjaciela.
Byliśmy dziećmi. I nie powinno nas tam być. Ale byliśmy.

Aria westchnęła.

— Więc po co ta cała lekcja, Meadow? Po co to wszystko, skoro i tak myślisz, że
jesteśmy tylko potworami?

Meadow pokręciła głową.

— Bo nie chcę, żeby kolejne dzieci uczyły się nienawiści zamiast rozumienia. Bo to, co zrobiliście, było straszne. Ale to, co z wami zrobiono... też.

Adagio wreszcie się poruszyła.

— Myślisz, że to nas rozgrzesza?

— Nie — odpowiedziała Meadow. — Ale to jest początek, żebyście przestały się rozgrzeszać same.

Zapadła długa cisza.

W końcu Sonata szepnęła:

— Boję się. Nie tylko tego, że będę stara. Boję się, że nie zdążę być nikim innym, zanim naprawdę odejdę.

Adagio spojrzała na nią. Nie z gniewem. Tym razem... ze zmęczeniem, które znała tylko siostra.

— Więc może nie marnujmy tego czasu — powiedziała.

Aria nic nie powiedziała. Ale tym razem... nie odwarknęła.

Interludium XXXIV – Wyrównanie

Aria westchnęła ciężko, jakby coś już chciała powiedzieć — ale zanim zdążyła się ruszyć, Adagio zrobiła krok do przodu.

— Słuchaj, strażniczko chaosu... — powiedziała spokojnie, ale twardo. — Okazuje się, że nasze działania się wyrównały. My straciłyśmy swoją krainę i moce... wy — swoje moce i stabilność świata.

Zbliżyła się do Meadow, jej głos był chłodny, lecz nie agresywny. Bardziej... bezbronny w swojej szczerości.

— Ironią są słowa naszego rówieśnika, Discorda. — W jej oczach błysnął cień dawnego gniewu. — On zawsze mówił, że *chaos i tak wróci na swoje miejsce*. Że wszystko się wyrówna. Choćby w najbardziej brutalny sposób.

— Adagio, nie... — próbowała powstrzymać ją Sonata, ale Adagio odsunęła jej kopytko z determinacją.

— Paradoksalnie, wszystkie zapłaciłyśmy. — Jej głos zadrżał, ale mówiła dalej. — Pamiętasz pytanie, Meadow? Czy naprawdę tego chcieliśmy? Żeby tak się to skończyło? Oczywiście, że nie.

Zatrzymała się tuż przed Meadow. Ich noski niemal się stykały.

— Sam chaos, który był częścią nas wszystkich... zakpił z każdego uczestnika tej wojny. I tak jak przewidywał Discord — *wszyscy oberwaliśmy*.

— Według jego logiki... jesteśmy kwita.

Milczały przez moment. Adagio wyglądała, jakby przez chwilę naprawdę zobaczyła Meadow — nie jako przeciwniczkę, ale kogoś, kto przetrwał ten sam kataklizm.

— W sumie... powinnaś się cieszyć — powiedziała ciszej. — Nie będziesz musiała przeżywać dekad, jakby to były dni. Nie zrozumiesz, jak to jest patrzeć, jak świat się zmienia, a ty nie.

Spojrzała krótko na swoje siostry.

— Jesteś młoda, nie to co my. Ja... moje siostry... Iris, Camel... — urwała i westchnęła. — Może poza Camel — poprawiła się z lekkim rozbawieniem. — Ona zawsze szła pod prąd.

Zerknęła na swoją łuskę, która kiedyś błyszczała jak klejnot. Teraz tylko matowe wspomnienie.

— Dla nas może to być kres dni.

I wtedy powiedziała to bez gniewu, bez oskarżenia. Po prostu.

— Kłątwa, która dawała nam długowieczność za straszną cenę... została złamana.

W klasie zrobiło się cicho. Pozostałe syreny zniknęły już za drzwiami. Adagio stała nieruchomo, z łuskami, które nie lśniły już jak dawniej. Tylko Meadow została. Nie jako strażniczka, nie jako przeciwniczka. Po prostu... jako ona.

— Nie jestem pewna, czy jesteśmy kwita — odezwała się w końcu.

Adagio uniosła wzrok.

— Może chaos tak myśli. Może Discord by się uśmiechnął. Ale ja... nie umiem tego tak zostawić.

Podniosła z podłogi zeszyt, który dzieci zostawiły, i położyła go na biurku. Pomiedzy nimi.

— Odebrałyście nam wszystko. Krainę, dom, bezpieczeństwo... i mojego przyjaciela. Byliśmy dziećmi. Nie powinno nas tam być. Ale byliśmy.

Adagio nie odpowiedziała od razu.

Meadow spojrzała jej prosto w oczy.

— Ale to nie znaczy, że nie rozumiem.

Cisza przeciągała się, ciężka jak morskie dno.

— Mówisz, że klątwa została złamana. Że nie będziecie już żyć wiecznie... Że teraz czujesz, jak świat naprawdę się kończy.

Przysunęła się bliżej.

— Ale może właśnie teraz... pierwszy raz... naprawdę żyjecie.

Adagio poruszyła się lekko, jakby coś w tych słowach dotknęło nerwu, o którym zapomniała.

— Znasz chaos — ciągnęła Meadow cicho. — Wiesz, że to nie tylko zniszczenie. To zmiana. Transformacja.

Jej głos był miękki, ale stanowczy.

— Więc może nie chodzi o to, żeby być kwitą. Może chodzi o to, żeby się zmienić. W końcu.

Zeszyt na biurku został otwarty przez lekki podmuch wiatru. Na stronie widniał dziecięcy rysunek — trzy syreny. Nieidealne. Ale z sercem.

Meadow spojrzała jeszcze raz na Adagio. Tym razem bez gniewu.

— Dla nich. Nie dla mnie. Nie dla Discorda. Dla tych, którzy jeszcze nie wiedzą, czym jest wasz głos... a mogą się dowiedzieć.

I odeszła, zostawiając Adagio samą — nie jako przegraną, ale jako tę, która została, by coś przemyśleć.

Interludium XXXV – Głos za drzwiami

Drzwi już prawie się zamknęły, kiedy Adagio zerwała się z miejsca.

— GŁUPIEC, który namówił cię do zjedzenia tego nasiona... naprawdę ci NIC nie powiedział?! — krzyknęła za Meadow, zdzierając głos.

Meadow zatrzymała się w pół kroku.

— Powiedział, że będziesz musiała stawić czoło pokusom. Stygnącemu sercu. Pociągowi do chaosu! — kontynuowała Adagio, jej łuski połyskiwały matowo w świetle lamp. — Ale zataił, że to stanie się piekłem!!

Zawahała się tylko na moment, zanim wybiegła na korytarz, zostawiając za sobą tylko echo westchnienia Sonaty i milczący cień Arii.

— Wiesz, co w tym najgorsze?! — jej głos odbijał się od ścian. — **Nieśmiertelność kusi... póki nie uświadomisz sobie, że spędzisz ją samotnie!!**

Meadow odwróciła głowę, ale nie odezwała się. Jeszcze nie.

— Na twoim miejscu — syknęła Adagio, zbliżając się o kilka kroków — porozmawiałabym z tym, kto ci to dał. Z tym, który ostrzegał, ale zataił **tylko ten jeden, malutki fragment**. Bo gdyby ci go powiedział... dostałby tym nasionem w pysk.

Milczenie między nimi było cięższe niż cała historia Aquatiki.

— Kiedy przyjmujesz ten ogień do serca... — szeptała teraz, prawie ze współczuciem — to tak, jakbyś rodziła się na nowo. Z chaosu. Jak Discord. Jak jego córka, Screwball. Nie masz już wyboru.

Meadow uniosła brwi. Coś w jej oczach drgnęło — jakby po raz pierwszy spojrzała na Adagio **nie jako wroga**, ale jako kogoś, kto **wie**.

— Ale tobie... — dodała Adagio, głos znów załamał się w furię — **TOBIE TEN WYBÓR ODEBRANO!!**

Zapadła chwila, a potem głos Adagio stwardniał, jakby tłumił własny ból.

— Odebrałam ci przyjaciółkę? TAK. Ale ty sama widziałabyś jej śmierć... **nie mogąc zrobić z tym nic**. I żyłabyś dalej. I każdy, kogo byś polubiła... także by umarł.

Zamilkła. Jej spojrzenie było teraz puste, jak morska głębia, która już dawno straciła dno.

— A ty... byłabyś ciągle sama. Z tym powoli stygnącym sercem, raz po raz rozdzieranym przez kolejne straty.

Adagio nie czekała na odpowiedź. Odwróciła się powoli i wróciła do klasy.

A Meadow?

Stała przez chwilę, bardzo długo, z łapą zawieszoną w pół kroku.

Nie ruszyła się.

Jeszcze nie.

Rozdział 39 – Iris bez luster

Nie wiedziała, kiedy dokładnie przestały mówić.

Odbicia.

Szklane szeptanki, które przez tyle lat powtarzały cudze lęki, pragnienia, kłamstwa i prawdy. Każde echo, każda twarz, każdy uśmiech — jak cień noszony na plecach.

A teraz... cisza.

Nie taka straszna. Nie przerażająca. Raczej... **obca**.

Iris siedziała w sali Galerii — tej, która nie odbijała już niczego. Taflę były czyste. Nie martwe. Ale też już nie żywe. Jakby lustra nauczyły się milczeć razem z nią.

Spojrzała na własne kopytka. Nie drżały.

— Czy to znaczy, że już ich nie słyszę...? — szepnęła do siebie. — Czy że już ich nie ma?

Nie знаła odpowiedzi.

Ale wiedziała coś innego.

Dzieci zaczęły przychodzić.

Nie tak jak kiedyś — przestraszone, zaplątane w sny i odbicia.

Teraz... przychodziły świadomie.

Z zeszytami. Z pytaniami. Z opowieściami, które chciały opowiedzieć komuś, kto *naprawdę wie, co znaczy słuchać*.

Nie bały się jej. Nawet jeśli wcześniej ją znały z legend, jako tę z luster, tę, która czasem pękała razem z nimi.

Przychodziły — nie po odpowiedzi, ale po obecność.

I może właśnie dlatego lustra zamilkły.

Bo już nie były potrzebne jako echo. Nie musiały odbijać.

Iris była.

Drzwi zaskrzypiały delikatnie.

Iris nie podniosła wzroku. Nie musiała. Kroki były zbyt ciche, zbyt znajome. Nie szurały niepewnie. Nie biegły z lękiem. **Po prostu przyszły.**

— Arabella... — powiedziała cicho, jakby przywołując nie imię, lecz ciepło, które niosło.

— Nie ma tu luster — odparła dziewczynka, siadając tuż obok. — Ale czuję, że i tak widzisz wszystko.

Iris uśmiechnęła się, chociaż nie radośnie. Raczej z tym miękkim, cichym drgnięciem kącika ust, które zostawia miejsce dla bólu.

— Nie wiem już, co widzę. Naprawdę. — W końcu spojrzała. — Może widzę tylko siebie. Albo ciebie. A może... nic.

Arabella skinęła głową.

— A może wystarczy, że jesteś. Tak po prostu. Nie po to, żeby coś pokazać. Nie po to, żeby odbić. Tylko... żeby słuchać.

Zamilkły. Na zewnątrz wiało. Ale w środku panowała cisza, której nie trzeba było przerywać.

Po chwili Arabella zapytała:

— Czy boisz się, że jak lustro milczą... to znaczy, że nie ma już nikogo?

Iris odwróciła wzrok. Nie dlatego, że nie chciała odpowiedzieć. Po prostu... nie była gotowa przyznać tego wprost. Ale wiedziała, że Arabella zrozumie.

— Kiedyś... każde dziecko, które tu trafiło, wołało. Czasem krzyczało. Czasem płakało. A czasem tylko patrzyło. I wtedy... wiedziałam, co robić.

— A teraz?

— Teraz nie ma wołania. Tylko... obecność. I nie wiem, czy to znaczy, że jestem potrzebna mniej... czy bardziej.

Arabella przechyliła głowę.

— Może po prostu inaczej.

— Inaczej — powtórzyła Iris.

— Nie jesteś już Galerią. Jesteś... sobą.

— A jeśli to za mało?

Arabella spojrzała jej prosto w oczy. Jej odbicie nie było już rozmyte. Nie potrzebowało się odbijać. **Było.**

— Dla mnie wystarczy.

Zamilkły znowu. Ale nie była to już cisza luster.

To była cisza obecności.

— Iris...?

Głos Arabelli był cichy, jakby bała się przerwać coś, czego nie widać, ale co się czuje — jak zapach w pustym pokoju, który należał kiedyś do kogoś ważnego.

— Pamiętasz, gdy ja... gdy ja wpadłam do Galerii?

Iris skinęła głową. Powoli. Bez słów.

— To nie były zwykłe odbicia. W jednym byłam zmęczona. W drugim wyglądałam jak staruszka. W kolejnym... jak ktoś, kogo nie znałam. A potem przyszła ona. Screwball. — Głos Arabelli zadrżał. — I powiedziała mi, że ostrzeżeń było wiele. Że sama się tam wepchnęłam, śmiejąc się, jakby to coś dawało.

Zamilkła. A potem spojrzała prosto w oczy Iris.

— Więc... chcę wiedzieć jedno.

— Mhm?

— Gdyby to nie była ja... gdyby to były Dazzlings... Adagio, Aria, Sonata... po tym, co zrobiły... Czy też trafiłyby do luster? Do Galerii? Jako... cienie?

Iris nie odpowiedziała od razu. Wzięła wdech, jakby powietrze stało się zbyt gęste, by mówić.

— Wtedy, w czasie koncertu... tak. Były odbiciami. Wykrzywionymi. Ale to były one. Tylko... złamane przez własne pieśni.

— Czyli... tak?

— Nie do końca.

Arabella zmarszczyła brwi.

Iris odwróciła wzrok, wpatrując się w miejsce, gdzie kiedyś było lustro — to, w którym dzieci widziały same siebie po raz pierwszy naprawdę.

— Lustra... nigdy nie były więzieniem. Nie do końca. Były odpowiedzią. Niektóre dzieci, jak ty, trafiły tam, bo nie rozumiały. Albo nie chciały zrozumieć. Bo robiły krzywdę, nie wiedząc, co robią.

— Ale one wiedziały.

— Wiedziały. I dlatego właśnie... nie trafiły do Galerii. — Iris mówiła spokojnie. — Ich kara była inna. Utrata pieśni. Upadek. Samoświadomość.

— To gorzej?

— To dłużej — odpowiedziała. — Bo cień może zostać rozświetlony. Ale życie z błędem, który widzisz codziennie w oczach tych, których zawiodłeś... to inny rodzaj luster.

Arabella przełknęła ślinę.

— A jeśli nigdy nie przestaną się karać?

— To trzeba do nich pójść. I usiąść obok. Nie po to, by dać litość. Ale żeby zapalić światło.

Iris spojrzała na Arabellę. Nie jako opiekunka, nie jako dawna Screwball. Ale jak ktoś, kto zna mrok z bliska.

— Ty już to zrobiłaś. Kiedy słuchałaś ich dziś w klasie. Kiedy nie uciekałaś. Kiedy nie zapytałaś: „Czemu to zrobiliście?”. Tylko: „Czy jeszcze można wrócić?”.

— Bo ja wiem, jak to jest... — szepnęła Arabella. — I wiem, że jak nie ma kogoś, kto cię zapyta o imię, to zapominasz, że w ogóle je miałaś.

Iris zamknęła oczy. A po chwili... uśmiechnęła się lekko.

— Czasem myślę, że dzieci rozumieją więcej niż my, dorośli. A potem przypominam sobie... że to właśnie dzieci tworzyły Galerię. Nie my. Nie Discord. Nie ja.

— To kto?

— Pytania. I echo. — Iris spojrzała przed siebie. — Echo tych, którzy chcieli, żeby ktoś ich usłyszał, zanim znikną.

— Więc jeśli syreny wrócą... nie pokażesz im luster?

— Nie. Ale dam im światło. Jeśli będą chciały spojrzeć same.

Arabella skinęła głową. I zamilkła — nie ze strachu, nie z wahania.

Tylko z ciszy, która mówiła wszystko.

Arabella przystanęła. Jej oczy nie były już tylko spojrzeniem — były oknem, przez które znów zaglądała przeszłość.

— Ale... ja wciąż pamiętam — powiedziała cicho, a echo jej głosu wróciło jak oddech Galerii.

— Pamiętam, jak to bolało. Nie ciało. Nie lód. Tylko to, że myślałam, że mnie nie ma. Że już nie istnieję. A jednak... widziałam wszystko. I to ciągle to samo. Karteczka z lusterkim. Pierwszy śmiech. Potem ty... jako ja. I twój głos.

Iris nie ruszyła się ani o milimetr. Tylko patrzyła. Bez maski.

— Powiedziałaś wtedy, żebyś się śmiała. Że będzie mniej bolało.

Arabella przełknęła ślinę. Ale jej głos nie zamilkł. Przeciwnie — łamał się coraz wyraźniej.

— Nie wiedziałam już, kim jestem. Wszystko było rozmyte. A potem... wyciągnęłam kopytko do tej błony. Do twojej strony. Do ciebie.

Zacisnęła oczy.

— I już nie czułam nic. Tylko... ten sam urywek. Ten sam kawałek filmu, w kółko. Dzień po dniu. Miesiącami. I nie mogłam nawet krzyczeć, bo nie byłam niczym, tylko echem.

— A potem... piekło. Bo gdy wracałam, gdy odzyskiwałam formę... bolało bardziej niż wszystko. Gdy Rosalyn pytała, szeptem, czy ja to jeszcze cień, czy już siebie odzyskuję... myślałam, że się uduszę od własnego imienia.

Zapadła cisza. Ale nie martwa — ta była pełna wagi.

— Więc jeśli ja musiałam przez to przejść... — dodała Arabella powoli — ...dlaczego one nie musiały?

Iris nie odpowiedziała od razu. Przymknęła oczy, jakby chciała dać tym słowom czas, by naprawdę do niej dotarły.

— Bo Galeria nie każe. Ona słucha — powiedziała w końcu. — Ty nie słuchałaś. Odwracałaś wzrok. Ignorowałaś każde echo, każdy znak. Aż echo stało się twoją jedyną formą. I musiałaś wrócić z pustki, żeby znów być kimś.

Arabella uniosła głowę. W jej oczach nie było gniewu — tylko niezrozumienie.

— A one?

— One nie były dziećmi, Arabella. One wiedziały, co robią. Ale też... potrafiły zobaczyć, kiedy ich dom zaczął się walić.

— Ale Sonata... — Arabella zawahała się. — Na lekcji... naprawdę wyglądała, jakby się łamała. Mówiła, że gdyby choć jeden z nich — choć jeden filar tej trójwładzy — nie upadł... ich dom by przetrwał. Wierzyła w to.

Iris skinęła głową.

— Bo to była prawda. Gdy chaos zalał Aquatikę, stało się to nie przez walkę... tylko przez to, że wszystkie trzy królowe runęły naraz. Ich moc — podzielona — mogła przetrwać. Ale razem... ich upadek stał się huraganem. A chaos kocha próżnię.

— Więc one... już dostały karę?

— Dostały pustkę — odpowiedziała Iris. — I świadomość, że ich pieśń, ich wspólnota, ich dom... zniknęły z ich winy.

— Ale nadal są razem.

— Tak — przyznała Iris. — Bo czasem największa kara... to widzieć, co się straciło. I wiedzieć, że już nigdy się tego nie odzyska — nawet jeśli trzyma się to za kopytko.

Arabella zamilkła.

A potem podeszła bliżej.

— Wiesz, ja... nie żałuję, że to przeszłam. — Jej głos był cichy, ale silny. — Ale czasem chciałabym, żeby ktoś wtedy zapytał: "Czy jesteś gotowa wrócić?"... a nie: "Czy jeszcze umiesz się śmiać?"

Iris otworzyła oczy.

— To zapytam teraz. — Jej głos był miękki. — Jesteś gotowa?

Arabella spojrzała na nią. I pierwszy raz — nie jak dziecko, nie jak cień, nie jak ofiara.

— Tak. Ale nie po to, żeby wrócić sama. Po to, żeby poczekać na te, które jeszcze się boją.

I w tafli, której już nie było, błysnęło coś, co przypominało uśmiech. Nie chaosu. Nie rozbawienia.

Czułość. Między dwoma odbiciami, które już nie muszą się ukrywać.

— Czyli, czyli ta potęga, którą czuliśmy, gdy muzyka niemal rozsadzała budynek tak, że cały się trząsł, a szyby dzwoniły... To potężne uderzenie magii, które poszło w widownię, w nas wszystkich? Wtedy, podczas koncertu, gdy użyły tej niewiarygodnej mocy do śpiewu? Gdy pozarły nas niemal dosłownie? A potem zniknęły w eksplozji, która wybiła szyby w całym akademiku?

Iris słuchała w ciszy. Jej oddech był spokojny, ale oczy... oczy drżały. Arabella mówiła z nabożną trwogą — nie jak dziecko, które się boi, ale jak ktoś, kto patrzy prosto w zgliszcza dawnego świata i po raz pierwszy rozumie, że one kiedyś płonęły naprawdę.

— Tak — odpowiedziała cicho. — To była prawdziwa moc. Nie tylko muzyka... ale magia, która żywiła się wszystkim. Waszym zachwytem. Waszymi pragnieniami. Waszą uwagą. One śpiewały, a chaos karmił się tym śpiewem.

Przymknęła oczy, jakby czuła jeszcze echo tamtego koncertu, które tętniło w ścianach.

— Tamtego dnia... one naprawdę sięgnęły po wszystko. Bo nie miały już nic do stracenia. Wiedziały, że to ostatnia pieśń. I oddały się jej do końca.

— A potem? — szepnęła Arabella.

— Potem świat nie wytrzymał. Chaos, który zalał widownię, zderzył się z tym, co próbowały ukryć — ze stratą. Ze wspomnieniem domu, którego już nie miały. I magia się załamała. Eksplodowała... ale nie jak sztuczka. Jak serce, które nie wytrzymało ciężaru własnej pieśni.

Iris spojrzała na Arabellę, a w jej oczach nie było już tajemnic.

— To nie był pokaz. To było pożegnanie.

Arabella zadrżała.

— Więc... tak naprawdę... one już wtedy zniknęły?

— Ciała przetrwały. Ale nie wróciły stamtąd całe. Żadna z nas nie wróciła.

— Nawet Screwball?

— Screwball... — Iris zawahała się. — Ona nie wróciła nigdy. To, co teraz widzisz, to tylko echo. Resztką dziecka, które przestało się śmiać, kiedy zrozumiało, że przestało być dzieckiem.

Arabella wzięła powolny oddech.

— Czyli... chaos naprawdę zalał wszystko?

— Tak — potwierdziła Iris. — Ale potem... zniknął. Nie dlatego, że został pokonany. Tylko dlatego, że nie miał się już czym karmić. Śmiech się skończył. Wiara się wypaliła. Serce... zamilkło. I wtedy nawet chaos musiał się cofnąć.

Zapadła cisza. I choć nie było luster, Arabella czuła, że cały świat się w niej odbija.

— Więc zostało tylko jedno — powiedziała cicho. — Świadomość straty.

Iris skinęła głową.

— A czasem... to najpotężniejsza magia ze wszystkich

.

Interludium XXXVI – Serce, które stygnie

Drzwi do Galerii były już uchylone. Iris siedziała pośrodku — nieruchoma, zgaszona. Wydawało się, że nie zauważyła Arabelli, która wyszła przed chwilą. Ale gdy powietrze wibrowało od energii, zanim cokolwiek zabrzmiało, Iris już wiedziała, że to nie Arabella wraca.

To była Meadow.

Wpadła jak burza. Z pyskiem rozgrzanym, oczami, które płonęły ogniem, choć w ich środku już czał się lód.

— Iriss... proszę, powiedz mi, że o tym nie wiedziałaś — syknęła, niemal wypluwając słowa. — Powiedz mi, że nie wiedziałaś, kiedy pozwoliłaś Camel dać mi to nasionko... Kiedy mnie posłałaś...

Jej głos nie drżał. Ale drżały jej kopytka. Całe ciało napięte jak sprężyna, gotowa pęknąć.

— Powiedziała mi tylko jedno — warknęła. — Że będę musiała stawić czoło pokusie. Że serce zacznie stygnąć. Że będę czuła pociąg do chaosu... ale że to się stanie piekłem?! Tego już nie powiedziała.

Przeszła kilka kroków, gwałtownie. Tafle luster w Galerii zaszumiały.

— „Nieśmiertelność kusi... póki nie uświadomisz sobie, że spędzisz ją samotnie!” — zagrzmiała, cytując niemal z pamięci. — To powiedziała mi Adagio. A ty... ty wiedziałaś?! Czy nie?

Iris nie odpowiedziała.

— „Na twoim miejscu porozmawiałabym z tym, kto ci to dał... kto ostrzegał, ale zataił tylko jeden, mały fragment. Bo gdyby ci go powiedział... dostałby tym nasionem w pysk.”

Meadow zbliżyła się. Jej oddech przyspieszał. Nie z nienawiści. Z zawodu.

— „Gdy przyjmujesz ten ogień do serca... to tak, jakbyś się na nowo rodziła z chaosu. Jak Discord. Jak Screwball. Nie masz już wyboru.” — Jej głos się złamał. — „Ale mnie... odebrano ten wybór.”

Milczała chwilę. Gdy znów mówiła, brzmiała jak ktoś, kto się kruszy od środka.

— „Odebrałam ci przyjaciółkę? TAK. Ale ty sama widziałabyś jej śmierć... nie mogąc zrobić z tym nic. I żyłabyś dalej. I każdy, kogo byś polubiła... także by umarł.” — zamknęła oczy. — „A ty... byłabyś ciągle sama. Z tym powoli stygnącym sercem, raz po raz rozdieranym przez kolejne straty.”

Zapadła cisza. W Galerii nie odbiło się nic. Ani głos. Ani światło. Tylko oddech Meadow.

— Więc... Iris... powiedz mi: czy wiedziałaś?

W końcu. Jedno pytanie, którego echo odbiło się o każdy kąt Galerii. O każde lustro. O każdą decyzję.

Iris wstała powoli. Jej sierść nie błyszczczała już światłem luster, a cienie na jej twarzy były... stare. Smutne.

Interludium XXXVII – Gdy już wiesz

Wiedziała, że przyjdzie.

Wiedziała od chwili, gdy poczuła echo — nie dźwięku, nie kroków, ale decyzji. Ktoś szedł nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że coś w środku już pękło. A pęknięcia... Iris знаła. Uczyła się ich każdego dnia.

Zobaczyła Meadow, zanim ta jeszcze weszła. Widziała napięcie jej łopatek. Głos, który się załamał, choć sam nie wiedział, czy z gniewu, czy ze strachu. A potem... słowa. Te słowa.

"Nieśmiertelność kusi... póki nie uświadomisz sobie, że spędzisz ją samotnie."

"Gdyby ci powiedział wszystko — dostałby nasionem w pysk."

"TOBIE TEN WYBÓR ODEBRANO!!"

Każde z tych zdań uderzało jak lustro, które Iris sama zawiesiła. Jakby kiedyś, dawno, zbudowała cały dom z tych słów — a teraz każda szyba pękała jej nad głową.

A jednak stała. Słuchała. Patrzyła na Meadow, która była tak młoda, tak przepełniona ogniem i strachem... i tak przeraźliwie podobna do niej samej sprzed lat. Może dlatego nie uciekła. Nie odwróciła wzroku.

Kiedy zapadła cisza, Iris odezwała się bardzo cicho:

— Wiedziałam.

Nie próbowała się tłumaczyć. Nie było sensu. Słowo wypowiedziane bez tarczy brzmiało jak wyrok. A Iris... wiedziała, że zasłużyła.

— Wiedziałam, że Camel ci to da. Że wsadzisz to w serce. Że... poczujesz się częścią czegoś, czego nawet my nie umiemy do końca nazwać.

Zbliżyła się, bardzo wolno. Jej kopytka nie wydawały dźwięku. Jak cień, jak echo, jak ktoś, kto nie wie, czy jeszcze wolno mu istnieć.

— Ale nie wiedziałam, *jak bardzo to będzie bolało*.

Spojrzała Meadow prosto w oczy. Tym razem nie jako strażniczka, nie jako Iris, nawet nie jako Screwball.

— Nie powiedziałam ci, bo... myślałam, że cię ochronię. Że nie potrzebujesz znać wszystkiego od razu. Że jeśli zasiejesz chaos... ale będziesz miała przyjaciół... to jakoś się to uniesie.

Zamilkła.

— A potem Adagio powiedziała ci to wszystko i... zrozumiałam, że zrobiłam ci dokładnie to, co kiedyś zrobił Discord mnie. Dał moc. Dał obietnicę. Dał przyszłość... a zapomniał dodać *samotność*.

Iris opuściła wzrok. Jej głos zadrżał pierwszy raz od dawna.

— Nie chciałam cię zranić, Meadow. Nie chciałam cię okłamać. Ale tak... odebrałam ci wybór. I nie wiem, czy kiedykolwiek mi to wybaczysz.

Przez dłuższą chwilę była tylko cisza. Galeria milczała. Lustra nie świeciły.

A potem Iris szepnęła:

— Jeśli chcesz... odejść. Ale jeśli zostaniesz... pomogę ci nie stygnąć. Choćbym miała codziennie rozgrzewać ci serce własnymi słowami. Tak długo, jak będziesz chciała mnie słuchać.

Spojrzała w oczy Meadow raz jeszcze. I tym razem... nie była to prośba. Ani żal.

To była obietnica.

Czyli, czyli naprawdę, jako klaczka chaosu... byłabym uwieziona w wieczności?

— Jak, jak... Adagio, jak ty, jak Camel, sonata, aria?

— Nigdy bym się nie starzała... To... To dlatego, naprawdę dlatego opowieści, które przesledziłam, idąc twym propem, aż poznałam, kim jesteś, lub byłeś... One, te legedy sięgają conajmniej setki lat wstecz.

Teraz jej oczy naprawdę zrobiły się wielkie...

— To, to nie jest dar. Przeżywać dekadę, jakby to miały być dwa dni, lub dwa tygodnie, bo czas niema już znaczenia. To, to przekleństwo.

Iris nie odwraca wzroku. Nie spuszcza głowy. Nie przecina słów Meadow pustym usprawiedliwieniem. Gdy widzi, jak jej oczy rozszerzają się ze zrozumienia... jak wstrząs wędruje przez całe ciało dziewczynki... wtedy dopiero odpowiada.

Głosem takim, jakiego Meadow jeszcze nigdy nie słyszała.

Ciszym niż szept. Ciepłym niż milczenie. Starszym niż echo.

— Tak.

Jedno słowo, a w nim nie mieści się ani duma, ani chwała. Tylko ciężar.

— My nie mamy świeczek na torcie, Meadow. Mamy całe korytarze wspomnień, których nikt już nie pamięta. Śpimy pod tymi samymi gwiazdami, ale każda z nich zdążyła zgasnąć i odrodzić się tysiące razy, a my... nadal tam jesteśmy.

Jej oczy — kiedyś pełne chaosu — teraz były jak lustra, które zapamiętały zbyt wiele.

— Camel nie mówi o tym głośno, ale pamięta swoją pierwszą zimę. Pierwszą jesień. I to, jak każdy, kogo wtedy pokochała... odszedł. I nawet jeśli stała przy ich grobach... dla niej to był zeszły tydzień.

Zrobiła krok bliżej, z czułością, ale bez nacisku.

— Adagio, Aria, Sonata... każda z nich czuje czas jak burzę pod skórą. I każda z nich próbowała udawać, że to nic nie znaczy. Że wieczność to dar. Ale one są tą wiecznością. I dlatego pękły.

Iris spojrzała Meadow w oczy — z całą swoją starością, bólem i pokorą.

— A ja... ja śniłam przez tyle stuleci, że przestałam czuć, czy żyję naprawdę. Czy jestem tylko odbiciem z bajki.

Zawahała się na moment.

— Dlatego cię szukałam, Meadow. Bo ty nie byłaś snem. Byłaś pytaniem, którego nie znałam. A potem — odpowiedzią, której się bałam.

Unosi lekko kopytko. Nie, by dotknąć, ale by pozwolić, że jeśli Meadow chce — może.

— To nie dar. I nigdy nie był. Chaos ofiarowuje tylko to, co można stracić powoli. I patrzeć, jak to gaśnie.

W głosie Iris nie ma gniewu. Nie ma żalu.

Jest tylko prawda. Zimna. Cicha.

I pytanie, którego nie zadała:

Czy teraz, gdy już wiesz... nadal chcesz iść dalej?

— Ale, ale to już koniec iris... — Meadow westchnęła, jakby ciężar spadł jej z piersi.

— To już koniec. Straciłyśmy nasze moce... Ale... To oznacza, że mogą stracić i przyjaciółkę — szepnęła.

— Adagio i syreny, one, one boja się rychłej śmierci. One wiedzą, jak stare już są. Myślą, że jeśli chaos całkiem się wypali i klątwa przestanie działać...

...to one też zgasną.

Jak gwiazdy, które od zawsze świeciły — tylko dlatego, że nikt nie odważył się zgasić światła.

Iris wciągnęła powietrze. Cicho. Jakby nagle wszystko, co było niewypowiedziane — właśnie do niej dotarło.

— Więc... dlatego się boją — powiedziała, bardziej do siebie niż do Meadow. — Nie przed końcem świata. Nie przed upadkiem Aquatiki. Ale przed czymś dużo mniejszym.
Końcem samej siebie.

Meadow skinęła głową. W jej oczach nie było już tylko złości. Nie tylko zawodu.
Była też *trwoga*.
Nie o siebie.

— To nie fair... — wyszeptała. — *Walczyłyśmy*. Pokonałyśmy Discorda. Ocaliłyśmy dzieci. Zatrzymałyśmy chaos...
Ale za jaką cenę?

Iris przymknęła powieki. Teraz i ona poczuła to, co Meadow:
Ten koniec... to nie był koniec walki.
To był koniec magii. I początek utraty.

— Straciłyśmy moce — powiedziała Iris cicho. — Ale nie przestałyśmy być sobą.
A może... właśnie wtedy zaczęłyśmy.

Westchnienie Meadow było drżące.
— Ale jeśli chaos naprawdę przestaje działać... to one umrą. *Camel może umrzeć.*
Zrobiła krok w stronę Iris.
— A ja nie wiem, czy jestem gotowa...

I wtedy Iris zrobiła coś, czego Meadow się nie spodziewała.

Objęła ją. Po raz pierwszy — naprawdę. Nie jako strażniczka. Nie jako istota z luster.
Jako klaczka.
Przyjaciółka.
Ktoś, kto też się bał.

— Nie jesteś sama — powiedziała. — I nie pozwolę ci zostać nią... choćby świat miał się skończyć jeszcze raz.

Z zewnątrz nadszedł podmuch wiatru. Zwykły. Bez magii. Bez świateł.

Ale kiedy wiatr poruszył kartki zeszytu Meadow...
Na jednej z nich ktoś dorysował uśmiechniętą twarz.
Z dziecięcymi spiralami w oczach.
A na odwrocie — pojedyncze słowo:

„Jeszcze nie koniec.”

Interludium XXXVIII – Pieśń, która nie milknie

Sonata obserwowała wszystko w milczeniu. Nie przerwała Arabelli, gdy ta mówiła. Nie zareagowała na wściekłość Meadow, gdy klaczka zrozumiała, że ziarno chaosu dało jej coś więcej, niż mogła przypuszczać — wieczność, o której nie miała pojęcia. Sonata patrzyła, chłonęła, słuchała. Ale nie podeszła. Jeszcze nie.

Zrobiła to dopiero wtedy, gdy ostatnia klaczka zniknęła za zakrętem korytarza. Cicho, prawie niezauważalnie, zbliżyła się do Iris i przysiadła obok niej, tak blisko, że ich boki się zetknęły. Nie było w tym wyzwania. Nie było w tym wrogości. Przeciwnie — w tym geście była cisza, która mogła znaczyć zrozumienie.

— Co o tym sądzisz? — zapytała, ledwie słyszalnie.

Głos Sonaty był łagodny, ale wibrował pod powierzchnią czymś niewypowiedzianym.
— O tym wszystkim? Naprawdę uważasz, że nie byliśmy tylko cieniami? Że nie

powinnyśmy trafić do lustra... jak tamta klaczka, ta, która była tu przed Meadow? Że podczas koncertu, który niemal zburzył ten budynek...

Zawahała się. Wciągnęła powietrze, jakby zapach przeszłości nadal unosił się w kurzu pod sufitem.

— Tak — szepnęła — widziałam kurz i tynk sypiący się na nas z dachu. Widziałam, jak pękały szyby, choć nie wyleciały.

Spojrzała na Iris spod grzywy, cicho, niemal drżąc.

— Po tym wszystkim... nadal uważasz, że pustka, jaką dostaliśmy... to wystarczająca kara?

Iris nie odpowiedziała od razu. Ale też nie odsunęła się. Czuła bok Sonaty przy swoim. I nie uciekła. Nie spięła się. Nie próbowała odejść. Tylko westchnęła — krótko, cicho — jak ktoś, kto wiedział, że ten moment w końcu nadejdzie. Że nie można go unikać.

— Nie sądziłam, że spytasz — powiedziała w końcu.

Jej głos był spokojny. Nieobojętny, nie chłodny. Po prostu... spokojny. Jakby już nie chciała walczyć. Jakby rozumiała, że odpowiedzi nie trzeba krzyczeć — wystarczy, że trafi tam, gdzie powinna.

— Widziałam, jak pękały szyby. Słyszałam ściany, które jęczały. Czułam, jak magia, której nie miałyście używać... rozsadza fundamenty szkoły, jakby chciała przypomnieć, że budynek nigdy nie był na was gotowy.

Zamilkła. Nie z powodu strachu. Z powodu szacunku — do tego, co się wydarzyło. Do tego, co jeszcze mogło się wydarzyć.

— I tak. Nadal uważam, że nie jesteście tylko cieniami.

Jej wzrok powędrował ku pustce korytarza. Jakby wciąż widziała tam cień Meadow. A może po prostu patrzyła w miejsce, w którym kiedyś sama zaczęła swoją drogę.

— Wiesz... kiedyś naprawdę wierzyłam, że wszystko można zmieścić w lustrach. Że opowieść, która boli, może być odbita, aż przestanie ranić.

Jej głos lekko zadrżał.

— Ale nie wasza. Wasza bolała nawet wtedy, gdy nie patrzyłyście na siebie.

W końcu odwróciła głowę. Spojrzała na Sonatę — nie jak przeciwniczka, ale jak siostra chaosu. Równa jej. Nie lustro. Nie cień.

— To, co zrobiliście... nie było dobre. Ale było prawdziwe. I to jest coś, czego nie potrafił Discord. Czego nie potrafiły lustra.

Jej kopytko delikatnie dotknęło kamiennej posadzki. Stuknęła w nią raz — ledwie słyszalnie, ale wystarczająco, by kurz zatańczył.

— Prawda nie zawsze naprawia. Ale zatrzymuje pęknięcie. Choćby na chwilę.

Zamyśliła się. A potem dodała:

— Pustka, którą dostałyście... nie była karą. Była przestrogą. Ale też... szansą. I pytaniem.

Teraz jej głos był delikatniejszy. Prawie jak szept, ale niósł się wyraźnie.

— Czy umiecie przestać śpiewać nie dlatego, że ktoś was zmusił... tylko dlatego, że same chcecie?

Spojrzała w oczy Sonaty. Nie błagała. Nie osądzała. Po prostu była. Obecna. Gotowa usłyszeć odpowiedź.

— Jeśli odpowiesz na to pytanie... będę wiedziała, czy zasłużyłyście na lustro.

Zawiesiła głos.

— Ale nie wcześniej.

Sonata patrzyła w oczy Iris. Przez chwilę milczała, jakby szukała właściwego słowa.

— Screwball... — zaczęła, lecz urwała. Powietrze między nimi było gęste od wspomnień.

— Ja... ja cię... ciężko mi cię zrozumieć, księżniczko chaosu — powiedziała w końcu cicho. — Przecież wiesz, że nasza pieśń zamilkła, prawda? Została zakneblowana...

Zawiesiła głos, jakby nie wiedziała, czy wypowiedzane słowa naprawdę należą do niej.

— Dotąd nie wiem, jak ty to przewidziałas, mówiąc mi wtedy...

Nie kończąc, wyciągnęła dwa lusterka i ustawiła je tak, by obie mogły zobaczyć swoje odbicia.

W lustrze Sonata nadal wyglądała dumnie. Jej ogon błyszczał, a uśmiech miał ten figlarny, pewny wyraz — taki sam jak wtedy, po koncercie, gdy rozmawiały przed drzwiami akademika. Ale to było tylko odbicie. Klaczka siedząca obok Iris już tak nie wyglądała.

— Powiedziałaś mi wtedy...

W tej samej chwili tafla lusterka zafalowała. Obraz przestał być odbiciem teraźniejszości. Ukazało się wspomnienie — nie jako złudzenie, ale jako fragment prawdy. Scena z korytarza, pośród ich własnych kroków, gdy jeszcze były czymś więcej niż ciszą.

Iris stała wtedy naprzeciw Sonaty. Jej głos był cichy, ale niósł się wyraźnie, z pewnością.

— *Nie jesteś taka mądra, jak ci się wydaje. Jeśli naprawdę myślisz, że to wszystko tylko wina Camel... to chyba zapomniałaś, jak działa chaos.*

Jej uśmiech był łagodny, ale każda litera niosła ciężar szkła.

— *On nie tworzył córek, Sonata. On tworzył odbicia. Krzywe. Błyszczące. Czasem piękne. Czasem przerażające. I Camel, i ja... byliśmy jego próbami. Ale wiesz co?*

Zrobiła krok bliżej. Już nie szeptała. W jej oczach nie było gniewu. Była decyzja. Była prawda.

— *My przestałyśmy być odbiciami.*

Spojrzała wtedy na Meadow — milczącą, nieruchomą.

— *A ty nadal jesteś echem. Słodką nutą, która nie potrafi przestać brzmieć.*

Camel skinęła głową. Iris spojrzała na Sonatę jeszcze raz — nie z nienawiścią, ale z czymś o wiele groźniejszym: ze współczuciem.

— *Twój głód cię zjada, Sonata. Ale nie martw się. Spotkamy się tam, gdzie kończą się piosenki.*

Potem odeszła.

Lusterko zadrżało, a obraz zniknął, pozostawiając jedynie ciche odbicie dawnej, pewnej siebie Sonaty.

— Jak ty to przewidziałaś? — spytała cicho Sonata, wciąż patrząc w tafłę szkła. — Że wszyscy skończymy w jednym miejscu, gdzie kończą się piosenki? Ja... ja nie czuję się jak odbicie. Bardziej jak cień tego, co pokazuje ci i mnie to lustro...

Iris milczała, zapatrzona w swoje własne odbicie. Jej spojrzenie nie było już ostre. Nie cięło szkła. Ono je znało. Wiedziało, gdzie pęka, gdzie udaje.

— Bo wiedziałam, gdzie kończy się pieśń, Sonata — odpowiedziała w końcu.

Odwróciła lekko głowę, nie od lustra, ale od wspomnienia. Od własnego głosu sprzed tamtej chwili. Jakby ciężar tamtych słów dopiero teraz naprawdę do niej dotarł.

— To nie była przepowiednia. To nie była magia. To było... coś, co poznałam, gdy sama przestałam śpiewać. Gdy zrozumiałam, że najgorszy moment w chaosie nie jest wtedy, kiedy wszystko płonie... tylko wtedy, gdy wszystko cichnie.

Lustro zadrżało jeszcze raz. Odbicie Sonaty — pełne życia, wigoru, dumy — utrwaliło się. Tak bardzo różne od tej klaczki, która siedziała tuż obok.

— Nie jesteś tylko cieniem, jeśli widzisz to, co pokazuje ci lustro. Ale jeśli zaczniesz wierzyć, że tylko ono pokazuje prawdę... wtedy cień rośnie.

Iris odwróciła się do Sonaty. Delikatnie. Jakby nie chciała jej zranić samym spojrzeniem.

— Ja też kiedyś widziałam w sobie tylko cień. Kiedy wszystko we mnie przestało działać, a spirale przestały świecić... myślałam, że już mnie nie ma. Że byłam tylko sztuczką Discorda. Czymś, co przestało być potrzebne, gdy spektakl się skończył.

Zbliżyła lekko kopytko i dotknęła ramienia Sonaty — nie siłą. Obecnością.

— Ale wiesz, kiedy poczułam, że żyję?

Nie kiedy odzyskałam magię. Nie kiedy wybudziłam pierwsze dziecko.
Tylko wtedy, kiedy jedno z nich powiedziało: „Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.”

Jej głos był miękki, spokojny — brzmiał jak coś, co nie musi już być udowodniane.

— Ty nie jesteś echem, Sonata.

Ale musisz sama zdecydować, czy chcesz przestać być refrenem.
Bo piosenka, nawet najpiękniejsza... jeśli ją powtarzasz bez końca, staje się więzieniem.

Patrzyła teraz na nią cicho. Nie oczekiwała odpowiedzi. Ale była gotowa jej wysłuchać.

— To, co ci wtedy powiedziałam... nie było oskarżeniem.

To było zaproszenie.

Tam, gdzie kończą się piosenki... może wreszcie zacząć się opowieść.
Twoja. Jeśli zechcesz ją opowiedzieć — nie z nut, ale z serca.

— Ale... nasza pieśń była z serca — wyszeptała Sonata.

Jej głos był cichy, jakby bała się, że każde słowo może poruszyć kurz wspomnień, który jeszcze nie opadł. Przez chwilę nie patrzyła na Iris — tylko przed siebie, w taflę lusterka, która ciągle odbijała zniekształcony blask tego, co było.

— Naprawdę miałyśmy już dość... dość opowiadania i słuchania opowieści o bohaterach. Młilo nas. Więc ruszyłyśmy po was.

Uśmiechnęła się gorzko, bez radości.

— To ironia, prawda? Byłyśmy trio chaosu. Zupełnie jak wy. Ale zamiast wznieść się ponad, chciałyśmy skończyć z własnym odbiciem.

Wskazała kopytkiem lusterko.

— Wasza trójka była naszym odbiciem. Nasze trzy filary — jakby odbite w lustrze — były waszymi. To... to musiało być to. Gdy się starłyśmy... zburzyłyśmy taflę.

Zacisnęła zęby. Na moment jej głos zadrżał.

— A jednak... najbardziej boli to, że gdybym się nie włączyła... Gdybym utrzymała choć jeden filar... to metaforyczne lustro by nie pękło. A odbicie waszego świata — którym był nasz... ono by przetrwało.

Zamilkła. Po raz pierwszy w jej słowach nie było tylko dumy, ani goryczy. Była też pokora.

— Do tej pory myślę, że to był mój błąd.

Tak jak błędem Camel było to, że załatwiła własnego ojca... i zaczęła to wszystko.

Ona zaczęła, a ja, najwyraźniej... skończyłam.

Iris nie odwróciła wzroku. Nie zaprzeczyła. Nie uniosła głowy. Po prostu była. Obok niej. Z jej szeptem. Z jej drżeniem. Z jej winą.

— Wiem, jak to boli, kiedy patrzysz na zgliszcza... i widzisz w nich własne kopytka — powiedziała łagodnie.

Jej głos był jak oddech — taki, który puszcza dopiero wtedy, gdy zbyt długo był wstrzymywany.

— Wiesz, kiedy zrozumiałam, że nie da się cofnąć odbicia?

Spojrzała na lustro. Odbicie wciąż tam było — ich dwie, nieruchome, a jednak pełne zmian.

— Kiedy spróbowałam wymazać swoje. Naprawdę. Byłam gotowa zniknąć z każdego lustra.

I wtedy... jedno z dzieci, to które myślałam, że zawiodłam, dotknęło szkła. I powiedziało: „Ale ja cię widzę.”

Przez chwilę patrzyła w tę samą taflę co Sonata. Obraz był złudnie piękny, mimo że obie były już inne. Mimo że ich światy się rozpadły.

— Może faktycznie nasze tria były lustrami. Może się nawzajem odtwarzałyśmy. Ale wiesz, co różni odbicie od życia?

Zamilkła, pozwalając, by pytanie zawisło w ciszy.

— To, co się z nim robi, kiedy tafla pęka.

Jej głos złagodniał — nie z ulgi, lecz z obecności.

— Camel... nie zabiła ojca. Zatrzymała potwora.

A ty... nie zniszczyłaś świata. Po prostu przestałaś w niego wierzyć.

Może dlatego on się rozpadł.

Odwróciła się od lustra. Teraz patrzyła tylko na Sonatę.

— Wieczność to nie klątwa, bo trwa. To klątwa, bo pamięta.

Zatrzymała się, a w jej oczach pojawiła się delikatność — nie litość, lecz uznanie.

— I ty pamiętasz, Sonata.

Pamiętasz swój błąd. I dlatego... już nim nie jesteś.

Uśmiechnęła się. Ledwie widocznie. Jakby bała się, że zbyt mocny gest mógłby coś rozsypać.

— Może wszystko, co zostało po naszych piosenkach i odbiciach... to popiół i żal. Ale jeśli potrafimy razem usiąść przy nim i nie odwracać się od własnych błędów...

Zniżyła głos. Brzmiał teraz jak ciepło.

— To znaczy, że jeszcze coś w nas gra.

Spojrzała na Sonatę z bliska. Nie z wyższością. Nie z dystansem. Ze zrozumieniem.

— Nie skończyłaś tego, Sonata.

Tylko... przerwałaś refren.

Może po raz pierwszy.

Nie powiedziała już nic więcej. Ale i nie musiała. Bo cisza, która zapanowała, nie była już karą. Nie była przepaścią. Była przestrzenią — życiem — odbiciem, które może się zmienić.

— Czyli... czyli mówisz... że zasługujemy na lustro, jeśli jeszcze raz, jakimś cudem, spróbujemy to powtórzyć?

Sonata przełknęła ślinę. Jej głos był drżący, ale nie ze strachu — z napięcia, jakie budzi prawda, która być może już od dawna czai się tuż za rogiem świadomości.

— To dlatego ta klaczka, Arabella, je dostała? Bo nie słuchała swoich błędów? Bo zapętlila się w sobie?

Zacisnęła zęby. Widziała to oczami pamięci, tak wyraźnie, że aż zabolęło.

— Z jej słów zrozumiałam tyle, że w kółko przeżywała to samo.

Spojrzała w bok. Na ścianę, na cień, który może kiedyś był cieniem śpiewu.

— Ale ja już to przeżywam, Iris.

Jej głos spadł niemal do szeptu.

— Widzę przed pyszczkiem obraz pękających koralowych wież. Zapadające się domy. Sztorm chaosu, który niszczył nasz dom... bo przestałyśmy nad nim panować. Bo przestałyśmy śpiewać z serca. Bo głos... odszedł.

Iris nie uciekła od pytania.

Nie zmrużyła oczu. Nie odwróciła wzroku. Wpatrywała się w Sonatę z intensywnością, która nie raniła, lecz ogarniała — jak światło rozpraszające mrok, nie ogniem, lecz prawdą. Patrzyła tak, jakby widziała nie tylko tę jedną klaczkę... ale każdą z jej możliwych wersji. I każdą, którą udało jej się nie zostać.

— Nie chodzi o karę, Sonata — powiedziała cicho, a jednak z mocą, która nie potrzebowała krzyku. — Lustro nie jest więzieniem. Nie jest klątwą.

Zawiesiła głos na oddechu, który zawierał więcej niż wszystkie słowa.

— Jest... ostatecznym pytaniem.

Nie spojrzała na lustro, tylko na nią — jakby właśnie teraz decydowało się, co w tej tafli się odbije.

— Arabella nie trafiła do lustra dlatego, że popełniła błąd. Trafiła tam, bo nie chciała go widzieć.

Bo każdą myśl, każdy żal, każdy wstyd — zaklepywała uśmiechem.

Jak błyszczącą farbą na pęknięciu.

Zamilkła. Ale nie po to, by zostawić ranę otwartą. Tylko po to, by jej dotknąć — nie bolało już tak samo, jeśli ktoś trzymał cię za obecność.

— Aż w końcu... sama się w tym odbiciu zgubiła. I... zapętlila.

Iris spojrzała łagodniej. Jak na siostrę. Jak na uczennicę. Jak na kogoś, kto zadał pytanie, które naprawdę wymaga odwagi.

— A ty... już widzisz.

— Już przeżywasz.

— Już słyszysz, jak twoje własne myśli próbują śpiewać to od nowa... i już ich nie naśladujesz.

Położyła kopytko obok tego Sonaty. Nie dotykając. Ale blisko. Jak echo, które wreszcie nie chce wracać, tylko słuchać.

— To nie pustka jest karą, Sonata.

To zamykanie oczu, kiedy już się widziało.

Zamilkła na chwilę — krótką, lecz pełną znaczenia.

— Jeśli spróbujesz powtórzyć...

Jeśli naprawdę zamkniesz serce i zdecydujesz się nie słuchać...

Zadrżał jej głos, ale nie ze strachu. Z troski.

— Wtedy lustro nie będzie ci dane.

Ono cię po prostu złapie.

Jak echo, które wraca tylko dlatego, że nie umiało zostać ciszą.

Westchnęła. Nie ciężko. Nie dramatycznie. Po prostu głęboko — jak ktoś, kto od lat nosił te słowa i teraz wreszcie je wypuszczał.

— Ale wiesz co?

Spojrzała na nią z uważnością, która nie była już przeszłością, lecz obecnością.

— Ty już nie jesteś tą, która śpiewa bez słuchania.

— Nie jesteś refrenem.

— Nie jesteś echem.

W lusterku coś się zmieniło. Po raz pierwszy odbicie nie przypominało wspomnienia. Nie grało tej samej melodii co dawniej. Odbijało dwie klawiszki. Jedną, która już przestała być tylko duchem spirali. I drugą, która być może właśnie po raz pierwszy — nie uciekała.

— Jeśli pamiętasz ten sztorm... to znaczy, że już się z niego nie składasz.

Jej głos był jak świt. Bez hałasu. Bez fanfar. Po prostu obecny.

— A to... to jest początek, nie koniec.

— Ja... ja pamiętam tę destrukcję bardzo dokładnie...

Sonata nie mówiła tego, by wzbudzić współczucie. Mówiła, jakby próbowała uchwycić dźwięk, który wciąż rezonował gdzieś w jej wnętrzu. Dźwięk tamtej chwili. Tamtego końca.

— Tak dokładnie jak naszą pieśń, która wstrząsała fundamentami budynku. Jak przerażenie na twoim pyszczku, kiedy patrzyłaś na nas na scenie.

Zawahała się na ułamek sekundy, ale nie po to, by ukryć prawdę. Tylko by ją lepiej usłyszeć.

— Nawet widok Screwball... która stała pośrodku tłumu i patrzyła na nas. Bez ani drżenia kopytek. Twoje echo nie dało się przerazić. A ja czułam wtedy, jak po prostu na mnie patrzy. Bez strachu...

Iris nie zaprzeczyła. Nie próbowała uciec od tego wspomnienia. Nie wypierała jego siły.

Pozwoliła mu po prostu być. Przepłynąć. Jak fala, która przynosi coś więcej niż zniszczenie — coś, co musiało zostać wypowiedziane.

— Tak. Patrzyłam.

Jej głos był łagodny. Bez obrony. Bez zasłon.

— Nie dlatego, że nie byłam przerażona... ale dlatego, że już wiedziałam, jak wygląda koniec. I wiedziałam, że nie mogę cię wtedy dotknąć strachem. Bo strach... tylko dokarmia piosenki, które nie chcą umrzeć.

Powoli, prawie nieśmiało, przesunęła kopytko i symbolicznie dotknęła boku Sonaty. Nie z siłą. Z obecnością.

— Nie bałam się ciebie. Ale bałam się... że naprawdę myślicie, że to jest wasza ostatnia pieśń. Że to jest wasz głos. Że jeśli go stracie — nic z was nie zostanie.

Przymknęła oczy, jakby słyszała tamtą nutę znów — starszą niż echo, cichszą niż wina.

— Screwball patrzyła wtedy na was tak, jak kiedyś patrzyła na mnie. Bez dźwięku. Bez oceny. Bo знаła ten ból. Pamiętała, jak to jest... trzymać w pysku ostatnią nutę, bo boisz się, że po niej już będzie tylko cisza.

Otworzyła oczy. I spojrzała już nie na przeszłość, ale na Sonatę — prawdziwą, drżącą, żywą.

— Ale Sonata... cisza nie musi być końcem.

Wskazała lustro. Ich odbicia wciąż tam były — nie sztywne, nie martwe. Jakby zaczynały oddychać. Jakby wreszcie mogły się zmienić.

— Jeśli tamta pieśń zamilkła... może to nie był koniec. Może to był tylko oddech między wersami.

Zatrzymała głos na oddechu.

— A teraz... jeśli chcesz... możesz zaśpiewać coś innego.

I spojrzała — nie jak strażniczka, nie jak świadek — jak siostra. Jak równorzędna dusza, która wie, że pieśń to coś więcej niż dźwięk.

— Nie każda nuta musi brzmieć głośno. Czasem najważniejsze pieśni są szeptane. Tylko do siebie. Tylko raz. Ale zostają... na zawsze.

Ale Sonata nie odpowiedziała. Nie dlatego, że nie miała słów. Po prostu... znów zanurzyła się w tamto wspomnienie.

I lustro odpowiedziało.

Korytarz pachniał kurzem, emocją... i magią chaosu tak intensywną, że każda istota czująca choć cień jego melodii mogła poczuć zawrót głowy.

Czerwone światło sceny jeszcze nie zdążyło opaść z ich grzbietów. Echo pieśni krążyło w powietrzu jak dym — gęsty, sycący. Przesiąknięty decyzją. Czuły to pod skórą. Czuły to w gardle. Potworny głód, który przez tyle czasu drążył ich dusze... wreszcie nasycony.

— Jeszcze nigdy wcześniej nie czułam się tak żywa — zachichotała Sonata, wspominając. — Jak wtedy, po tej pieśni... tej jednej, którą wydałyśmy z całych sił. Nie tylko z płuc. Z duszy.

Na jej pysku pojawił się dawny, pewny, błogi uśmiech.

— *To nasza szansa — powiedziała wtedy Adagio. Miętko. Ale z ciężarem ostateczności. — Wystarczy jeden występ. Jedna pieśń. I wszystko, co budowałyśmy... stanie się ciałem.*

Sonata leżała na trawie. Obracała w pysku czerwony kryształ.

— *Dzwon, siostry. Nasz Dzwon Pamięci. Każde wspomnienie, które zabrałyśmy... to dźwięk. Każda opowieść, którą połknęłyśmy... to nuta. Występ przed całą szkołą da nam ich więcej niż wszystkie sny razem wzięte.*

— *I więcej rozgłosu. Więcej uwagi. Więcej narażenia — warknęła Aria, z niechęcią.*

Adagio patrzyła już daleko — jakby widziała ten dzwon, zawieszony głęboko w Aquatice, gotów wybrzmieć raz. Potężnie. Ostatecznie.

— *To nie będzie zwykły koncert. To będzie rytuał. Nie musimy wygrać. Wystarczy, że nas usłyszą. Że przez chwilę... uwierzą w każdą nutę.*

Sonata przewróciła się na plecy i wpatrzyła w gwiazdy.

— *Czy ktoś poza nami jeszcze pamięta... że pieśń może zniszczyć świat?*

Adagio położyła kopytko na trawie i uśmiechnęła się bez słów.

— *Dlatego zagramy ją raz. Doskonale. A potem... wrócimy.*

— *Nie do świata — dodała Aria. — Do głębin. Do ciszy.*

Sonata, siedząca teraz obok Iris, spojrzała w lusterko, gdzie właśnie wybrzmiało to wspomnienie. Jej głos był cichy. Już nie bluźnierczy. Nie zuchwały.

— *To ironiczne, że Aria sama to wtedy powiedziała...*

Zamilkła na chwilę. Wzięła wdech.

— *Choć to ja chciałam to powiedzieć, Screwball. Miałyśmy zrobić swoje... i odejść w zapomnienie. A dla świata... to miał być koniec pieśni.*

Iris wciągnęła powietrze bardzo powoli. Jakby każde z tych słów znała. Jakby słyszała je kiedyś... ale z innego pyska, w innym czasie. W innym życiu.

Zamknęła oczy. A gdy je otworzyła, nie było w nich sądu.

Było tylko jedno: pamięć.

— *Nie zapomniałam.*

Jej głos był miętki. Nie łagodny z litości — ale z uczestnictwa. Z przynależności do tej samej nuty.

— Wiem, co znaczy pieśń, która miała być końcem. Wiem, jak to jest... kiedy świat nie słucha, a ty śpiewasz, bo musisz. Bo to wszystko, co ci zostało. Jedna nuta. Jedna chwila.

Spojrzała w lusterko. Na obraz Sonaty — tej figlarnej, pewnej, roziskrzanej. A potem... na klaczkę siedzącą obok.

Cichszą.

Bardziej obecną.

— Wiem, że pieśń może zniszczyć świat. Wiem... bo zniszczyła mnie.

Zatrzymała oddech.

— Ale wiem też coś jeszcze.

Spojrzała znów — nie na cień. Nie na syrenę.

Na dziewczynkę, która leżała kiedyś na trawie i marzyła o dzwonach pamięci.

— To nie występ was uratował. I nie porażka was złamała.
To, że chciałyście odejść w ciszę... ale zostałyście — to był akt odwagi.

Zbliżyła się oddechem. Czułością. Prawdą.

— A może... pieśń, która miała wszystko zakończyć... była tak naprawdę waszym pierwszym szeptem.

Nie krzykiem końca.

Ale prośbą o zapamiętanie.

Jej głos zadrżał.

— Bo nie chciałyście tylko zniknąć. Prawda?

Zamilkła na moment.

— Chciałyście, by ktoś usłyszał. I zapamiętał. Choć jedną z waszych nut.

I wtedy — bardzo cicho, ale bez wahania — Iris pochyliła głowę i szepnęła słowa, które nie miały zakończyć bólu.

Tylko go pobyc.

— Nie zapomnę.

Zatrzymała się na oddechu.

— Ani jednej.

— Więc... dlaczego wszystko popsułyście?

Głos Sonaty nie był już pełen ognia. Ale też nie był pusty. Przyszedł z miejsca głębszego niż złość. Miejsca, gdzie coś wciąż bolało.

— Padło jedno, proste pytanie...

Zawahała się, choć nie z niepewności. Z poczucia winy. Albo może: z tego, co po niej zostało.

— Dobra, wiem... Byłam okrutna dla Slice Leaf. Tej klaczki, z którą się „zaprzyjaźniłam”...

Zrobiła cudzysłów kopytkami. Nie drwiąco. Raczej z goryczą, której nie dało się już ukryć.

— By mnie polubiła. Mówiła mi o wszystkim. Zaufała mi.

Zacisnęła zęby.

— Ale skoro uważasz, że chcieliśmy tylko być słyszane... czemu popsuliście nasz plan?

Spojrzała na Iris z mieszaniną bólu i niezrozumienia.

— Świat miał usłyszeć raz nasz dzwon. Raz.
A potem... nie miało być nic więcej.

Zacisnęła gardło, zanim padły ostatnie słowa.

— Czemu poświęciliście nawet wasze własne moce, by to zatrzymać?
Przecież ty sama nie wierzysz w to, co mówisz, Screwball...
Gdybyście wierzyły... nie zatrzymałybyście tego, co chcieliśmy zrobić.

Jej głos był nagle bardzo cichy. Prawie szepczący.

— Chyba że wiesz... że nie tylko o to chodziło.

Iris nie odpowiedziała od razu.

Nie dlatego, że nie miała słów.

Ale dlatego, że rozumiała, jak wiele niosło ze sobą to pytanie. Że nie było tylko o Slice Leaf. O plan. O scenę.

To było pytanie o sens. O prawo do istnienia. O głos.

Kiedy w końcu przemówiła, jej głos był spokojny. Nie słaby. Nie zmęczony. Spokojny, jak echo, które zna swoją ścieżkę.

— Bo w pieśni, którą gra się raz... nie ma miejsca na drugą zwrotkę.

Spojrzała na Sonatę. Wprost. Bez gniewu. Bez litości.

Z czymś znacznie trudniejszym.

— Bo to nie był tylko wasz dzwon. To były wspomnienia innych. Ukradzione. Przemienione.

Westchnęła.

— Każde dziecko, które czuło się słabsze przez to, co wzięłyście... ono też śniło. Ale bez głosu.

Nachyliła się nieco. Nie po to, by dominować. Ale by być bliżej.

— Wiem, co to znaczy chcieć jednego aktu. Jednego momentu, który ma być wszystkim.

Sama byłam tym momentem.

Discord też.

Camel też.

Zamknęła oczy. Mówiła już nie do świata. Do niej.

— Ale wiesz, co się dzieje, gdy zrobisz coś tak wielkiego, że nic już nie może po tym nadejść?

Cisza.

— Nie zostaje nic.

Otworzyła oczy. Spojrzała na lustro. Na odbicie Sonaty z uśmiechem sprzed tragedii.

A potem... na nią samą.

— Nie zatrzymałyśmy waszej pieśni, bo nie chciałyśmy was usłyszeć.

Zamilkła tylko na oddech.

— Zatrzymałyśmy ją... bo chciałyśmy was ocalić.

Zamrugnęła, jakby ciężar tych słów sam ją przygniatał.

— Bo wasz plan nie był końcem piosenki.

Był końcem was.

Spojrzała na nią głęboko, cicho, z taką empatią, która nie potrzebowała łez.

— A na to... nawet chaos nie umie patrzeć obojętnie.

Wysunęła lekko kopytko i przesunęła je po podłodze, aż dotknęło kopytka Sonaty. Nie po to, by zatrzymać.

Po to, by być.

— A ty, Sonata... ty nie chciałaś zamilknąć. Nie naprawdę.

Jej głos był teraz prawie szeptem.

— Bo gdybyś chciała... nie siedziałabyś teraz obok mnie. Z lusterkiem. Z pytaniami. Ze wspomnieniami.

Zamilkła na moment.

Ale ostatnie słowa powiedziała bardzo wyraźnie. Nie jak zakłęcie. Nie jak wyrok.

Jak uznanie istnienia.

— Bo cień, który zadaje pytania... to cień, który jeszcze żyje.

— A w twojej Galerii... cienie zamierały...

Głos Sonaty był cichy, niemal senny, jakby wypływał z samego dna wspomnień. Siedziała naprzeciw Iris i przez dłuższą chwilę patrzyła na nią bez słów, aż w końcu podsunęła jej kawałek papieru.

— Pamiętasz, że kiedyś pisałaś pamiętniki?

To nie było oskarżenie. To była prawda, którą trzeba było nazwać.

Iris spojrzała na kartkę.

Na pierwszy rzut oka wyglądała jak zwykły, pożółkły fragment zapomnianej przeszłości — ale pismo na nim... Pismo dziecka. Pismo pisane kopytkiem, drżące, niedojrzałe, a mimo to uderzająco znajome. Litery były nieco rozmazane, niektóre ledwie czytelne, jakby atrament próbował ukryć, jak dawno temu zostały napisane. Kilkanaście, może trzydzieści lat. A może więcej. Dla istot chaosu czas nie miał znaczenia.

Tak samo jak dla cieni i odbić, które wciąż dryfowały w Galerii.

Na papierze widniało:

***„Nie wiem, kiedy to się zaczęło. Może wtedy, gdy pierwszy raz zauważyłam, że w moim lustrze nie odbija się już ona. Moja pierwsza przyjaciółka. Ta odważna klaczka, którą zatrzymałam... żeby nie była sama. Żebyśmy obie nie były same.*

Przez długi czas słyszałam jej głos. Cichy, miękki, trochę smutny. Rozmawiałyśmy — przynajmniej tak mi się wydawało. O jej mamie, o tym, co lubiła. O smaku gorących jabłkowych placuszków.

Ale potem jej głos zaczął się zmieniać. Stawał się coraz bardziej... mój.

Pewnego dnia zapytałam:

— „Chcesz wyjść?”

*A ona nie odpowiedziała. Już nie pamiętała, jak się mówi „ja”.
Była tylko odbiciem. Moim cieniem.*

*I wtedy poczułam coś, czego wcześniej nie znałam. Pustkę.
Nie radość, że mam kogoś przy sobie, ale strach, że ona zniknie — że w końcu zostanę sama.*

*Tata powiedział wtedy:
— „Tak już jest, Screwy. Odbicia nie żyją długo. Musisz szukać nowych.”*

*Nie chciałam nowych.
Chciałam jej.*

*Ale ona już nie była sobą.
Patrzyła na mnie tymi samymi spiralnymi oczami co ja.
Uśmiechała się tym samym uśmiechem.*

To nie była przyjaciółka. To byłam ja.

I ja tego nie chciałam.

*Od tamtej pory zaczęłam się bać.
Bałam się, że każde lustro jest tylko chwilowe.
Że każdy, kogo „zatrzymam”, rozplynie się i zniknie, jakby nigdy nie istniał.*

*Więc próbowałam bardziej.
Mocniej wtulałam się w ich wspomnienia, mocniej oplatałam ich myśli, aż nie wiedzieli, co jest ich, a co moje.
Bo jeśli staną się mną...
To przecież nie mogą odejść, prawda?*

Ale to wcale nie działało.

To nigdy nie było to samo, co prawdziwy dotyk, ciepło kogoś, kto obejmie cię, bo chce, a nie dlatego, że musiałeś go zamknąć w szklanej bańce.

*Pamiętam, jak tata chwalił mnie za każdą nową „zabawkę”, jak to nazywał.
A ja śmiałam się razem z nim, choć w środku bolało.*

*Bo wiedziałam, że żadna z tych dusz nie była naprawdę ze mną.
One tylko patrzyły moimi oczami, oddychały moim rytmem.*

*Ale nie mówiły „tak, jestem twoją siostrą”, tak jak ja tego pragnęłam.”***

Sonata wciąż patrzyła, spokojnie, ale z cieniem czegoś, co nie było ani szyderstwem, ani złośliwością. To było współodczuwanie. Odwróciła się lekko i westchnęła:

— Wiesz?

Zawahała się, ale powiedziała to mimo wszystko.

— Gdy moja siostra Aria zajęła się tobą u nas... nie trzeba było zmyślać.

Jej głos stał się ledwie słyszalny.

— Nie byliśmy wcale aż tak różne.

Po chwili ciszy zapytała już całkiem prosto:

— To dlatego aż tak nas rozumiesz?

Zacisnęła wargi.

— Bo nasza czwórka robiła potworności?

Iris nie odpowiedziała od razu. Jej oczy wciąż tkwiły w kartce. Nie jak w dowodzie winy — ale jak w oddechu, który wreszcie został wypuszczony. Jakby ta pamięć żyła w niej przez wszystkie te lata... i wreszcie została zauważona.

A potem skinęła lekko głową.

— Tak. To moje.

Nie zaprzeczyła. Nie próbowała wycofać się z tego, kim była. Tylko przyjęła to. Z całym ciężarem.

— Pamiętam ją. Moją pierwszą przyjaciółkę. Pamiętam, jak trzymałam ją przy sobie, jak tuliłam w lustrze... aż w końcu nie zostało z niej nic poza mną.

Położyła kartkę ostrożnie przed sobą, jakby była czymś świętym.

— I tak, Sonata... rozumiem was, bo sama przez to przesłam.

Nie było w jej słowach usprawiedliwienia. Tylko zgoda. Świadoma, bolesna — ale bez ucieczki.

— Wiem, co znaczy stworzyć świat tylko po to, by kogoś w nim zatrzymać.
Wiem, co znaczy zagłuszyć pustkę magią i śmiechem.
Wiem, co znaczy nie chcieć nowego odbicia — tylko jednego.
Tego, które się utraciło.

Jej spojrzenie złagodniało.

— Nie robiliście potworności dlatego, że byliście potworami.

Westchnęła głęboko, ale bez rezygnacji.

— Robiliście je, bo chcieliście przetrwać. Tak jak ja.

Między nimi zapadła cisza. Ale nie była to cisza osądu. Raczej rozpoznanie — z tych najgłębszych.

— Nie dlatego was rozumiem... że cztery klaczki zrobiły coś strasznego.

Zbliżyła wzrok do niej. Do prawdziwej Sonaty.

— Rozumiem was, bo żadna z nas nie zaczęła jako potwór.

Przymknęła powieki.

— Zaczęłyśmy jako dzieci.

A potem, bardzo cicho:

— Każda z nas chciała tylko być kochana.

W ciszy padły ostatnie słowa — najprawdziwsze.

— I każda z nas nauczyła się... jak bardzo można skrzywdzić, gdy się tego pragnie zbyt rozpaczliwie.

◆ Komentarz Autorski ◆

To jedna z najtrudniejszych scen w całej opowieści — nie dlatego, że wywołuje łzy, ale dlatego, że zmusza do konfrontacji z samym sercem chaosu. Chaos w tej historii nie jest po prostu destrukcją. Jest potrzebą więzi, która poszła za daleko. Jest głodem miłości, który zamienia się w więzienie.

Kartka z pamiętnika Screwball/Iris to echo wszystkich dzieci, które próbowały zatrzymać kogoś, kto je opuścił — za pomocą snu, wspomnienia, lusterka, śmiechu, piosenki... I choć forma bywa inna, rdzeń pozostaje ten sam: Nie odchodź. Proszę.

Sonata nie potrzebowała wtedy odpowiedzi, tylko obecności. A Iris, kiedy mówi: "Nie zaczęłyśmy jako potwory", nie wybiela przeszłości. Ona ją uznaje. A to trudniejsze i ważniejsze niż przebaczenie.

Bo prawdziwy koniec pieśni... nie polega na jej zakneblowaniu.

Prawdziwy koniec pieśni to moment, kiedy wreszcie słyszysz ciszę — i już się jej nie boisz.

Rozdział 40 – Rosalyn – ostatni cień

Galeria Luster była cicha.

Nie dlatego, że nikt w niej nie krzyczał. Ale dlatego, że nikt już nie potrzebował odpowiadać. Echo milczało, bo nie miało do czego wracać.

Wśród pustych korytarzy, wśród tafli, które nie odbijały niczego — ani snów, ani dzieci — stała Rosalyn.

Nie poruszała skrzydłami.

Nie dlatego, że nie mogła.

Ale dlatego, że *nie było dokąd lecieć*.

Jej spojrzenie było łagodne. Jakby pogodziła się z tym, co było — i z tym, co nie wróci.

Na jej szyi wisiała szklana zawieszka bez odbicia. Dawniej świeciła światłem każdego dziecka, które przeszło przez galerię.

Teraz była przezroczysta.

Rosalyn nie płakała.

Nie zadawała pytań.

Nie czekała.

Po prostu była.

— Skończyłam — powiedziała cicho, zwracając się nie do lustra, ale do samej siebie.
— Wszystkie opowieści zostały wysłuchane. Wszystkie dzieci... już nie potrzebują cieni.

Obok niej unosił się pył. Drobinek wspomnień. Niespełnionych wizji. Szklanych słów, których nikt nie wypowiedział.

Galeria nie płakała.

Ale rozumiała.

Rosalyn pochyliła głowę. Jak strażniczka zamykająca drzwi świątyni, w której nie ma już bogów.

— Nie jestem lustrem — szepnęła. — Ale mogę zostać cieniem.
Nie dla nich. Dla tych, którzy zapomnieli, że kiedyś też byli dziećmi.

Jej sylwetka zaczęła migotać.

Nie znikwała.

Zmieniała się.

Nie w światło.

Nie w cień.

W obecność.

W to, co zostaje...
kiedy nie zostaje już nic.

W dalekim świetle, gdzie światło wpadało przez okna szkoły, a dzieci odrabiały lekcje, jedno z lusterek na strychu pękło.

Nie w strachu.
Nie w gniewie.
Ale jakby westchnęło. I odpoczęło.

Rosalyn została.

Nie dlatego, że ktoś ją zatrzymał.

Ale dlatego, że sama wybrała zostać tym,
czego nikt już nie woła —
ale co zawsze słyszy.

Rozdział 41 – Powrót do szkoły

Szkoła wyglądała tak samo.

A jednak... nie była już ta sama.

Słońce znów wpadało przez szybę w głównym holu. Uczniowie w pośpiechu wpadali na siebie, gubili zeszyty, zapominali drugiego śniadania. Nauczyciele marudzili pod nosem. Dzwonek dzwonił o pół minuty za głośno. A gdzieś na trzecim piętrze nadal przeciekała rura.

Było zwyczajnie.

Prawie.

Na murze przy bocznym wejściu ktoś napisał kredą:

„Gdzie jest Camel?”

Ktoś inny, innym kolorem — może tym samym, może chwilę później — dopisał:

„Tutaj. Zawsze.”

Meadow zatrzymała się przy tym napisie.

Nie wytarła go.

Nie poprawiła.

Tylko patrzyła.

Na szyi miała nadal nasionko chaosu. Już nie świeciło. Już nie pulsowało. Ale było.

Camel też była.

Nie w murach.

Nie w klasie.

Ale w decyzjach.

W pamięci.

W tym, że nie wszystko da się wymazać.

Na tablicy ogłoszeń ktoś powiesił rysunek: klaczka z ognistą grzywą i oczami jak bursztyn. Obok niej — trzy inne sylwetki. Uśmiechnięte, nierówne, jakby rysowane drżącą łapką.

Podpisano:

„Dziękujemy, Camel. I wracaj.”

W klasie numer 12 dzieci już siedziały.
Sonata podawała zeszyty.
Aria sprawdzała, czy działa projektor.
Adagio — jakby nigdy nic — siedziała w kącie, notując coś bez końca w cienkim notesie.

Iris stała w drzwiach.
Nie mówiła nic.

Ale uśmiechnęła się, gdy Meadow odwróciła się przez ramię i powiedziała:

— Nie znikniemy.
Nie po tym wszystkim.

A Camel?

Camel była w nich.

W śmiechu, który nie bolał.
W decyzji, która nie wymagała walki.
W słowie: „zawsze”.

Rozdział 42 – Cztery siostry, jedna pieśń

Spotkały się bez zaproszenia.

Nie w Galerii. Nie w Aquatice. Nie we śnie.

Po prostu – w klasie numer 12, gdy dzieci poszły już do domów. Zeszyty były pozamykane, tablica czysta, a światło padało ukośnie przez okno, łagodnie złote. Tylko cztery klaczki. Bez mocy. Bez masek.

Iris. Meadow. Camel. Rosalyn.

Cztery siostry chaosu.

Nie było między nimi czarów.
Nie było luster.
Nie było już nawet chaosu – nie w takiej formie, jak kiedyś.

Była tylko cisza, której żadna nie przerywała.

Camel spojrzała na każdą z nich, powoli. Oczy jej lśniły – nie złotem, ale czymś cichszym. Czymś ziemskim. Jakby to był jej pierwszy dzień naprawdę. I ostatni.

— Nie zniszczyliśmy świata — powiedziała cicho, siadając na ławce. — Ale zmieniliśmy go. I to wystarczy.

Rosalyn usiadła obok niej. Już nie była echem. Miała ciało. Głos. Obecność.
— Chaos nie musi trwać wiecznie — szepnęła. — Wystarczy, że zostawi ślad.

Iris, z opuszczonymi uszami, wzięła głęboki wdech.
— Zawsze myślałam, że pieśń chaosu musi być głośna. Spiralna. Potężna.
Spojrzała na Meadow.
— Ale ty pokazałaś mi, że może być... cicha.

Meadow nie odpowiedziała od razu.
Dopiero po chwili.
— Nie chcę być strażniczką. Ani dziedziczką.
Podniosła wzrok.
— Chcę być... kimś, kto pamięta. I kto nie zapomni.

Przez dłuższy czas żadna się nie odezwała.
Potem Camel zaśmiała się krótko.
— To... może wystarczy.

Nie ułożyły zaklęcia.
Nie złożyły przysięgi.
Nie zatańczyły spirali.

Ale kiedy ich głosy, tak różne, tak połamane przez czas, przez pieśni, przez historie, spotkały się po raz ostatni...

...powiedziały jedno zdanie. Razem.
Nie wyrecytowane. Nie zaplanowane.
Po prostu – jakby każda znała je od zawsze.

— Nie próbuj zniszczyć chaosu. Usiądź z nim. I słuchaj.

I świat – choć odrobinę – naprawdę posłuchał.

Rozdział 43 – Opowieść do końca

W klasie było cicho. Nie dlatego, że nikogo nie było — ale dlatego, że **nikt nie próbował mówić pierwszy**.

Meadow siedziała przy biurku nauczycielki, chociaż nie lubiła tam siadać. To miejsce zawsze pachniało kredą i odpowiedzialnością. Ale dziś... było inne. Ciche. Trochę zakurzone. Trochę złamane.

Na blacie leżał zeszyt. Taki sam jak te, które rozdawano na początku roku. Tylko ten... był inny. Miał **poplamioną okładkę**, lekko przypaloną w rogu. Strony były jeszcze puste, ale już niosły w sobie ciężar — jakby same pamiętały wszystko, co miało zostać zapisane.

Meadow trzymała pióro w zębach. Nie pisała od razu.

Najpierw... słuchała.

Za oknem ktoś odłożył hulajnogę.
Ktoś inny krzyknął „Zaczekaj na mnie!” i przebiegł przez dziedziniec.
Gdzieś w kącie klasy spadła kropla z niedokręconego kaloryfera.
Zegar tykał, ale nie spieszył się.

Wreszcie Meadow zaczęła pisać.

„To nie jest historia o potworach.”
„To nie jest nawet historia o magii.”
„To historia o czterech siostrach, które przestały się bać.”

Kolejne zdania wypływały powoli. Każde z nich było jak oddech — wzięty głęboko, jakby nie wiedziała, czy starczy jej powietrza. Nie była pisarką. Nie była bohaterką. Ale miała głos.

I teraz postanowiła go użyć.

Kiedy dopisywała rozdział o syrenach, drzwi klasy skrzypnęły.

Iris weszła bez słowa. Usiadła przy oknie. Wpatrywała się nie w Meadow, ale w światło padające na podłogę. W jej oczach nie było spiral. Tylko zmęczenie... i coś, co można by nazwać spokojem.

Potem przyszła Rosalyn. Złożyła skrzydła tak, jakby nie były już jej ciężarem. Podeszła do tablicy, nie dotknęła kredy. Spojrzała na zapisany zeszyt i tylko skinęła głową.

Camel weszła ostatnia z sióstr chaosu. Bez płomieni. Bez gniewu. W oczach miała coś bardziej kruchego niż ogień — decyzję, która przetrwała.

I wtedy... pojawiła się też ona.

Sonata.

Nie w pełnym blasku. Nie jako syrena. Tylko... jako dziewczynka, która zgubiła pieśń. Usiadła przy drzwiach, trochę dalej od reszty. Ale nie uciekła.

Meadow pisała dalej.

„Niektóre z nas śpiewały, bo bały się ciszy. Inne walczyły, bo nie wiedziały, jak przestać. Ale wszystkie...”

Zatrzymała się. Spojrzała na nie.

— Wszystkie... — powiedziała na głos. — ...chciały po prostu być wysłuchane.

I wtedy coś się zmieniło. Nie w powietrzu. Nie w klasie. W nich.

Rosalyn podeszła do zeszytu i **dorysowała maleńką linię** pod ostatnim zdaniem.

Iris położyła przy nim **złamany smoczek** — ten sam, którego nigdy nie oddała nikomu.

Camel uśmiechnęła się bez słów i **zostawiła ślad popiołu**, lekki, niemal niewidoczny.

Sonata... długo się wahała. Ale w końcu podeszła. I na samym dole, małymi literkami, dopisała:

„Tu śpiewałam. Ale teraz... chcę słuchać.”

Meadow patrzyła na nie. Potem zamknęła zeszyt.

Ale nie związała go. Nie ukryła. Nie zabrała.

Zostawiła go **na środku klasy, na starym biurku**, pod miękkim światłem, które nie rzucało cienia.

I wyszła — nie jako dziedziczka chaosu.

Jako ta, która zapisała wszystko. Nie po to, by zakończyć. Ale po to... by ktoś inny mógł dopisać kolejne zdanie.

Rozdział 44 – Spiralny pomnik

Na środku szkolnego dziedzińca, tam gdzie kiedyś stała stara fontanna, wyrósł nowy punkt spotkań. Nie był wielki. Nie błyszczał magią. Nie miał wokół siebie żadnych zaklęć. A jednak każdy, kto przechodził obok, zwalniał kroku.

Cztery figury. Klaczki. Ramię w ramię.

Jedna z czapeczką przechyloną na bok i spiralnymi oczami, które patrzyły nie w przód, ale gdzieś w bok — jakby rozglądała się za kimś.

Jedna z wyciągniętym skrzydłem, choć nie miała już skrzydeł — tylko cień ich wspomnienia.

Jedna z zamyśleniem w oczach i maleńkim płomykiem we włosach, jakby przypomnieniem decyzji, która nie bolała, ale kosztowała wszystko.

Jedna z zeszytem przy sercu — otwartym, choć każda strona była czysta. Bo nigdy się nie kończył.

U ich kopytek leżał smoczek.

Nie zawieszony jak łańcuch. Nie zdeptany. Nie porzucony.
Po prostu... zostawiony.
Jak ślad, nie symbol. Jak pamiątka, nie ostrzeżenie.

Tabliczka mówiła:

„Nie próbuj zniszczyć chaosu. Usiądź z nim. I słuchaj.”

Dzieci przychodziły. Nie zawsze razem, nie zawsze w milczeniu.

Niektóre przysiadły w ciszy, wtulając się w plecak.
Inne czytały na głos własne opowieści.
Czasem ktoś zostawiał rysunek. Czasem liść. Czasem pytanie.

A kiedy słońce prześwitywało przez liście i cienie wydłużały się ku popołudniu, zdarzało się, że jedna z młodszych klaczek — z tą miną, jakby miała zdradzić największy sekret — siadała przed czterema siostrami i mówiła:

— A wiecie? Ja też miałam kiedyś... siostrzyczkę chaosu.

Epilog I – Świat bez śpiewu

Niebo nad szkołą było ciche.
Nie dlatego, że ktoś je uciszył — po prostu nikt nie krzychał. Żadnych pieśni rozsadzających rzeczywistość. Żadnych słów rzuconych jak ostrza. Tylko wiatr szeleszczący między liśćmi, jakby delikatnie przeglądał zeszyty zostawione na parapetach.

Uczniowie mówili ciszej.
Nie z powodu strachu.
Ale dlatego, że nie było już potrzeby podnosić głosu, by zostać usłyszanym.

Dawna aula koncertowa stała otwarta. Ale w jej wnętrzu nie unosiła się żadna aura.
Tylko echo. Ale nie śpiewu. Tylko opowieści.

Lustro na końcu korytarza zapomniano wyczyścić.
Może celowo.
Było zamglone, z drobnym pęknięciem w górnym rogu, jak stara rana, która już nie boli, ale wciąż przypomina.

Za ramką ktoś wsunął kartkę.
Rysunek kredkami.
Klaczka z czapką z pomponem, z oczami zakręconymi w ślimaki, z uśmiechem, który nie był groźny, tylko... szczery.

Nad rysunkiem dziecięcą łapką:
„Iris – kiedy była szczęśliwa.”

A obok ktoś dopisał innym charakterem:
„Pamiętaj, że była prawdziwa.”

Chaos nie zniknął.

Nikt nie zakopał jego resztek. Nikt nie zamknął go w zaklęciach.
Po prostu... przestali z niego korzystać jak z broni.

Zeszyty pozostały.
Niektóre pełne zapisanych snów. Inne puste — czekające.
Na parapetach rosły zioła. Na ścianach — kredowe znaki, które nie znaczyły już nic, ale też nie musiały. Były świadectwem.

To, co kiedyś było potęgą, zostało wspomnieniem.
Nie śmiercionośnym.
Tylko prawdziwym.

Festiwal miał się odbyć mimo wszystko.

Nie było już konkursu.
Tylko scena. I czas. I miejsce, gdzie można było wyjść i po prostu... zaśpiewać.

Nie dla punktów.
Nie dla magii.
Dla siebie.

I wtedy, bez efektów świetlnych, bez dymu, weszły one.

Adagio. Aria. Sonata.

Nie świeciły. Nie rzucały cieni.
Tylko spojrzały na siebie i odetchnęły — i zaczęły śpiewać. Prosto. Bez wspomagania.

Ich pieśń nie leczyła.
Nie rozdzierała.
Nie uwodziła.

Po prostu była.

I wtedy po raz pierwszy — **naprawdę wygrały.**

◆ Komentarz Autorski ◆

(po zakończeniu opowieści „Lustra Chaosu: Dziedzictwo – Ostatnia Pieśń Chaosu”)

To opowieść, która nie chciała wygrać.
Nie próbowała udowodnić, że chaos jest dobry, że przeszłość można wymazać, że każdy zasługuje na przebaczenie.

To opowieść o tym, że nie wszystko da się naprawić.
Że niektóre rany zostają. Że niektóre pieśni brzmią jeszcze długo po tym, jak zamilkną.
Ale to również opowieść o tym, że **można usiąść przy zgliszczach... i posłuchać.**

„Dziedzictwo” to ostatni rozdział sagi, która zaczęła się w lustrze i kończy się ciszą.
Bez spektakularnej bitwy.
Bez epickiego zwycięstwa.
Bez pewności, że jutro będzie lepsze.

Ale z pamięcią.
Z wyborem.
Z czułym spojrzeniem ku tym, którzy nigdy nie prosili o ocalenie — ale zostali zauważeni.

To opowieść o tym, że czasem ostatni akt chaosu... to pozwolić mu odejść.
I że czasem ostatni akt miłości... to *nie próbować zrozumieć wszystkiego.*

Nie ma tu bohaterów.
Nie ma potworów.
Są tylko głosy.
I ostatnia pieśń.

◆ **Przemyślenie: Czy syreny są potworami?** ◆

To pytanie nie ma jednej odpowiedzi. I właśnie to czyni je ważnym.

Syreny w tej opowieści **nie zaprzeczają swojej mocy.** Używają jej w pełni — świadomie, bez hamulców. Przez chwilę naprawdę wydają się istotami spoza granicy — nieokiełznane, przerażające, totalne. Budynek drży. Świadomości się rozszczepiają. Widzowie są na skraju transu, niemal religijnego.

I nikt ich nie powstrzymuje.
Bo to *jest* ich prawda.

Ale jeśli przyjrzymy się bliżej — zauważymy coś jeszcze.
W ich spojrzeniach nie ma rozkoszy z destrukcji.
W ich śpiewie nie ma chłodu zemsty.
Jest **głód.**
Jest **ból.**
Jest **ciągle pytanie:** *czy teraz mnie słyszysz?*

To czyni z nich nie potwory...
...ale **być może ostatnie istoty, które jeszcze mają odwagę czuć tak głęboko, że cały świat wokół musi zadrzeć.**

Potwory nie pytają.
One — pytały. W pieśni. W spojrzeniu. W magii.
I dlatego odpowiedź nie należy do nas.

**Być może to nie one były potworami.
Może potworem było to, że tyle czasu nikt ich nie słuchał.**

◆ Epilog II – Pod falą, pod piaskiem ◆

Ruiny Aquatiki, wiele lat później. Nowe pokolenie. Inny świat. Inne dzieci. Ale pytania... te same.

Niebo było spokojne, a piasek, który niegdyś pochłoniął królestwo syren, teraz wydawał się tylko zwyczajnym brzegiem. Słysząc było plusk fal. Szum, który mógł być pieśnią... ale nie był.

Trójka młodych kucyków z Akademii Archeomagii przeszukiwała ruiny z czujnością i zafascynowaniem. Ich magiczne wykrywacze bzycały w rytmie wyczuwalnych resztek energii. I wtedy... jeden z nich zawołał:

— Hej! Tu coś jest!

Z dna przysypanej sali koncertowej, gdzie kiedyś rozbrzmiewał śpiew, wystawał... zeszyt.

Skórzana okładka, popękana, lecz wciąż zachowana.
Pieczęć w kształcie trzech nut.

Ostrożnie otworzyli pierwszą stronę.
Zapisała ją inna kopytka. Silniejsza. Starsza.

„◆ *Pamiętnik Adagio Dazzle* ◆”
„Nie piszę, by ktoś mnie zrozumiał. Piszę, by nie zniknąć.”

I tak, z drżącym głosem, jedna z klaczek zaczęła czytać.
O wojnie, której nie było w podręcznikach.
O pieśni, która nie była już magią.
O stracie, która nie przeszła.
O klaczkach, które przestały śpiewać, bo... nikt nie słuchał.

◆ Fragment pamiętnika Adagio Dazzle ◆

zapisany na suchym pergaminie, litery prowadzone starannie, głęboko, z zawieszoną nutą gorzkości i dumy

Dzień, którego nie było.

Bo przecież... nikt nie spisał go w historii.

Nie ma już głosów w mojej głowie.

Nie czuję już magii w gardle.

I nie wiem, czy to, co śniłam tej nocy, było wspomnieniem — czy tylko resztką melodii, której nikt już nie zaśpiewa.

Kiedy stanęliśmy na scenie, nie miałyśmy nic.

Ani perły w sercach. Ani świateł Discorda.

Tylko siebie. I pieśń.

Pieśń stworzona z bólu, gniewu i wszystkiego, czego świat nie chciał od nas słyszeć.

Śpiewałyśmy.

Z całych sił.

I przez ułamek sekundy świat nas słuchał.

Drżały ściany. Szyby krzyczały. Dzieci płakały i śmiały się naraz.

To była nasza apokalipsa.

Nasz dar.

Nasza zemsta.

A potem...

Była cisza.

I kiedy opadł kurz, nikt nie powiedział „dziękuję”.

Nikt nie powiedział „przepraszam”.

Tylko tamta — Iris.

Ta, która była lustrem.

Spojrzała. I nie uciekła.

A Meadow? Ona stała. Drżała. Ale została.

Nie wiem, czy przegrałyśmy.

Może to one przegrały... bo muszą teraz żyć z tym, co usłyszały.

Bo prawda w pieśni boli.

Zwłaszcza ta, która była przemilczana przez stulecia.

Teraz jestem stara.

Nie wyglądam tak, ale czuję się... skończona.
Świat nie ma już miejsc dla syren.
Nie takich jak my.
Zbyt szczerych.
Zbyt głodnych.
Aria nie mówi nic. Ale wiem, że tęskni.
Sonata śpiewa sobie coś pod nosem.
Cicho. Zbyt cicho.
A ja?
Piszę, bo nie mam już komu śpiewać.
Adagio Dazzle, ostatnia z głosów, które nie chciały milczeć.

◆ Fragment II ◆

Dzień po Festiwalu.
Nie rozumiem ich.
Dali nam nagrodę.
Za co?
Za pieśń, której nie rozumieli?
Za uśmiech Sonaty, który ukrył głód, jakiego nie zaspokoili przez sto lat?
Aria powiedziała, że to tylko gest. Że „zwycięzcy też mogą być wygodnie wyciszeni”.
Może ma rację.
Ale patrząc na to błyszczące trofeum, czuję... odrazę.
Nie dlatego, że nie jest zasłużone.
Ale dlatego, że jest puste.
Jak my. Po wszystkim.

◆ Fragment III ◆

Tydzień później. Po raz pierwszy w ogrodzie.

Sonata podlewa kwiaty. Naprawdę.

Mówi, że nie chce, by coś więcej umierało.

Zapytałam ją, czy wierzy, że możemy zacząć od nowa.

Odpowiedziała tylko:

„To nie nowy początek, Dagi... To tylko koniec, który mniej boli.”

Pierwszy raz nie miałam słów.

◆ Fragment IV ◆

Po rozmowie z Meadow.

Meadow powiedziała, że nienawidzi mnie tylko trochę.

Za to, co jej odebrałam.

Za to, co mogłam powiedzieć wcześniej, ale nie powiedziałam.

I dodała, że rozumie.

To najokrutniejsze, co można komuś powiedzieć po wojnie:

„Rozumiem cię”.

Bo nie ma już furii.

Zostaje tylko lustro.

I odbicie, którego nie da się zmyć.

◆ Fragment V ◆

Sen. Pierwszy od miesięcy.

Śniło mi się, że śpiewałam.

Ale to nie była magia. Nie była walka.

Śpiewałam dla niej.

Mała klaczka, o zielonych oczach, siedziała przede mną i słuchała.

Zapytała:

„A ty też byłaś kiedyś sama?”

Nie odpowiedziałam.

Obudziłam się... i płakałam.

Nie wiem, czy z tęsknoty. Czy z ulgi.

◆ Fragment VI ◆

Ostatnia strona. Przed zamknięciem pamiętnika.

Nie jesteśmy bohaterkami.

Nie jesteśmy potworami.

Byłyśmy pieśnią, której nikt nie chciał usłyszeć...

...aż było za późno.

Teraz, gdy śpiew ucichł, zostaje tylko echo.

I może, jeśli będziemy cicho...

usłyszymy w nim siebie.

Nie te, które śpiewały.

Te, które milczały.

A potem zamilkła.

Wszyscy troje siedzieli w ciszy, otoczeni resztkami zaginionej sali i blaskiem słońca wpadającego przez dziurawy dach.

I jedna z nich powiedziała:

— Myślicie, że... one naprawdę żyły tak długo?

— Myślę... że nie o to chodzi. — odpowiedział drugi. — Chodzi o to, że ich historia wciąż żyje. W nas.

— W pieśniach, których już nikt nie śpiewa? — zapytała trzecia.

— Może... w słowach, które zostały.

Na ostatniej stronie pamiętnika, zamiast podpisu, ktoś dopisał innym kolorem atramentu:

„Nie próbuj zniszczyć chaosu.
Usiądź z nim. I słuchaj.”

Lata później. Szkoła. Ruiny. I dzieci, które nie śnią, lecz pytają.

Był zmierzch. Ciepły, cichy, niepodobny do żadnych z opisanych w starych księgach. Przez trawę — zarośniętą, lecz delikatnie udeptaną przez czas — szły trzy młode klaczki. Plecaki z narzędziami badawczymi objęły się o boki, a mapy i notatki wystawały z kieszeni.

Szkoła już dawno nie uczyła.

Okna były powybijane. Dzwon na wieży zardzewiał. Tylko światła pamięci, świecące jak świetliki, wciąż błędziły po dziedzińcu. Krzewy róż i lawendy rozrosły się nieokiełznanie, jakby próbowały objąć w zapomnieniu coś, co było zbyt bolesne, by nazwać.

Jedna z klaczek wskazała na pomnik.

— Patrzcie... on tu naprawdę jest.

Cztery figury, ledwo widoczne spod liści i pyłu. Kamień z bliska nie był już lśniący, ale wciąż rozpoznawalny.

Jedna miała czapkę z daszkiem i wryte spiralne oczy.

Druga — skrzydło, które wcale nie było skrzydłem.

Trzecia — wpleciony płomień.

Czwarta — otwarty zeszyt.

U ich kopytek... smoczek.

— To te... — szepnęła najmłodsza z nich. — To one?

— Tak — odparła druga, wydając z torby pamiętnik Adagio, oprawiony w skórę. — One były początkiem końca. Albo końcem początku. Zależy, jak się patrzy.

Oczy wszystkich trzech powędrowały ku tabliczce pod pomnikiem.

„Nie próbuj zniszczyć chaosu.

Usiądź z nim. I słuchaj.”

— Myślisz, że... coś tu jeszcze zostało? — zapytała jedna z nich, przykucając przy kamieniu.

— Pamięć — odpowiedziała cicho inna. — A to chyba więcej niż magia.

Wtedy, na chwilę, naprawdę zapadła cisza. Taka, która nie przeraża. Taka, która słucha.

I dziewczynka, która wcześniej milczała, usiadła na kamieniu i uśmiechnęła się lekko.

— Wiecie? Ja też miałam kiedyś siostrzyczkę chaosu.

I nadal ją mam.

Tylko że teraz... to już nie jest chaos, który straszy.

To ten, który zostaje, kiedy wszystko inne odchodzi.

Dwie pozostałe klaczki spojrzały po sobie z lekkim uśmiechem.

— Zawsze mówisz takie rzeczy... jakbyś pamiętała coś, czego nie możesz pamiętać — powiedziała najstarsza.

— Bo może tak jest — odparła dziewczynka. — W domu mama ma starą muszlę. Mówi, że to relikt. Ale kiedy przytykam ją do ucha, nie słyszę morza. Słyszę melodię. Krótką. Smutną. Ale znajomą.

Zawahała się tylko chwilę, zanim dodała:

— Mama miała na imię Sonatina. A babcia... podobno dawno temu, nosiła inne imię. Nie mówi się o niej zbyt często. Ale ja... czasem czuję, że w mojej krwi coś śpiewa.

Zapadła cisza.

Nie ta, która przeraża.
Ta, która słucha.

Trzy klaczki usiadły pod pomnikiem.
Światła pamięci tańczyły nad nimi cicho, łagodnie, jak ostatnia nuta, która wybrzmiewa — ale nigdy nie znika.

A gdzieś daleko, na dnie dawno zatopionej krainy, coś się poruszyło.

Nie magia.
Nie cień.
Tylko wspomnienie.

I to wystarczyło.